

*O'Brien Kathelen*  
*Mężczyzna z przeszłością*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Och mój Boże! Co oni zrobili z tym dzieckiem! - rozległ się z oddali rozzwierający krzyk. - Lacy!

Gdzie jesteś! Dziecko wisi do góry nogami!

W zatłoczonej ujeżdżalni ucichły na moment rozmowy. Odświętnie przybrane stajnie Barnhardta wypełniał tłum ponad stu gości spodziewających się godnego przyjęcia w zamian za swój finansowy wkład, dzięki któremu szpital w Pringle Island miał się wzbogacić o nowy oddział poporodowy. Wieść o dziecku wiszącym do góry nogami wywołała ogólne poruszenie.

- Lacy! Chodź tutaj!

W łagodnym świetle zawieszonych pod sufitem lamp ku Lacy Morgan zwróciło się kilkadziesiąt twarzy, spoglądających na nią z wyrazem uprzejmie powściąganego zdziwienia. Wzdłuż korytarza głównej stajni, w której Barnhardt trzymał niegdyś osiem koni, z osobnych boksów wychylali się inni zaciekawieni goście, oglądający wystawione w boksach, przeznaczone na aukcję przedmioty.

- Lacy, chodź zaraz! - Głos stał się piskliwy. Chodź, na litość boską, spójrz na to dziecko!

Lacy westchnęła w duchu, rozpoznając dobrze znany głos. Nikt prócz Tilly Barnhardt nie potrafiłby wydobyć z gardła podobnie przeraźliwego tonu. I nikomu prócz owej ekscentrycznej matrony nie przyszłoby do głowy zakłócić swoim dzikim wrzaskiem eleganckiej inauguracyjnej fety na cześć sponsorów nowo otwieranego oddziału szpitala.

- Przepraszam, ale chyba ktoś mnie wzywa.

Lacy obdarzyła przepraszającym uśmiechem swego towarzysza, który od pół godziny wprowadzał ją we wszelkie możliwe tajniki hodowli kukurydzy. Rzuciwszy pozostałym gościom parę uspokajających słów, wdzięcznym gestem wzięła kieliszek szampana z niesionej przez kelnera tacy i uniósłszy drugą dłonią kraj długiej szafirowej sukni, odpłynęła w kierunku, skąd dochodziło rozpaczliwe wołanie.

W dawnym składzie paszy odnalazła przyjaciółkę, wpatrującą się z wyrazem najwyższego oburzenia w wielkie olejne płótno.

- Ciszej, kochanie - powiedziała, podając jej z uśmiechem wysmukły kieliszek. - Połowa gości myśli, żeśmy tu kogoś zamordowały.

-Ale popatrz tylko, co zrobił jakiś półgłówek! - Tilly dramatycznym gestem wskazała płótno długim palcem. - Obraz Verengettiego! Clou programu! Największa atrakcja całej tej aukcji wisi do góry nogami!

Lacy uspokajającym gestem dotknęła jej ramienia i poczuła pod palcami znajomą szorstkość wytartego materiału. Tilly miała na sobie swoją odwieczną suknię z czarnego aksamitu, w której składała wizyty dwóm prezydentom, pochowała trzech kolejnych mężów, i w której zebrała blisko pięć milionów dolarów na szpital. Jako bogatą wdowę po najbardziej wziętym w całej okolicy ginekologu i położniku stać ją było na to, by co tydzień kupować sobie nową wieczorową suknię.

Ale i na to, jak lubiła powtarzać, żeby tego nie robić. Lacy najbardziej w niej ceniła właśnie tę skromność i brak wszelkich pretensji.

- On nie jest powieszony do góry nogami - wyjaśniła Lacy, obejmując wzrokiem tak charakterystyczne dla Verengettiego szaleństwo różowo-niebieskich plam. Różowości i niebieskości tworzyły w centrum obrazu postać dziecka w ramionach matki, która naj widoczniej musiała stać na głowie. Artysta chciał zapewne wyrazić w ten sposób kosmiczne aspekty macierzyństwa, ale Lucy wiedziała, że Tilly nie zaakceptuje tego typu tłumaczenia. - Ma być tak, jak jest.

-Wariactwo - parsknęła Tilly, po czym wpatrzyła się w obraz, stopniowo pochylając głowę w bok, aż Lacy zaczęła się obawiać, czy sztywna, siwa peruka nie spadnie jej z głowy. - Naprawdę? Przeniosła wzrok na Lacy. - Tak ma być?

-Tak, moja droga - przytaknęła Lacy i podała Tilly szampana, który tym razem został przyjęty.

-Też coś. - Starsza pani jednym haustem opróżniła kieliszek do połowy. - Też coś. - Rzuciła Lacy sarkastyczne spojrzenie. - Pani magister musi wiedzieć lepiej. Dziwnych rzeczy was uczą na tych nowomodnych uniwersytetach!

- B yć może - odparła Lacy z uśmiechem. Często się na ten temat przekomarzały. Tilly była bodaj jedyną osobą w mieście, której nie imponowało nader kosztowne akademickie wykształcenie

młodszej przyjaciółki. Zmarły mąż Lacy dostawał z tego powodu szału. Malcolm Morgan życzył sobie, by całe miasto podziwiała, jakiego dokonał cudu, przemieniając biedną Lacy Mayfair, z którą się ożenił, w wyrafinowaną intelektualistkę. Wszyscy mu w tym basowali. Wszyscy z wyjątkiem Tilly. I oczywiście samej Lacy.

Lacy nie przeceniała swego przeobrażenia. No bo cóż ma wspólnego wykształcenie z przeżywaniem sztuki i tego, co piękne? Nigdy nie zapomni owego dnia, było to dziesięć lat temu, w którym, podczas szkolnej wycieczki, pierwszy raz w życiu ujrzała prawdziwe dzieło malarskie. Na żadnym uniwersytecie nie można się nauczyć owego niemal dotykającego, niemego zachwyty, w jaki wprawia kontakt z tworem genialnego artysty.

Teraz zaś, kiedy może na co dzień obcować dziełami sztuki, niezmiernie rzadko zdarza jej się odczuwać tę niemal fizyczną fascynację pięknem. Malcolm chyba rzeczywiście przerobił ją na własne podobieństwo. Dzisiejsza Lacy Morgan w wytwornej szafirowej sukni wiedziała mnóstwo rzeczy na temat sztuki, ale zatraciła coś, co z taką łatwością przychodziło dawnej biednej Lacy Mayfair. Jakby zatraciła zdolność odczuwania.

Dotyczyło to nie tylko malarstwa. Po dziesięcioletnim terminowaniu w szkole Malcolma potrafiła wprawdzie po paru taktach rozpoznać każdą operę, lecz najpiękniejsze arie świata nie trafiały jej tak wprost do serca jak tamta ukochana rockandrollowa ballada, przy której dźwiękach, wydobywających się taniego radioodbiornika, tańczyła kiedyś z Adamem Kendalllem w padającym deszczu.

Adam Kendall. Chyba to miejsce przywołało jego imię. Dziesięć lat temu ona i Adam zakradli się kiedyś o północy do tych stajni, szukając samotności. Mogłaby jeszcze dziś, gdyby sobie na to pozwoliła, poczuć zapach siana i ujrzeć odbłyśki światła w wilgotnych oczach koni, z ciekawością zwracających łby w kierunku intruzów.

Dosyć tego. Lacy otrząsnęła się ze wspomnień, zacisnęła wargi i głęboko westchnęła. Nie zamierza się grzebać w tamtej minionej historii. Na pewno nie dzisiaj.

W ogóle nigdy.

Zepchnąwszy wspomnienie dotyku ramion Adama i zapachu świeżo skoszonego siana na powrót do nieprzepuszczalnej przegródki świadomości, gdzie od dziesięciu lat tkwiło zamknięte na cztery spusty, i uszczknąwszy z kieliszka Tilly łyk szampana, rzeczowym okiem zmierzyła ponownie obraz Verengettiego. Czy on mi się w ogóle podoba? Nie była pewna. Ale podobały jej się pieniądze, które sprzedaż obrazu na cichej aukcji przyniesie szpitalowi. Z chłodnym wyrachowaniem, jakiego sam Malcolm mógłby jej pozazdrościć, obliczała, ile za "niego" dostaną.

Może piętnaście tysięcy? Gdyby nie szum z powodu wieszania dziecka do góry nogami, mogłoby być więcej.

Lacy wzięła Tilly pod ramię i pociągnęła ją w kierunku pomieszczeń, gdzie odbywało się przyjęcie.

-Wracajmy - powiedziała. - Nie chcesz chyba, żeby ludzie zaczęli szeptać, że na nowym oddziale poporodowym zajmujemy się wieszaniem dzieci. A poza tym - dodała ze śmiertelną powagą - Howard

Whitehead chce ci opowiedzieć o plantacjach kukurydzy.

- Przekłeta piła! - ze złością mruknęła Tilly. Dobrze wie, że zostawi nam dzisiaj dziesięć tysięcy.

Ale on musi nas przedtem zanudzić na śmierć. Zerknęła na Lacy. - Skąd ty masz w sobie tyle spokoju?

Słowo daję, to nieludzkie! Czy ty nigdy nie tracisz panowania nad sobą?

- Nie wobec człowieka, który jest gotowy dać na szpital dziesięć tysięcy - roześmiała się Lacy.

Ruszyły ramię w ramię w głąb stajni, zaglądając od czasu do czasu do bokсів, wymieniając z przyjaciółmi powitania, odpowiadając na pytania dotyczące eksponowanych dzieł sztuki. W chwili, gdy były już blisko zewnętrznego dziedzińca, podbiegła do nich członkini zarządu szpitala, Kara Karlin.

-Wreszcie was złapałam - zawołała zdyszana.

- Nie uwierzysz, Lacy, kto jest dzisiaj z nami. I pytał o ciebie!

- Jeżeli to Howard Whitehead - parsknęła Tilly - to mu powiedz, że nie mogłaś nas znaleźć.

Piwnie oczy Kary błyszczały podnieceniem.

- Nie, nie. To ktoś inny. Ktoś nowy. No, nie całkiem nowy, ale ... - Nie przestając paplać, popychała

Lacy w środek ciasnego kręgu gości. - Zresztą sama zobaczysz. Nie do uwierzenia! Co za... elegancja to za małe słowo. Och, on jest taki ...

niesłychanie ... Chodźmy. Co się tak ociągasz?

-Ależ idę, idę - uspokoiła ją Lacy. Była zaskoczona i na dobre zaciekawiona, kto wprowadził tę niemłodą damę w stan wręcz pensjonarskiego podniecenia.

Oby nie kolejny aktorzyzna. Ich malownicze, dość oryginalne angielskie miasteczko przyciągało niekiedy ekipy filmowe. Rok temu miasto oniemiało na wieść, że drugorzędny bohater popularnej opery mydlanej kupił w lokalnej stacji. benzynowej paczkę prezerwatyw.

- Nie pędź tak, droga Karo! Nie chcesz chyba, żebym się potknęła o spódnicę i runęła jak długa u stóp tego fascynującego osobnika.

- No dobrze - westchnęła Kara, ściskając dłoń Lacy. - Ale spójrz tylko! - To mówiąc, znieruchomiała jak posąg, patrząc wprost przed siebie. - Sama się przekonaj.

Lacy przystanęła i spokojnie rozejrzała się, wypatrując w tłumie tajemniczego przybysza. Gdyby miał się okazać kolejną "znakomitością", wypadaloby okazać stosowny podziw. Niestety, aktorzy nie robili na niej wrażenia. I to bynajmniej nie z ich winy. Ostatnimi czasy właściwie nic nie robiło na Lacy większego wrażenia.

Rozejrzała się po dobrze znanych twarzach. Howard Whitehead trzymał za guzik kolejną ofiarę.

Dyrektor szpitala konferował z burmistrzem. Grupa hostess flirtowała z kelnerem. Para artystów, którzy ofiarowali swoje prace na aukcję, rozmawiała z ożywieniem na boku.

Nieco dalej, tuż pod sceną, otoczony kręgiem obwieszonych klejnotami, rozpływających się w uśmiechach kobiet, stał wysoki, ciemnowłosy ...

Mężczyzna, jakby wyczuwając jej obecność, podniósł głowę i spojrzał wprost w oczy Lacy.

Zmierzył ją długim, śmiałym, wyzywającym spojrzeniem. Lacy zamarło serce. Och Boże! Nie, to niemożliwe.

A jednak to był on. Nawet z daleka rozpoznała kolor oczu. Intensywnie niebieskich, szafirowych tęczówek. Szafirowych jak jej suknia. W nagłym olśnieniu pojęła, dlaczego tak lubi tę suknię, dlaczego ją kupiła, dlaczego tak chętnie wkłada ją na siebie przy każdej okazji. Podniosła dłoń, muskając drżącymi palcami jedwab stanika i oblewając się rumieńcem, jakby się obawiała, iż wszyscy odgadną, czemu po tylu latach nadal otula się jedwabiem w kolorze Jego oczu.

- Ja ... - Wiedziała, że Kara czeka na jej reakcję, lecz nie była w stanie odetchnąć, a wargi miała martwe i nieposłuszne. - To ...

- No właśnie - triumfalnie zaśmiała się Kara, najwidoczniej biorąc jąkanie się Lacy za objaw olśnienia.

- Nie miałam racji?

Miałaś, pomyślała Lacy, czując ukłucie w sercu. Nie mogła oderwać od niego oczu, nie potrafiła odwrócić głowy. Stała jak sparaliżowana.

Jej osłupienie zdawało się go bawić. Przez długą chwilę mierzył ją bezceremonialnym spojrzeniem, które najpierw spoczęło na jej ułożonych w misterny kok gęstych, kasztanowych włosach - zawsze prosił, by nosiła rozpuszczone włosy - potem omiotło jedwabny stanik wizytowej sukni i szeroką, fałdzistą spódnicę - przysięgał, że taką, właśnie suknię kiedyś jej kupi - a na koniec oparło się na jej nadal przyciśniętej do serca dłoni, na której błyszczał brzydki kwadratowy szmaragd. Nie mógł jej kupić nawet najtańszego pierścionka - ale obiecywał, że pewnego dnia ... Pewnego dnia ...

Który nigdy nie nadszedł. A dziś miała na palcu pierścioneł otrzymany od innego mężczyzny. Dostrzegła, że na ten widok jego spojrzenie stwardniało. Szybko opuściła rękę. Źle zrobiła. To była oznaka słabości, objaw poczucia winy, na który czekał. Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. Piękny uśmiech. Piękny, a jednocześnie okrutny i mściwy.

On mnie nienawidzi.

W głowie jej zawirowało. Czyżby miała zemdleć? O nie, to się nie stanie, nie da mu tej satysfakcji.

Jak on śmie okazywać jej niechęć?

Poczuła, że zalewa ją fala nieopanowanych, szalejących emocji i oparła się ręką o szorstką drewnianą ścianę.

Wydawało jej się, iż straciła zdolność odczuwania. Więc czym była ta lawina naładowanych uczuciem obrazów? Usta, płonące ogniska, deszcz, dłonie, muzyka, magia, łzy, ból, krew, cierpienie.

Wspomnienia jedno po drugim atakowały ją jak potężne, zwalające z nóg błyskawice.

- Niech mnie kule biją! To przecież Adam Kendali! - usłyszała za sobą radosny okrzyk Tilly, która z właściwym sobie brakiem powściągliwości wołała na cały głos, tak że słycać ją było po drugiej stronie areny. - Chodź tu do mnie, młody człowieku, uściskaj starą znajomą!

Twarz Adama złagodniała, gdy rozpoznał Tilly. Przeprósivszy swoje towarzyski, posłusznie ruszył w jej stronę. Zdawał się nie zauważać zawiedzionego pomruku swoich admiratorek, ale Lacy, obserwując spojrzenia, jakimi go odprowadzały, domyśliła się, iż podziwiają doskonałość jego ramion i bioder. Cóż one mogły wiedzieć! Nikt lepiej niż Lacy nie znał jego fizycznej doskonałości.

Zdobiających tors silnych mięśni, spływających ku dwóm, proszącym się o pocałunek zagłębieniom pleców, które podczas letnich prac w fabryce bez koszuli opalały się na kolor miodu.

Z gardła Lacy wydobył się cichy jęk, i w tej samej chwili poczuła, że Tilly podtrzymuje ją za łokieć. Zdumiewające, ile siły i otuchy potrafiła jednym gestem przekazać wąska, starcza dłoń.

-Trzymaj się, moje dziecko - szepnęła Tilly. Lacy oprzytomniała. Podniosła głowę i zmobilizowała się na tyle, by patrzeć z udanym spokojem, jak najbardziej upragniony i najbardziej niebezpieczny ze wszystkich znanych jej mężczyzn wyzywającym krokiem wkracza na nowo w jej życie.

-Witam panią - powiedział z miłym, pozbawionym jadu uśmiechem. Uścisnął podaną mu przez Tilly dłoń, nachylając się, by ucałować ją w policzek. - Jak to miło znów panią widzieć. La he extranado.

Tilly prychnęła pogardliwie, ale Lacy domyśliła się, że słowa Adama sprawiły jej przyjemność.

Dawnymi laty Tilly uczyła go hiszpańskiego w zamian za drobne prace domowe i przy koniach.

Jego obecny świetny akcent dowodził, że trud starszej pani" nie poszedł na marne.

- Gadanie! - parsknęła ostro, pokrywając zadowolenie. - Młodzi, pełni fantazji mężczyźni nie mają przecież głowy do tego, żeby pamiętać o takich staruchach jak ja.

Adam roześmiał się.

- Świat bywa okrutny - odpowiedział. - Nawet dla młodych mężczyzn z fantazją. Pamiętam jedną szczególnie paskudną zimą, kiedy oddałbym cały świat za kawałek placka z jagodami pani roboty.

Tilly zarumieniała się, robiąc równocześnie surową minę.

- Muszę cię, młody człowieku, przywołać do porządku - oznajmiła. - Próbowałam, razem z hiszpańskim, nauczyć cię dobrych manier, ale widzę, że nauka poszła w las. Nie przywitałeś się z moimi przyjaciółkami. - Wzięła Karę pod ramię. - Przedstawiam cię pani Karze Karlin, przewodniczącej rady nadzorczej naszego szpitala.

Kara oniemiała - najwidoczniej uśmiech Adama odebrał jej mowę - po czym z nieprzytomnym entuzjazmem zaczęła potrząsać jego rękę. Adam nie protestował, podniósł tylko lekko jedną brew, czekając, co będzie dalej, aż wreszcie Kara zorientowała się, co robi i cofnęła się skonfundowana, mrucząc niewyraźne przeprosiny.

Tilly cichutko zachichotała.

- No i na pewno pamiętasz - powiedziała Tilly, obejmując Lacy ramieniem i nadając swemu głosowi lekko ostrzegawczy ton - na pewno pamiętasz naszą małą Lacy.

Lacy zebrała się w sobie, nim spojrzała mu w oczy. Tak bardzo je kiedyś kochała. Pamiętała te zachwycająco niebieskie oczy w ciemnej oprawie, które patrzyły jasno, prosto, bystro i śmiało. Na dnie których paliła się wesołość, a także, zarezerwowana tylko dla niej, zawadiacka czułość małego ulicznika.

I ogień! Tak, ten ogień! Jakże była naiwna, sądząc, iż dziesięcioletnie rozstanie zgasi palącą się w nich pasję, tak jak ostudziło jej własną. Nie, oczy Adama nadal płonęły ogniem, który ogrzewał niegdyś najzimniejsze noce jej życia.

Widać dziesięć lat to za mało, by zmienić Adama w sople lodu. Wyobraziła sobie długą procesję kobiet, które musiały ofiarnie podtrzymywać ten ogień, gdy Adam wyjechał z miasta, porzuciwszy Pringle Island, i Lacy.



Opanowawszy z trudem drżenie, podała mu zbielełą, pozbawioną czucia dłoń.  
- Dzień dobry, Adamie! - odezwała się z uprzedzającą grzecznością. - Witamy w domu ..

Uścisk jego ciepłej dłoni był aż za silny, jednakże Lacy prawie nie poczuła ciepła ani bólu. Adam mógł odnieść wrażenie, że ściska dłoń plastikowego manekina.

- Witam panią, pani Morgan - odparł, a Lacy zadała sobie pytanie, czy tylko ona usłyszała, z jak pogardliwym naciskiem wymówił jej nazwisko. Bardzo mi miło. Dobrze pani wygląda.

- Dobrze? Chyba jesteś ślepy! - Tilly mocniej otoczyła Lacy ramieniem. - Wygląda cudownie. Nie udawaj. Bellissima, no crees?

- To prawda - powiedział, zmierzwiwszy Lacy ponownie uważnym spojrzeniem.

- Bellissima. Pani przyjaciółka ma rację. Wygląda pani niezwykle ... kwitnąco. Widzę, że małżeństwo świetnie pani zrobiło.

Tilly zmarszczyła się.

- Adamie ... - zaczęła.

Jednakże Lacy odzyskała nagle głos. Widocznie nawet manekinowi rozwiązuje się język, jeżeli ktoś zbyt mu dopiecze.

- A panu, jak widać, świetnie służą podróże po świecie - zauważyła z naciskiem, spoglądając znacząco na jego świetnie skrojony smoking. - Wygląda pan naprawdę imponująco.

- To tak tylko na pokaz! - Zaśmiał się lekko, przekrzywiając głowę na bok gestem, który sprawił, że spod maski dżentelmena ukazał się na moment uliczny zawadiaka. - Oboje, jak z tego widać, nauczyliśmy się doceniać znaczenie właściwego przebrania.

- Dla pana to jest przebranie? - spytała Lacy, marszcząc brwi. Uśmiech Adama był naprawdę bardzo nieprzyjemny. Ale dlaczego serce zabiło jej tak mocno?

- Tak - odpowiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej, chociaż w oczach miał chłód. - Żeby wejść na salony, trzeba się przybrać w stosowne piórka, nieprawdaż?

Przymknęła na moment oczy, by opanować przyływ gniewu. Co za bezczelność! Może dla niego strój jest tylko przebraniem, pozłotką mającą ukryć tę samą co dawniej buntowniczą naturę. W niej jednak nastąpiła prawdziwa, głęboka przemiana. Nie jest już, ową małą dzikuską, jaką znał; wychudzoną z biedy i zaniedbania dziewczuszką, która rozpaczliwie łaknęła miłości. Jego miłości.

Ona nie "przystraja się w piórka" młodej dostojnej wdowy. Stała się zupełnie inną osobą. Nie ma już naiwnej i niemądrej, zrozpaczonej Lacy. Nauczyła się obywać bez miłości.

- Nie znam się na przebierankach - odrzekła chłodno. - Nie mam na to czasu. Bardzo pana przepraszam, ale muszę się zająć moimi gośćmi.

Udała, że nie widzi zgorzonej miny Kary. Niech sobie myśli, co chce. I tak niczego nie zrozumie. Kara, córka burmistrza, nie miała pojęcia o dzieciństwie Lacy. W świadomości miejscowych wyższych sfer Lacy Mayfair po prostu nie istniała. W sensie towarzyskim "narodziła się" dla nich z chwilą, gdy poślubiła Malcolma Morgana.

- Może oprowadzisz Adama i pokażesz mu nasze najkosztowniejsze dzieła sztuki - zwróciła się do zatroskanej Tilly, patrząc jej w oczy twardym, nieprzejednanym wzrokiem. - Skoro zadał sobie tyle trudu, żeby przebrać się w piórka bogatego filantropa, nie powinniśmy mu odmawiać prawa do odegrania wybranej roli.

Gwen Morgan usadowiła się w dawnym składzie siana na strychu, obok rozgrzanego reflektora oświetlającego podium, obserwując z góry macochę, która zajęta była rozmową z jakimś dzianym facetem w smokingu. Lacy wyglądała dziś wspaniale. Gwen musiała jej to niechętnie przyznać. Szafirowa suknia znakomicie podkreślała jej urodę, a brak kolczyków i naszyjnika, co w tym towarzystwie stanowiło nie lada odwagę, wydawał się dziś wyjątkowo na miejscu. Wytworna pani Morgan deklasowała wszystkie inne kobiety.

Zresztą czyż nie była chodzącą doskonałością?

Gwen zawsze czuła się przy niej brzydka i niezdarna, źle, zbyt śmiało albo za skromnie ubrana, a czasem tak, jakby w ogóle nie istniała. Gwen lekko pchnęła reflektor, nakierowując strumień światła na misternie ułożoną w prosty kok grzywę swojej młodej macochy. Dotknęła palcami własnych, jak zawsze niepozornych, kędzierzawych włosów, pamiętając, jak kiedyś o mało nie wyłysiała, próbując przy pomocy chemicznych środków nadać im postać noszonego wówczas przez Lacy gładkiego pazia.

Trudne dziecko. Gwen od trzynastego roku zdawała sobie sprawę, że w ustach ojca oznacza to tyle, co "nieudana". Wszystko było w niej nieudane: skudłone włosy, marne stopnie, nieudolny serw w tenisie, uporczywy młodzieńczy trądzik. A. co najbardziej go u córki złościło, to irytujący zwyczaj wchodzenia mu w drogę, ilekroć pragnął być sam na sam z Lacy.

Lacy Mayfair Morgan. "Macocho" Owen. Nowo poślubiona młodzieńcza małżonka jej ojca, zaledwie pięć lat starsza od niej. Która, mimo swego "niskiego" pochodzenia, jest najwidoczniej wyposażona w jakiś tajemniczy "gen wytworności".

Teraz Lacy odwróciła się "wytwornie" od gościa w smokingu, by podejść do kolejnej grupy przebranych za pingwiny klaunów. Owen poczuła nagłą, dzieciinną chętkę, by napluć Lacy na głowę, wylać na jej pseudo skromną fryzurę dzbanek wody, albo ...

Ech! I co by w ten sposób osiągnęła? Dałaby tylko Lacy kolejną okazję do popisania się jej nieskazitelnym opanowaniem, które też musiało stanowić część jej DNA. Obserwując wymykającą się bezpiecznie poza zasięg jej wzroku macochę, Owen zastanawiała się nad boskim poczuciem wyższości, jakim ta kobieta tchnęła. Tak pewnie czuje się stwórca wszechrzeczy - wyższy ponad wszystko, chłodno osądający. Co też mi przychodzi do głowy, westchnęła ze złością Owen. Stwórca nie musi się przynajmniej opędać od tej zarazy Teddy'ego Kilgore'a, który uporczywie manipulował przy jej pępku. Chwyciła go za rękę i wykręciła palce.

- Jeżeli się nie odczepisz, wyłamię ci paluch zagrożiła, rzucając mu piorunujące spojrzenie, którego w ciemnościach i tak nie mógł się przestraszyć. Teddy Kilgore miał dwadzieścia dwa lata, o dwa lata mniej niż ona, studiował medycynę, zbierał najwyższe noty, był oczkiem w głowie swojej snobistycznej mamusi i wręcz niewiarygodnym nudziarzem. Jednakże od czasu tamtych wakacji, kiedy Owen przyjechała do domu w swoim pierwszym biustonoszu do ćwiczeń, Teddy przy każdej okazji dobierał się do niej z łapami.

Co czasami sprawiało jej przyjemność, a czasami nie. Teraz akurat wołałaby, żeby zamiast tego strzelił sobie kolejne piwo. Wtedy straci przytomność, a ona będzie mogła spokojnie obserwować Czarownicę.

Nikt prócz Teddy'ego nie wiedział jeszcze o przyjeździe Owen. W końcu będzie musiała się ujawnić. Trzeba gdzieś mieszkać. No i uzyskać zaliczkę na poczet czeku za przyszły miesiąc. Tylko Lacy może jej to załatwić. Ale Owen odwlekała ten moment. Chciała się jeszcze przez kilka minut nacieszyć poczuciem wyższości nad nieświadomą niczego Lacy, zanim tamta nieuchronnie odzyska nad nią przewagę.

-Teddy, do jasnej cholery! - syknęła zniecierpliwiona. Chłopak nachylił się i międlął w zębach wpiętą w jej pępek, ciekłą złotą obrączkę. Nie mogąc go odepchnąć bez utraty paru centymetrów skóry, ostrzegawczym gestem wpiła mu się palcami we włosy. - Daj spokój, to boli.

Teddy podniósł głowę i prowokująco - we własnym mniemaniu - wydał wargi.

- Nie żartuj. Po to ją przecież nosisz, żeby wabić mężczyzn.

-Trafiłeś w sedno - odmruknęła, wciąż trzymając go mocno za włosy. - Mężczyzn. Ty się nie kwalifikujesz.

-A niechże cię - powiedział beztrosko, przewracając się na brzuch i machając rozczapierzonymi palcami przed reflektorem. - Popatrz na tamtą zasłonę na dole! - zawołał rozweselony. - Pokażę ci, jak się robi świńskie cienie.

Gwen spojrzała w dół, ciekawa, co z tego wyniknie. Cienie na zasłonie były jednak zbyt mgliste i nieczytelne. Równie dobrze mógł pokazywać zajęczka albo profil Hitlera.

Teddy jednak chichotał, bardzo z siebie zadowolony.

- Patrz. Tego nauczyli mnie w szkole. To on, to ona, a to ...

- Sza! - Gwen złapała go za rękę, przyciskając ją do swej obszytej koralikami koszulki. Lacy stała znów blisko, zajęta rozmową z kimś, kogo Gwen nie potrafiła z góry rozpoznać. Gwen wydawało się, że usłyszała swoje imię. - Chcę wiedzieć, co mówią.

-Kto?

- Cicho bądź!

- O ile wiem, zamieszkała w Bostonie - mówił anonimowy głos. Słowo "Boston" zabrzmiało tak, jakby chodziło o Gomorę. Typowa miejscowa snobka, jakich Gwen znała wiele. Najdoskonalszym okazem tego gatunku był jej własny ojciec. - Nie wierzyliśmy własnym uszom, ale upewniono nas, że Gwen naprawdę wprowadziła się do domu lekarza ... jako opiekunka do dzieci .

-Tak, to chyba prawda - z niewzruszonym spokojem odparła Lacy.

- Och, Lacy, kochanie. - Rozmówczyni, w której Gwen rozpoznała nareszcie Jennifer Lansing, znaną w całym Pringle Island panią minister obmowy, nadała swoim słowom ton najszczerzego fałszywego współczucia. - Wiem, co musisz przeżywać. Opiekunka do dzieci! Po tym jak ty i Malcolm staraliście się dać jej najlepsze wykształcenie. Twój mąż musi przewracać się w grobie.

- Och! - roześmiała się Lacy. - Na pewno potrafiłby ją zrozumieć. Gwen jest jeszcze bardzo młoda. Zdąży zdecydować, co chce robić w życiu.

- Moja droga, Gwen jest tylko parę lat młodsza od ciebie. Zresztą, co za porównanie. Chociaż to i tak pewien postęp. Poprzednio, jak słyszałam, kelnerowała w Honeydew Cafe. Pólnaga, w elastycznym staniku. Może i lepiej pielęgnować dzieci niż dawać się obmacywać starym lubieżnikom. Lacy Z godnością skłoniła głowę.

- Masz, oczywiście, rację. Ale skoro mówimy o dzieciach, czy widziałaś już piękny obraz Verengettiego, подарowany na naszą dzisiejszą aukcję? Znakomicie by się prezentował w twoim słonecznym salonie. Mało kto może się poszczycić równie przestronnym i gustownym wnętrzem, w którym taki obraz znalazłby dla siebie właściwą oprawę.

Gwen odprowadziła wzrokiem obie panie, z trudem hamując furię. Bezczelne snobki! Co jedna z drugą widzi złego w pielęgnowaniu dzieci?! Tylko dlatego, że same ich nie mają. A co do Honeydew Cafe ... to ta niewyżyta Jennifer jest taka koścista, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby jej oglądać w elastycznym biustonoszu, nawet gdyby mu dopłacali!

A w ogóle jakim prawem wtrącają się w jej życie!

Jeżeli zechce, pójdzie układać rury kanalizacyjne. Albo zostanie klaunem w cyrku. Nikomu nic do tego! W gniewie nie zauważyła, że nadal ściska rękę Teddy'ego.

- Hej! - upomniał się chłopak, wyrywając dłoń.

- Puść mnie wreszcie.

- Przepraszam - wymamrotała niezbyt przytomnie, udając spokój, chociaż najchętniej wykrzyczałaby na głos swoje żale. Ze ma w nosie, co ludzie o niej mówią, że może ojcu udało się zrobić z Lacy posłusznego, snobistycznego manekina, ale na szczęście ona, Gwen, nie dała mu się, i nic nikomu do tego. Teddy najwidoczniej opacznie zinterpretował roziskrzony wzrok Gwen, bo oczy mu się zamgliły, i rzucił się na nią nagle, usiłując pocałować w usta. W trakcie szamotaniny znaleźli się pod reflektorem i oślepią ostрым światłem Gwen zdała sobie sprawę, że ich sylwetki muszą się zapewne rysować na kotarze nad podium, niby tańczące na ekranie chińskie cienie.

Dosyć prowokacyjny sposób na zaanonsowanie swojej obecności w mieście, pomyślała ze złośliwą satysfakcją. Zadowolona z siebie, przestała się opierać, pozwoliła mu się objąć i zwarła się z nim w ognistym pocałunku.

Ciekawe, jak E:zarownica z tego wybrnie. Gwen wiedziała z długoletniego doświadczenia, że jest jedna jedyna rzecz zdolna jej oziębłą macochę wyprowadzić z równowagi, a mianowicie - seks.

Była gotowa założyć się o wszystko, co ojciec jej zapisał, iż chłodna i wyniosła Lacy nie całowała się z nikim "naprawdę" od pięciu lat.

Albo i dłużej.

Skloniwszy ogłupiałego ze szczęścia Teddy' ego, aby zajął się jej dekoltem, Gwen przypomniała sobie, jak potulną, bierną i cichą żoną była Lacy za życia ojca. Ona pewnie nigdy w życiu z nikim się naprawdę nie całowała.

Gwen przesadnie wyrazistymi ruchami pieściła plecy chłopaka, chcąc nadać ich ceniom jasną i oczywistą wymowę. Zachwycony Teddy aż zatchnął się z rozkoszy, w pełni wykorzystując przychylny moment.

Wcale nieźle całował. Gdyby nie miała innych spraw na głowie, jego pieśczoły byłyby nawet przyjemne. Tymczasem jej wysiłki zaczynały przynosić oczekiwany skutek. Na dole odzywały się pierwsze okrzyki zaciekawienia. Osobliwy spektakl przyciągał stopniowo uwagę coraz liczniejszych gości, rozmowy milkły, aż w końcu całkowicie ucichły.

Gwen ujęła głowę Teddy'ego w obie ręce i odsunęła ją w bok, by z jego ramienia popatrzeć w dół. Prawie wszyscy stali wpatrzeni w kotarę, na której poruszały się cienie - jedni z pełnym niedowierzaniem rozbawieniem, inni ze skrywanym zgrozzeniem.

Tylko jedna osoba domyśliła się, w czym rzecz.

Jedna twarz była zwrócona w przeciwną stronę i spoglądała w górę, na sam strych, wypatrując aktorów przedstawienia.

Była nią oczywiście Lacy. Jej twarz miała nieprzenikniony wyraz, ale Gwen czuła, że musi być spłoszona. Pamięć podsuwała Gwen wspomnienia z przeszłości. Głos ojca. Głos pełen zimnego potępienia.

N a Boga, Gwen, musisz się nauczyć panować nad sobą! Bierz przykład z Lacy. Czy widziałaś, żeby Lacy kiedykolwiek zrobiła z siebie podobne przedstawienie? Gwen wypchnęła Teddy'ego z kręgu światła, wychyliła się w dół i przymknąwszy jedno oko, posłała

Lacy szeroki uśmiech.

Nie, pomyślała mściwie. Ona nie. Ale ja tak.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Od tamtej chwili minęły dwie godziny. Aukcja poszła świetnie, ale Lacy była wykończona.

Orkiestra nadal grała ,piosenki o "baby". "Kocham cię, baby", "Jestem twój, baby", "Wróć do mnie, baby", i tak dalej, i tak dalej. Kiedy planowali przyjęcie, wydawało się, że jest to znakomity pomysł. A do tego obrazy z motywem dziecka: śpiące dziecko, płaczące dziecko, dziecko podczas karmienia, Madonna z Dzieciątkiem. Lacy poczuła nagle, że ma tego wszystkiego powyżej uszu.

Może to z powodu burzliwego pojawienia się Gwen? Tylko nagromadzone urazy mogły skłonić dziewczynę do zrobienia takiego widowiska. Kiedy na kotarze pokazał się erotyczny taniec cieni, goście oniemieli. Niewątpliwie zgodnie z zamysłem Gwen. Lacy w pierwszej chwili opadły ręce.

Jak ma sobie poradzić z takim niesmacznym wyglupem? Po chwili jednak znalazła sposób.

Oznajmiwszy ze śmiechem, że jej pasierbica najwidoczniej przystąpiła do aktorskiej trupy, podniosła dłonie i zaczęła delikatnie bić brawo. Goście poszli za jej przykładem, i w rezultacie para zakłopotanych głuptasów musiała wychylić się ze strychu, przyjmując oklaski.

No i skandal został zażegnany.

Ale sporo ją to kosztowało. Gwen jak dotąd starała się jej unikać, niemniej spotkanie z pasierbicą było prędzej czy później nieuniknione. Gwen przyjeżdżała na wyspę wyłącznie wtedy, gdy czegoś potrzebowała, i zawsze zachowywała się agresywnie. Co zresztą można zrozumieć, bo nikomu nie jest przyjemnie dopraszać się o pieniądze. Niemniej to niesprawiedliwe, żeby w ciągu jednego wieczora musiała przeżyć najpierw pierwsze po latach spotkanie z Adamem, a potem złośliwy wybryk pasierbicy. Rozbolała ją

głowa, marzyła, by jak najszybciej wrócić do domu, położyć się do łóżka i nie wychodzić z niego przez najbliższy tydzień.

Niestety, jako przewodnicząca komitetu organizacyjnego musiała tkwić na miejscu, dopóki ostatnia stawka na aukcji nie zostanie odnotowana, ostatni kieliszek szampana wysuszony, ostatni dobroczyńca uroczyście odprowadzony do drzwi. Ale musi przynajmniej przez chwilę pobyc sama. Rozejrzała się ostrożnie, jak uciekinier z więzienia. Nie dostrzegła nikogo, kto spieszyłby do niej z prośbą o opinię albo podjęcie decyzji. Wśliznęła się po cichu do wąskiego boksu na końcu korytarza, odgradzonego od reszty stajni wałem bujnych, ozdobnych paproci, wśród których pobłyskiwały maleńkie białe światełka. Wyjątkowo wąskie pomieszczenie, służące kiedyś do pokrywania klaczy, nie nadawało się na salę wystawową, toteż powieszono w nim tylko dwa czy trzy obrazy. Większość gości pewnie tutaj nawet nie zajrzała.

Na wszelki wypadek udało, że ogląda największe z wiszących tu malowideł, które, jak na ironię, sama podarowała na aukcję, czyniąc to z niejakim poczuciem winy, gdyż nie była pewna, czy ofiarowanie na cel charytatywny rzeczy nielubianej nie zakrawa na hipokryzję. Ciekawe, czy ktoś je kupi? Nie cierpiała tego obrazu, choć był dziełem znanego artysty i z czysto malarskiego punktu widzenia niczego nie można mu było zarzucić.

Sobotni poranek. Prawie jak w raju. W wiejskim krajobrazie nad rzeką malarz ukazał na pierwszym planie spoczywających na kraciastym pledzie, splecionych w gorącym uścisku mężczyznę i kobietę, podczas gdy nieco w głębi, nad samym brzegiem rzeki, na skraju koca, leżało śpiące, całkowicie zapomniane dziecko.

Malcolm kupił ten obraz w pierwszym roku ich małżeństwa i powiesił go w domu na honorowym miejscu. Lacy nie powiedziała mężowi, co myśli o jego ulubionym obrazie. Po co? Nigdy nie zwierzała mu się ze swoich myśli i uczuć.

- Jeśli chcesz stać się niewidzialna, radzę ci zmienić suknię.

U słyszała za plecami szelest rozsuwanych paproci i do boksu wszedł Adam Kendall. Białe światełka tworzyły wokół jego głowy połyskującą aureolę. Dotknął opaloną dłonią szafirowej materii.

-Włożyć coś mniej rzucającego się w oczy. To jest suknia primadonny, a nie uciekającej od gwaru samotnicy. Lacy zmierzyla wzrokiem jego okazałą postać blokując wyjście z boksu, i z przykrością zdała sobie sprawę, iż pomieszczenie, w którym się znalazła, zostało specjalnie tak skonstruowane, by niechętniej klaczy uniemożliwić ucieczkę.

Z pewnym trudem opanowała uczucie paniki. No trudno. W głębi duszy wiedziała od początku, że ich spotkanie będzie nieuniknione. Kiedyś nie mogła się doczekać tej chwili, wyobrażała sobie w marzeniach każdy jej szczegół. Dziś pragnęła jedynie mieć ją jak najszybciej za sobą.

- Dziesięć lat - odezwała się cicho, jakby mówiła do siebie. - Spotykamy się po dziesięciu latach, żeby mówić wyłącznie o naszych ubraniach?

- Moim zdaniem świetnie się nam rozmawia odparł, nie przestając muskać palcami jedwabnej materii. - Nie jest łatwo trafić na właściwą metaforę. I czytać między wierszami. Nie sądzisz?

Nie maco udawać, że nie rozumie. Zresztą, Adam ma w pewnym sensie słusność. Czyż ich ubiory nie mają symbolicznego znaczenia? Jego niegdysiejsze sprane do białości dzinsy i upstrzona rdzawymi plamami koszulka symbolizowały nędzę, głód, niezaspokojone ambicje. Zaś dzisiejszy kosztowny smoking mówił o luksusie, zwycięstwie, spełnieniu. Cóż, kiedy tamta stara koszulka tak słodko pachniała słońcem, mydłem, nim samym. Zawsze po tym, jak ściągała mu przez głowę bawełnianą koszulkę, przed rzuceniem w ką przykładała ją wpierw do twarzy, wdychając głęboko w płuca te niepowtarzalne zapachy.

Dziesięć lat temu jego wieczniewiecznie zmierzwiłone włosy symbolizowały bunt, przekorę, beztróskę. Jego dzisiejsza, starannie przez fryzjera wymodelowana "rozwichrzona" fryzura mówiła o seksie, władzy, pewności siebie cóż, kiedy tamte niesforne kędziory zawsze spadały mu na oczy, gdy przykrywając ją swoim dałem, wtulał głowę w jej piersi, i muskały jej skórę, kiedy ją całował. Przez długą chwilę po prostu mu się przypatrywała, wsłuchując się w wymowę jego nowej osoby, każdego jej szczegółu: szerokich ramion, złotych spinek przy mankietach, pewnego siebie uśmiechu, luksusowej opalenizny; nieskazitelnie zawiązanej muszki i sarkastycznie uniesionych brwi.

Ale skąd ma tę bliznę? Tuż pod lewym okiem biegła w dół do policzka cieniutka linia, jakby narysowana ostrym srebrnym ołówkiem. Albo ostrzem noża. Skąd się wzięła? Co można z niej wyczytać? Lacy nie mogła oderwać od niej oczu. Była jedyną skazą na tej doskonałej twarzy. I jedyną wskazówką, że dziesięć lat bez niej nie było nieprzerwanym łańcuchem sukcesów i uciech, bogactwa, samozadowolenia i erotycznych podbojów.

\_ Skąd masz tę bliznę? - zapytała, podnosząc ku niemu oczy, dziwiąc się, czemu spośród tylu pytań, jakie się w niej nagromadziły w ciągu dziesięcioletniego milczenia, tylko to jedno potrafi jej przejść przez usta.

\_ Stara historia. Był wybuch. Chyba ze sto parocentymetrowych odłamków szkła miało ochotę zostawić mi pamiątkę na twarzy. - Mówił spokojnym, obojętnym tonem, jakby komentował zmianę pogody. \_ Jednemu z nich nieźle się to udało.



\_ Wypadek w pracy? - Miała ochotę dotknąć srebrzystej linii, zbadać jej wypukłość, zmierzyć drżącym palcem jej długość i odległość od oka. - W rafinerii? Pamiętam, że praca tam miała być niebezpieczna. Lekko się uśmiechnął.

- Zwykle tak jest, że jak dobrze płacą za niebezpieczną pracę, to praca jest niebezpieczna. Dlatego ją wziąłem, jeśli sobie przypominasz. Chodziło, jak chyba wiesz, o to, żeby jak najszybciej zbić fortunę i wrócić do domu. - Wzruszywszy ramionami, dodał: - Wtedy sprawa wydawała się pilna.

Lacy z trudem przełknęła ślinę. Dobrze pamiętała, jak to było.

-Ale ten wybuch ... Mogłeś ...

- Co? Mogłem zginąć? Pani Morgan uważa, że to nieładnie? Ze byłoby ładniej wżenić się w majątek?

- Powiedział to spokojnym tonem, jakby rozważał taką możliwość. - Tak byłoby pewnie prościej.

Ale jestem chyba staromodny. Zawsze uważałem, że pieniądze własnoręcznie zapracowane jakoś lepiej się noszą.

-Adam - wybąkała, czując, że się rumieni. - Adam, nie...

- Biedna Lacy - powiedział, śmiejąc się z cicha. - Wolisz o tym nie mówić?

Proszę bardzo. Więc cóż Pozostaje? O ubraniu zgodziliśmy się nie mówić.

Przeszłość jest tabu. Prawda nie ma wstępu. Oparł się plecami o cienką ściankę i powiódł wzrokiem po ciasnym pomieszczeniu. - O właśnie.

Podobno świetnie znasz się na sztuce. Możemy porozmawiać o tym koszmarnym obrazie.

-Adam ... - Lacy wzięła głęboki oddech, usiłując za wszelką cenę uspokoić rozedrgane nerwy. Najchętniej by stąd uciekła, ale Adam blokował wyjście. Z boku była awaryjna furtka, żeby hodowca mógł wypuścić klacz, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie. Niestety, furtka zamykała się od zewnątrz. Co za paradoks, że zrozpaczona klacz mogła się stąd wydostać, a złapana w pułapkę kobieta nie może.

Adam zbliżył się do obrazu i teraz patrzył nań przez ramię Lacy.

\_ "Blisko raj". Hm, interesujący tytuł - zauważył. Położył rękę na ramieniu Lacy i odwrócił ją twarzą do obrazu, jakby była lalką albo manekinem. Nie powiesz chyba, że ci się podoba. Nigdy w to nie uwierzę.

\_ To bardzo dobry obraz - oświadczyła sztywno, sama nie wiedząc dlaczego.

Przybierając jeszcze bardziej profesorski ton, ciągnęła: - To jedno z najlepszych płócien Franklina. Ma niezwykle ciekawą kompozycję, śmiałe rytmy form, zdefiniowane rzeką przepływającą od lewej strony ku

prawej, i usytuowanymi pod kątem czterdziestu pięciu stopni, leżącymi postaciami. Celowa asymetria stwarza poczucie wewnętrznej dysharmonii, chaosu, zagrożenia.

\_ DUBY smalone ze szkolnego podręcznika skwitował jej uczone wywody. - Bardzo cię przepraszam, ale za dobrze znam twój gust i za dobrze znam ciebie, żeby w to uwierzyć. Wiem, że ci się nie podoba. Może ma jakieś techniczne zalety, ale nie tego przecież szukasz w sztuce. Ani w życiu. Ty szukasz rozmachu, namiętności, uczuć - a to jest puste, drewniane. Na pewno nie powiesiłabyś czegoś takiego we własnym domu.

Rozeźlona Lacy wyrwała się z jego uścisku i okręciwszy się na pięcie, rzuciła mu w twarz:

-Widocznie nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje. Dziesięć lat to bardzo dużo czasu.

Ludzie się zmieniają.

- Nie aż tak ... - odparł, robiąc przeczący ruch głową.

Roześmiała mu się w twarz.

- Owszem, aż tak. I jeszcze bardziej. Chcę ci powiedzieć, że ten obraz należał do mojego męża.

Wisał w moim domu na honorowym miejscu, w bibliotece nad kominkiem. A ja patrzyłam na niego codziennie. Przez całe dziesięć lat.

Odebrało mu na moment mowę. Lacy wykorzystała tę chwilę, by przemknąć obok niego ku wyjściu. Była już prawie wolna, kiedy chwycił ją za rękę i przytrzymał.

Odwrociła się i zmierzyła go lodowatym wzrokiem, który miał go zmusić do uwolnienia jej ręki.

Było to jedno z jej wypróbowanych spojrzeń, zdolnych onieśmielić najbardziej zagorzałego adoratora.

Ale nie Adama.

- Zaczynam podejrzewać - powiedział wolno, patrząc Lacy prosto w oczy - że mogłem się jednak pomylić.

-W jakim sensie? Że się jednak zmieniłam? Bardzo słusznie. Całkowicie się myliłeś. A teraz, bądź łaskaw ...

- Nie, nie to miałem na myśli - odrzekł z diabelskim błyskiem w oku. - Chyba mylnie oceniłem wartość fortuny zdobytej poprzez małżeństwo. - Obracając rękę Lacy ku światłu, wskazał oczami wielki, kwadratowy, wulgarny szmaragd pobłyskujący na jej palcu. - Zaczynam podejrzewać, że za swoją fortunę zapłaciłaś o wiele wyższą cenę niż ja za moją.

Po przyjęciu Gwen nie pojawiła się w domu. Normalnie Lacy byłaby jej za to wdzięczna, jednakże w środku nocy przyznała, że nawet klótnia z pasierbicą byłaby lepsza niż samotne, bezsenne bicie się z myślami.

Przez wiele godzin przewracała się z boku na bok, wymyślając coraz celniejsze riposty i bardziej miażdżące odzywki, mające wcisnąć Adamowi jego beczelne słowa z powrotem do gardła. Ale co z tego, skoro docierały jedynie do uszu perskiego kota Lacy imieniem Hamlet, który w dodatku szybko zwinął się w kłębek w nogach łóżka i po wysłuchaniu zaledwie paru kwestii zapadł w smaczny sen.

Głaszcząc futerko Hamleta i zazdroszcząc mu zdrowego snu, zastanawiała się Z rozpaczą i obawą, jak długo Adam Kendall zamierza zostać w mieście i jak dalece zmąci jej spokój ducha, zanim znudzi go ta zabawa i odjedzie z powrotem w siną dal.

Wtuliła twarz w poduszkę. Co mam robić? Jak się zachować? - tłukło się po głowie uparte pytanie, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi.

Kiedy wreszcie zaświtał dzień, z ulgą podniosła się ze zmiętej pościeli. Czowała się okropnie, a na widok własnej twarzy w lustrze, podpuchniętych oczu i rozczochranych włosów poczuła obrzydzenie.

Nagle się opamiętała. To ma być Lacy Morgan?

Z lustra patrzyła na nią biedna i bezradna Lacy Mayfair. O nie, tak nie może być! U wolnienie się od tamtej małej samotnej dziewczynki kosztowało ją zbyt wiele trudu. Wczoraj wieczorem niemądra Lacy Mayfair dopuściła do tego, by Adam miał ostatnie słowo. To się więcej nie powtórzy. Od dziś będzie miał do czynienia z Lacy Morgan.

Ale ... co właściwie zamierza robić? To, co zawsze. Będzie walczyć o przetrwanie. Przypomni sobie wszystko, czego się nauczyła w ciągu minionych dziesięciu lat, i zrobi ze zdobytej wiedzy właściwy użytek. Z tego, czego się nauczyła o odwadze i rozwadze, o unikaniu niepożądanych emocji, o tym, że nie wolno się poddawać i trzeba chodzić zawsze z podniesioną głową. Owinie się tak szczelnym płaszczem obojętności, że ani szafirowe oczy Adama, ani ciepło jego rąk nie zdołają go przeniknąć.

W gruncie rzeczy, powiedziała surowo swemu odbiciu w lustrze, po raz pierwszy od dziesięciu lat jesteś naprawdę wolna. Rozpętała się wreszcie zawierucha, na którą czekałaś ze strachem od tylu lat. Po dziesięciu latach obcowania z Adamem tylko w wyobraźni zostałaś zmuszona do tego, by z nim rozmawiać, patrzeć mu w oczy, czuć dotyk jego rąk.

Doświadczenie okazało się bolesne, ale jej nie powaliło. Los zadał jej ostatni cios, lecz chybił celu. Niczego więcej nie musi się obawiać.

W dwie godziny później, po zaaplikowaniu maseczki z ogórka, która przywróciła oczom ich normalny blask, i starannym ułożeniu włosów w gładki węzeł spięty srebrną klamrą, do szpitala wchodziła odnowiona Lacy Morgan. Wyglądu opanowanej profesjonalistki dopełniał nieskazitelny perłowo błękitny kostium.

Nie ma w jej życiu miejsca na zbędne żale. Liczy się tylko praca.

\_Zbieranie pieniędzy na szpital, łagodzenie sporów, pozowanie do zdjęć w towarzystwie uszczęśliwionych rodziców, pragnących upamiętnić przyjaźnie zawarte w szpitalu położniczym w Pringle Island. Lacy Morgan, dyrektorka działu kontaktów z lokalną społecznością, miała to wszystko w małym palcu. Lacy uśmiechała się do stojących przed nią rodziców. Właśnie zrobiła im zdjęcie: dumny ojciec, rozradowana matka, żwawa maleńka dziewczynka. Tak trzymaj, pomyślała Lacy, oddając mężczyźnie aparat. Tak jest lepiej. O wiele lepiej.

- Proszę wziąć małą na ręce. Chcielibyśmy zrobić wam wspólne zdjęcie. Nie wiem, jak byśmy to wszystko przeżyli, gdyby nie pani. Lacy z chęcią wzięła od matki rozkoszne maleństwo o różowej buzi, które po trzytygodniowym naświetlaniu promieniami ultrafioletowymi mogło nareszcie pojechać z rodzicami do domu. Los dziewczuszki długo się ważył, lecz jej żywotność zwyciężyła. Mruczac czule słówka, Lacy pochyliła się nad małą, której drobne paluszki opłoty jej kciuk. Już niedługo, kiedy szpital wzbogaci się o nowy oddział poporodowy, takie cudowne kuracje staną się codziennością. W dużym stopniu dzięki jej własnym wysiłkom. Warto temu poświęcić życie. Nawet jeżeli medyczne cuda nie będą dotyczyć jej osobiście. Rozentuzjasmowany ojciec dziecka nie przestawał pstrykać aparatem, mimo że Lacy była już na pół oślepią błyskami flesza, a znudzone maleństwo zaczęło grymasić.

- Może już skończymy? Myślę, że ...

\_ Lacy? - przerwał jej zdenerwowany głos Kary Karlin. - Mogę zamienić z tobą słówko?

Lacy obejrzała się. Z drzwi oddziału położniczego wyglądała zafrasowana twarz Kary. Lacy dobrze знаła ten wyraz. Jakieś komplikacje. Przytulając do piersi dziecko, by uciszyć jego płacz, opuściła zajętych zmienianiem rolki w aparacie rodziców, i podeszła do stojącej z załamanymi rękami przyjaciółki.

\_ Strasznie cię przepraszam, Lacy. Wiem, że nie powinnam ci przeszkadzać, ale stała się rzecz najokropniejsza w świecie.

Lacy lekko się uśmiechnęła. Mimo swoich blisko pięćdziesięciu lat i czwórki odchowanych dzieci Kara zachowywała się jak egzaltowana nastolatka, dla której wszystko jest najcudowniejsze, najokropniejsze, najwspanialsze. Lacy, która od lat poddawała swoją świadomość surowej dyscyplinie, eliminując z niej wszelkie ekstrawagancje, obserwowanie burzliwych reakcji Kary na najbardziej banalne wydarzenia sprawiało niekiedy rodzaj zastępczej przyjemności.

- No, może nie najokropniejsza - zażartowała Lacy, delikatnie poklepując plecy dziecka. – Czyż Najokropniejsza Rzecz nie zdarzyła się wczoraj, kiedy dostawca przysłał na aukcję niewłaściwe zakąski? A jednak nikt od tego nie umarł. - Mówiąc to, przez cały czas lekko się kołysała, aż niemowlę Z zadowoloną miną wsadziło paluszek do buzi i całkiem się uspokoiło. - A aukcja przyniosła ćwierć miliona.

-Dobrze ci się śmiać - skarciła ją Kara - ale gdyby stary pan Terwilligan zjadł bodaj jedną kanapkę Z krewetkami, gardło tak by mu spuchło, że mógłby się udusić. - Kara odgarnęła Z czoła kosmyk siwiejących włosów. - Ale to jest coś znacznie gorszego. Wyobraź sobie, że klaun, który miał prowadzić urodzinową zabawę, zachorował, i nie ma kto rozdać prezentów. To rzeczywiście poważny kłopot..Dzieci z pediatrycznego oddziału z niecierpliwością oczekiwały wizyty klauna, który miał się dziś zjawić z koszem pełnym cukierków i zabawek. Nie można zrobić dzieciom zawodu.

- Ktoś musi go zastąpić - oświadczyła zdecydowanym tonem, szukając w myślach możliwego kandydata. -Czy Leo jest dzisiaj w pracy? - Kara przecząco potrząsnęła głową. - A Bart? -To samo. Roger?

-Nie ma dziś w dziale kontaktów ani jednego mężczyzny. Boże, co my zrobimy! Dzieci są takie przejęte. Ronny Harbaugh z podniecenia nie spał przez całą noc.

-Tylko nie wpadaj w panikę - powiedziała Lacy łagodnym, lecz zdecydowanym tonem, starając się swoją postawą i głosem działać uspokajająco zarówno na niemowlę, które nagle zaczęło znowu popiskiwać, jak i na bliską płaczu, zrozpaczoną przyjaciółkę.

-Mówisz, że nie ma ani jednego mężczyzny? - ciągnęła, przekładając niemowlę na drugie ramię.

-Więc może kobieta?

-Zawsze robił to mężczyzna - zaproponowała Kara. - Kostium jest ogromny. A maska ...

-Więc potrzebujemy wysokiej kobiety - wtrąciła Lacy, mierząc wzrokiem smukłą sylwetkę Kary, która miała dobrze ponad metr siedemdziesiąt wzrostu. - Spróbujesz? Na twarzy Kary odbiły się mieszane uczucia. Była. zaskoczona niekonwencjonalną propozycją i przestraszona na myśl o nowym, odpowiedzialnym zadaniu.

-Co też ty mówisz! Janie wiem. Nigdyśmy czegoś takiego... Zresztą nie potrafię. - Jednakże najwyraźniej

miała ochotę. Lacy dostrzegła w jej oczach błysk podniecenia. - Sama wiesz ...

- Doskonale sobie poradzisz - stanowczym tonem oświadczyła Lacy, kładąc wolną rękę na ramieniu Kary. -

Dzieci przepadają za tobą. Zrobisz to lepiej niż ktokolwiek inny.

-Naprawdę nie potrafię - powtórzyła Kara, wykręcając sobie palce. - O mój Boże! Przecież muszę . napisać biuletyn. I miałam ...

-Nie przejmuj się, pomogę ci dokończyć biuletyn. A inne sprawy mogą poczekać.

-Nie, naprawdę, sama nie wiem... - denerwowała się Kara, obgryzając nadłamaną paznokcie. \_ Boże, na śmierć bym zapomniała! Mam za chwilę oprowadzić po szpitalu ...

-Ja się tym zajmę - zareplikowała Lacy, przybierając nieco ostrzejszy ton, ale nadal z zachęcającym

uśmiechem na twarzy. - Kara, przestań się niepotrzebnie martwić, tylko idź rozdawać prezenty, zanim

Ronny Harbaugh wznieci bunt na oddziale pediatrycznym.

Na twarzy Kary odmalowała się radość pomieszana z niepokojem.

- A to ci ... No dobrze. - Już miała się oddalić korytarzem, ale w ostatniej chwili coś sobie przypomniała. -

Tego gościa właściwie i tak powinnaś sama oprowadzić. W końcu jesteś dyrektorką. To nie byle kto. Na pewno uważa, że należą mu się specjalne względy.

Lacy poczuła ciarki na plecach i szum w głowie.

Mocniej przygarnęła dziecko do piersi, starając się jednocześnie uspokoić obrazy, które nagle zawirowały

jej przed oczami. Świadoma, że zdziwieni rodzice bacznie na nią patrzą, opanowała chęć pobiegnięcia za

Karą.

-Kto to taki? - zawołała w ślad za przyjaciółką, która zdążyła dojsć tymczasem do windy. Z ulgą stwierdziła,

że jej głos brzmi normalnie. - Kto?

Chociaż wiedziała, o kogo chodzi. Domyśliła się, nim Kara, tuż przed wejściem do windy, wymieniła jego nazwisko.

-Najprzystojniejszy mężczyzna w całym Pringle Island, ty szczęściaro! - zawołała. - Urodziwy Adam

Kendall .

Musiał oddać jej sprawiedliwość. Miała odwagę. Adam szczerze się zdziwił na widok zbliżającej się ku niemu wyprostowanej, wyniosłej Lacy. Mimo

zapewnień Kary Karlin, która wpadła jakieś pół godziny temu, by go uprzedzić, iż Lacy zaraz po niego przyjdzie, Adam gotów był pójść o zakład,

że wcale się nie pojawi, a oprowadzenie go po szpitalu zleci po cichu komuś ze swoich podwładnych.

Był przekonany, iż właśnie dlatego każe mu tak długo czekać w saloniku dla gości - ponieważ szuka zastępstwa. Zresztą zwłoka mu nie przeszkadzała; pokój był bardzo przyjemny. Wygodne fotele same zapraszały, by w nich zasiąść. Kanapę zaścieniały miękkie i puchate poduszki, podobne do obszytych brzoskwinowym materiałem obłoków. Znad biurka uśmiechały się do gości morelowe obrazki. Niewidoczne lampy napełniały wnętrze łagodnym, rozproszonym światłem o złotawym odcieniu.

W sumie salonik sprawiał wrażenie przytulnego i ciepłego, czego nie dało się powiedzieć o Lacy Morgan, która przystanąła na moment w drzwiach, biorąc głęboki oddech.

Odziana w surowo skrojony kostium o barwie zmrożonego błękitu, z włosami zaczesanymi gładko na tył głowy i spiętymi na karku w ciasny węzeł, swoim zjawieniem się podzielała jak powiew lodowatego powietrza. Widok Adama nie skłonił jej do pośpiechu. Starannie wygładziwszy rękaw, czubkiem palców sprawdziła guzik pod szyją - ozdobny, lekko orientального kształtu guz, który żadną miarą nie mógł się rozpiąć. Dopiero wtedy zbliżyła się do biurka - równym, odmierzonym krokiem. Stukanie jej cienkich, wysokich obcasów na drewnianej posadzce do złudzenia przypominało dźwięk, jaki wydają kostki lodu wpadające do pustej szklanki.

Pochyliła się nad biurkiem, przełożyła z miejsca na miejsce jakieś papiery, i dopiero wtedy podniosła ku niemu wzrok.

-Kara powiedziała mi, że obiecała oprowadzić cię po szpitalu - odezwała się uprzejmym tonem. \_ Przykro mi, że musiałeś tak długo czekać.

-Naprawdę? - uśmiechnął się. - Jesteś pewna? Pytanie najwyraźniej ją zaskoczyło. Zmarszczki niepewności pokryły na moment jej nieskazitelnie gładkie czoło. Ale nie na długo.

-Czego nie jestem pewna?

- Tego, że jest ci przykro, ponieważ kazałaś mi czekać. - Rozsiadł się wygodniej, zakładając nogę na nogę. -Nie zdziwiłbym się, gdybyś po wczorajszym wieczorze skorzystała z okazji pokazania mi, gdzie jest moje miejsce.

-Gdzie jest twoje miejsce? - powtórzyła zdziwiona. - Nie ośmieliłabym się nawet zgadywać, gdzie może być twoje miejsce, Adamie.

-Hm - mruknął. - Może pod twoim pantoflem? Zaśmiała się suchym, urywanym śmiechem: którego dźwięk powtórnie przywołał mu na myśl pobrzękujące w szklance kostki lodu.

-Jeśli mam być szczerą, to kiedy ostatni raz się zastanawiałam nad miejscem dla ciebie, myślałam o miejscu trochę gorętszym. Położonym w znacznie niższym rejonie ...

-Och! - Uśmiechnął się swobodnie, a jego wzrok powędrował w dół jej ciała. Wiedział, rzecz jasna, co naprawdę miała na myśli - że jego miejsce jest na dnie piekła. Ale wiedział też, że potyczki słowne nie należą do jej mocnych stron. Posłała mu sztych, ale przy okazji sama się odsłoniła.

Lacy zorientowała się momentalnie, co powiedziała. Oczy jej zabłysły, a palce zacisnęły się na krawędzi biurka.

Adam milczał. Nie musiał nic mówić. Czekał, kiedy na jej policzki wypłyną nieuchronne, ciemne rumieńce.

Zawsze łatwo się czerwieniła. Czerwieniła się, kiedy nauczycielka matematyki wołała ją do tablicy, kiedy przychodziła do Adama na budowę po ostatnim fajrancie, a jego koledzy gwizdami witali jej pojawienie się, i kiedy ciotka lajała ją za późne powroty do domu.

W swej zachwycającej niewinności, która działała na niego jak mocny trunk, czerwieniła się za każdym razem, kiedy brał ją w ramiona i uwalniał z ubrania. Nawet w najciemniejsze letnie noce musiał ją długo, czule namawiać, nim oderwała dłonie od płonących policzków.

Tymczasem dziś, ku jego zaskoczeniu, Lacy bynajmniej się nie zaczerwieniła. Raczej jeszcze bardziej pobladła. Jeśli to było możliwe.

Patrząc mu głęboko w oczy, wyszła zza biurka i oparła się tyłem o blat.

Wdzięcznym ruchem podniosła zakiet, poprawiając spódnicę. Coś srebrzystego mignęło spod jej makieta, lecz wystający spod spódnicy rąbek białej koronki posłusznie zniknął.

Stała tak blisko, że ich kolana niemal się stykały.

Jej wyzywające spojrzenie mówiło, iż zrobiła to celowo. Zeby mu pokazać jak dalece jego słowa, i jego fizyczna bliskość, są jej obojętne.

- Pozwól sobie coś wyjaśnić - odezwała się nieco sztucznym, lecz pełnym opanowania tonem. -Oprowadzanie potencjalnych inwestorów po szpitalu należy do moich obowiązków. Nie chcę, żebyś sobie pochlebiał, że cokolwiek, co kiedykolwiek robiłeś wczoraj albo dziesięć lat temu - przeszkodzi mi w wykonaniu zadania, którym jest zdobywanie pieniędzy.

Patrzył na nią zdumiony, czując jednocześnie ogarniającą go niezrozumiałą złość. Złość na tę twarz godną marmurowego posągu; na martwy, urzędowy ton głosu; na wdzięcznie poruszające się dłonie, które odcużyły się drzeć. Co za strata! Co za zbrodnicze zmarnowanie słodkich namiętności i rumieńców w świetle księżycy ...

W co ona się przepoczwarzyła? A co ważniejsze, dlaczego tak go to wścieka?



-Nie obawiaj się, Lacy - odparł z chłodnym uśmiechem, któremu towarzyszył niemal obraźliwy grymas ust.

-Za dobrze cię znam, żebyś pozwolił sobie przypuścić, że cokolwiek może cię powstrzymać przed sięgnięciem do męskiego portfela.

Czy nadal miał nadzieję, że uda się ją sprowokować? Jeżeli tak, to Lacy znowu go pokonała. Z pogodnym uśmiechem skinęła głową.

-Zwłaszcza tak zasobnego jak twój - przytaknęła rzeczowo. I nie czekając na odpowiedź, oderwała się od blatu biurka. - Możemy zaczynać?

Od tej chwili była wyłącznie kobietą interesu. Prowadząc go przez sterylnie czyste korytarze i dobrze zorganizowane pomieszczenia biurowe, bez chwili wahania czy zająknięcia zaprezentowała najdoskonalszą i najbardziej kompletną ofertę biznesową, jaką słyszał w życiu. Jej prezentacja - obfitująca w fachową terminologię, uwzględniająca dane statystyczne na temat śmiertelności niemowląt i przedstawiająca szczegółowe plany rozbudowy szpitala, spodziewane dochody i dotacje - była tak wyczerpująca, że ilekroć zwracała się do niego z uprzejmym uśmiechem zachęcającym 'do zadawania pytań, Adamowi nic nie przychodziło do głowy.

Może tylko jedno: kiedy się tego wszystkiego nauczyłaś, Lacy? Czy już nie pamiętasz, jak stojąc za ladą w sklepie starego Morgana, byłaś tak onieśmielona, że wydając resztę, bałaś się spojrzeć klientom w twarz? Nie musiał jej o to pytać. Odpowiedź była oczywista. Dawno o tamtym wszystkim zapomniała.

Po drodze przedstawiała mu lekarzy i pracowników administracji, a także niektórych pacjentów, za każdym razem grzecznie przeprasząc za zakłócanie im pracy, chociaż były to przeprosiny w oczywisty sposób zbyt liczne. Pani Morgan spotykała się na każdym kroku z entuzjastycznym przyjęciem. Adam zaobserwował zabawną scenę, kiedy dwóch roślących lekarzy o mało nie stratowało pielęgniarki, tak pilno im było zabiec Lacy drogę.

Skończywszy trwający trzy kwadransy obchód szpitala, Lacy wprowadziła Adama do sali konferencyjnej, gdzie całą ścianę zakrywały bogato oprawne, gęsto zawieszane plany rozbudowy. Zaś na ogromnym mahoniowym stole pośrodku sali wyrastał las miniaturowych, szarych i kobaltowych budynków.

- A tak będzie wyglądał ostateczny produkt wyjaśniła, wodząc wypielęgnowanymi palcami nad makietą. -

Zaprojektowany przez firmę Prescher i Osteen. Musiałeś o nich słyszeć, od pokoleń projektowali większość domów i budynków na Pringle Island.

-Tak, słyszałem - odparł, obchodząc leniwym krokiem malowane domki i wysadzone zabawkowymi krzewami alejki. Strzepnąwszy po drodze z pseudościeżki całkiem prawdziwą zdechłą muchę, zwrócił się do Lacy, zaczepnym gestem przekrzywiając głowę: - A jak się miewa nasz stary przyjaciel, Biff? Czy tatusiowi ortopedzi zdołali naprostować synkowi

pokieroszowany nos?

Nawet to nie wytrąciło jej z równowagi. Jest naprawdę znakomita. A może wcale nie musi udawać? Może już nie pamięta, że to on rozkwasił Biffowi Prescherowi nos, kiedy po treningu poszli się bić na tyły sali gimnastycznej w asyście kibicującej drużyny baseballa?

-Biff miewa się dobrze - powiedziała spokojnie.

-Mieszka teraz w Seattle. Z żoną i czwórką dzieci. Od lat nie oglądałam jego nosa. To właśnie jego ojciec jest autorem tego projektu. Musisz chyba pamiętać starego Preschera?

Zawieszono nad miniaturowym parkingiem palce Adama nieznacznie drgnęły.

-Niestety, nie miałem przyjemności. Nasze drogi w uniwersyteckim klubie jakoś nigdy się nie skrzyżowały.

Ani on nie zjrzał nigdy do mojego biura na tyłach sali gimnastycznej, tak że nie miałem okazji zająć się jego nosem.

Lacy westchnęła i, ku zdumieniu Adama, dotknęła swoim wypielęgowanym palcem jego dłoni. Zapewne, aby dać kolejny dowód, jak bardzo jest jej obojętny.

-Adamie, doprawdy ... - Tu zawiesiła swój starannie modulowany głos obiektywnego i życzliwego, choć w gruncie rzeczy obojętnego' przyjaciela. Głos zaprzeczający wszystkiemu, czym kiedyś byli dla siebie kochankami, których miłość rozsypała się w proch.

-Doprawdy co, Lacy? - Patrzyli sobie teraz prosto w oczy.

-Widzisz ... jak by tu powiedzieć ... ten ton dawnego łobuziaka to chyba lekka przesada. - Wyciągniętym wskazującym palcem poklepała znowu wierzch jego ręki. - No bo popatrzmy. Widzisz tu jakieś ślady skaleczenia albo otartej skóry? Wydaje mi się, że te ręce od bardzo dawna nie zajmowały się łamaniem nosów.

-A może są po prostu zręczniejsze niż za dawnych czasów - odciął się z widocznym zadowoleniem.

-W tym przebraniu? - zdziwiła się. - Nie sądzę. Wyrośliśmy już z tego, Ada ... Nim zdołała się zorientować, poderwał rękę, chwytając ją za nadgarstek. Spojrzała na niego z niesmakiem, jakby przez przypadek dotknęła węża.

-Nie rób sobie złudzeń, Lacy - powiedział, nachylając się nad zabawkowym królestwem Preschera seniora, nie bacząc, czy przy okazji nie zmiażdży paru jego wieżyczek. - Z niczego nie wyrośliśmy. To są tylko przebrania. Biedny czy bogaty, pozostałem tym samym człowiekiem, który tak jak dawniej nie cierpi snobów. Ani hipokrytek, choćby były nie wiedzieć jak ładne i eleganckie.

Zbierała się do kontraktaku, jednakże musiało ją to kosztować wiele wysiłku. Zauważył, jak z trudem dławiała wzbierający gniew i niepokój. Po chwili jej rozszerzone oczy zwęziły się, przybierając wyraz stonowanego zaciekawienia.

-Mój Boże ... - westchnęła. - Prawdziwy macho. Może w obawie o całość własnego nosa powinnam się uzbroić w maskę i hełm?

Przyjrzał się kształtnemu nosowi Lacy, jakby rozważał jej pytanie.

-Nie musisz - zdecydował w końcu, robiąc krótką przerwę dla nadania odpowiedzi nieprzyjemnie intymnego sensu, po czym dodał: - Jeśli zechcę się do ciebie dobrać, wybiorę do tego cel położony znacznie poniżej nosa.

Podniosła rękę, by wymierzyć mu policzek. On jednak dostrzegł w porę błysk w jej oczach i chwycił ją w porę za nadgarstek, a następnie, pokonując wściekły opór Lacy, zaczął ją kierować ku jej piersi. Lacy do ostatniej chwili stawiała opór, lecz w końcu uległa, pozwalając mu przycisnąć ich obie ręce do swojej bladoniebieskiej jedwabnej bluzki.

-Tutaj - rzekł cicho, nie odrywając dłoni, która razem z jej dłonią falowała w rytm nieregularnego oddechu Lacy. - Jeżeli zechcę zaatakować, uderzę tutaj, w miejsce, gdzie kiedyś było twoje serce.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Reszta dnia po wizycie Adama była zmarnowana. Lacy nie mogła się na niczym skoncentrować. Zadnymi

znanymi sobie sztuczkami nie umiała odpędzić niechcianych myśli. Raz po raz, nie tylko w trakcie biznesowego lunchu, ale nawet w sali poporodowej wśród niemowlaków, i teraz, kiedy wspólnie z Tilly podliczały dochód z aukcji, jej myśli uparcie wracały do Adama.

Wracało wspomnienie dotyku jego ręki na piersiach, pogardy w jego oczach, gdy nazwał ją hipokrytką. I drwiącego tonu, jakim powiedział, że wyzbyła się serca.

Co było poniekąd prawdą. Taką przynajmniej miała nadzieję. Serce sprawia ból. Serce może pęknąć, a wtedy jego ostre odłamki ranią cię od środka. - Lacy! Wróć na ziemię i pomóż mi podliczyć te sumy. Wiesz, że rachunki to nie moja specjalność. Lacy oprzytomniała i uśmiechnęła się przepaszająco do zdruzzonej fakturami przyjaciółki. Tilly nie cierpiała papierkowej roboty. Mawiała z przekąsem, że rząd swoimi przepisami zdławi dobroczynność.

-Przepraszam - powiedziała Lacy, sięgając po wydruk z komputera. - Ja to zrobię. - Mając w głowie Adama, nie mogła zagwarantować, co z tego wyniknie, ale przynajmniej spróbuje.

Podczas gdy Lacy wstukowała liczby do komputera, Tilly niecierpliwie bębniła palcami po stole. Po minucie wstała, chwilę krążyła po pokoju; przystanąła przed lustrem, poprawiając swoją gigantyczną perukę. Potem mruknęła coś pod nosem, opadła na kanapę, wzięła do ręki ilustrowane pismo i zaczęła je hałaśliwie przeglądać.

Lacy, czując, że Tilly długo nie wytrzyma beczynności, gorliwie wpisywała liczby, żeby możliwie jak najdalej popchnąć robotę, nim cierpliwość starszej pani ostatecznie się wyczerpie.

-Jestem głodna - po pięciu minutach oświadczyła Tilly, wstając z kanapy i siadając przy biurku naprzeciw Lacy. - W dodatku mamy wieczorem kolację na cel szpitala i jedzenie zacznie się o nieludzko późnej porze.

-Oskarżycielskim gestem wskazała komputer. - Nie można by tych idiotyzmów odłożyć do jutra? Chodźmy do stołówki. Kara mówiła, że mają dziś pyszne czekoladowe ciasto.

-Wybij sobie z głowy czekoladowe ciasto - odparła Lacy, nie odrywając oczu od ekranu. - Podnosi poziom cukru we krwi.

Nie przejęła się słowami Tilly. Od lat prowadziły z sobą takie rozmowy. Tilly bynajmniej nie zamierzała jeść czekoladowego ciasta. Powiedziała to tylko przez przekorę, żeby zmanifestować swój protest przeciwko znieawidzonej cukrzycy, z którą musiała żyć od ponad sześćdziesięciu lat. Chorobę wykryto, gdy miała dwadzieścia trzy lata. Była wtedy rozhukaną pięknoscią, która świeżo uzyskała dyplom pilota - rzecz na owe czasy niespotykana wśród kobiet z jej środowiska. Cukrzyca uniemożliwiła jej latanie. Typowa historia, powtarzała Tilly, ilekroć o tym wspomniano. Los zawsze stara się pozbawić człowieka tego, co sprawia mu największą przyjemność.

-Powinni produkować bezcukrową czekoladę zawyrokowała Tilly, stukając ołówkiem o kant stołu. - W końcu liczy się nie tylko młódzież. Mnóstwo ludzi nie może jeść cukru. Znasz krajowe statystyki dotyczące zachorowań na cukrzyce?

-Nie. Ani ty. Zapomniałaś, że cyfry to nie twoja specjalność? - Lacy z wyrozumiałym uśmiechem wyłączyła komputer. Odkąd kampania zbierania pieniędzy na budowę nowego skrzydła weszła w decydującą fazę, ona i Tilly rzadko miały okazję swobodnie porozmawiać. Postanowiła to naprawić.

Przyjrzała się starszej pani, usiłując odgadnąć jej nastrój. Wołała nie prowokować wybuchu. Tilly od tak dawna wyrabiała sobie opinię nie hamującej języka ekscentryczki, że w rezultacie kompletnie zatraciła umiejętność powściągnięcia emocji - jeśli kiedykolwiek takową posiadała.

-Posłuchaj, Tilly - zaczęła Lacy ostrożnie. Musimy się wreszcie rozmówić co do tego prywatnego detektywa.

Twarz Tilly przybrała zacięty wyraz.

-Nie będziemy o tym rozmawiać - odparła.

-Owszem, będziemy. Czeka już od miesiąca, żebym mu powiedziała, jak ma się wziąć do rzeczy.

-Niech sobie czeka - prychnęła Tilly, nerwowo poprawiając perukę. - Przecież dostał zaliczkę. Jeszcze się nie zdecydowałam. Kto wie, może w ogóle dam temu spokój.

-Tilly! - Lacy pochyliła się nad stołem. Wiesz, że to nieprawda. Nie dalej jak miesiąc temu mówiłaś, że musisz za wszelką cenę odszukać swoją córkę. Tilly poruszyła się na krześle.

-Och, to było wtedy, kiedy podskoczył mi cukier i myślałam, że czas pożegnać się ze światem. Ale od tamtej pory zmieniłam zdanie - w jednej i drugiej sprawie. Chyba jednak nie umieram, więc nie ma się co śpieszyć z praniem własnych brudów wobec jakiegoś detektywa.

Lacy przymknęła oczy, aby opanować narastającą irytację. Nie miała pojęcia, jak polemizować z tak absurdalną argumentacją.

-Po pierwsze, nie ma powodu, żeby odnalezienie córki odkładać do czasu, aż będziesz na łożu śmierci. To zupełnie naturalne pragnienie. Trochę na ten temat poczytałam. Otóż okazuje się, że niemal wszystkie kobiety, które oddały dziecko do adopcji, odczuwają potrzebę odnalezienia go. A po wtóre, może sześćdziesiąt lat temu urodzenie dziecka przed ślubem należało do rzeczy, "o których się nie mówi", ale przecież nie dziś.

-No wiesz, w naszym środowisku ...

-Do diabła z naszym środowiskiem! - oburzyła się Lacy. - To ty dyktujesz w nim warunki. Ci ludzie uwierzą we wszystko, w co każesz im wierzyć. Przypomnij sobie, od ilu lat przestałaś się liczyć z tym, co ludzie powiedzą.

-Jakby tak policzyć - niechętnie. uśmiechnęła się Tilly - to pewnie od sześćdziesięciu.

-No widzisz - pokiwała głową Lacy. - Więc jak będzie? Mam mu powiedzieć, żeby rozpoczął poszukiwania?

-Nie. Albo tak. To znaczy ... - zaczęła się płatać.

Straciła nagle całą pewność siebie.

-Och, Lacy, sama nie wiem.

Lacy nie pamiętała, żeby Tilly kiedykolwiek nie wiedziała, co powiedzieć. Miała łzy w oczach, twarz jej obwisła, straciła rezon. Na widok najmilszej przyjaciółki będącej w takim stanie, Lacy ścisnęło się serce.

Pierwszy raz, odkąd się znały, zobaczyła w niej starą kobietę.

-Przepraszam, kochanie - powiedziała szybko.

-Nie chcę cię do niczego ...

-Powiem ci prawdę, Lacy.- zaczęła Tilly, przyciskając delikatną, pokrytą sinymi żyłkami dłoń do piersi, jakby coś ją zabolalo. - Po prostu nie mam odwagi. Boję się tego, co może się okazać. Więc może nie budzić licha i zrezygnować z poszukiwań ... - Z głębokim westchnieniem opuściła dłoń na kolana. -Ale boję się również, że ta przekłeta cukrzyca dopadnie mnie ni stąd, ni zowąd i nie zdążę... nie zdążę jej powiedzieć ...  
Lacy zerwała się z krzesła, podeszła do przyjaciółki i uklękła przed nią na podłodze.

-Uspokój się, Tilly - powiedziała czule, ujmując ją za rękę. - Dajmy temu spokój. Wrócimy do tej rozmowy

innym razem. Nie musimy się spieszyć. -A jeśli nie zdążę ... ?

-I przestań mówić o umieraniu. - Lacy przestraszyła się, słysząc w swoim głosie płaczącą nutę. Przybrała pogodny wyraz twarzy i stanowczym tonem ciągnęła: - Nic z tego. Doktor Blexrod i ja nie damy ci umrzeć Tilly długo patrzyła na nią smutnymi, załzawionymi oczami. Po chwili wyciągnęła pomarszczoną dłoń i czubkami palców dotknęła czoła klęczącej Lacy.

- Dziękuję ci, dziecko - powiedziała, głaszcząc ją po głowie, z twarzą nagle wypiękniałą i wypogodzoną. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem. Wiedziałaś o tym?

-Miło mi, że tak mówisz - z uśmiechem odparła Lacy. - Nawet jeśli jutro zmienisz zdanie.

Tilly zachichotała, a w jej oczach znów zamigotały przekorne iskierki. Lacy zrobiło się lżej na sercu. - Jesteś dobrym człowiekiem. I dobrą przyjaciółką. Ale jeżeli ci się wydaje, że zabronisz mi zjeść czekoladowe ciasto, to ,spotka cię przykry zawód.

W szpitalnej stołówce panował tłok jak zwykle. Tilly i Lacy, z owocami i kawą na tacy udały się w swoje ulubione miejsce koło placu zabaw dla dzieci, gdzie stało kilka turystycznych stolików. Tilly trochę narzekała, ale Lacy chciała po ciężkim dniu odetchnąć świeżym powietrzem, zwłaszcza że popołudnie było wyjątkowo ciepłe jak na początek lata.

Najwidoczniej nie ona jedna tęskniła za świeżym powietrzem. Na zewnątrz było niemal równie tłoczno jak w środku. Z trudem znalazły wolny stół.

Tilly wypatrzyła znajomego i poszła się przywitać, a Lacy usiadła i zamknąwszy oczy, wystawiła twarz do słońca.

Miała nadzieję, że nie natknie się na nikogo ze znajomych. Nie była w nastroju do towarzystwa. Musiała zmobilizować siły przed wieczorną kolacją. Nie wyglądała na to, by Adam Kendall sypnął pieniędzmi na szpital, więc trzeba będzie okazywać gościom tym więcej względów. Gdyby znalazła chwilę na bodaj krótką drzemkę...

Niestety. W chwili, gdy wkładała do ust trochę za duży kęs gruszki, czyjaś postać zasłoniła jej słońce.

Otarły starannie usta serwetką, podniosła głowę znad talerza. Jakimś cudem zdołała się uprzejmie uśmiechnąć bez otwierania ust.

No tak. Jennifer Lansing, prezeska Miejskiego Towarzystwa Historycznego we własnej osobie. Lacy, najdelikatniej mówiąc, nie gustowała w jej towarzystwie. Jennifer najchętniej rozmawiała o genealogii swoich bliższych i dalszych znajomych, co ze zrozumiałych względów wprawiało Lacy w zakłopotanie. W mniemaniu Jennifer drzewo genealogiczne Lacy kwalifikowało się pewnie najwyżej do kategorii krzewów, i to krzewów pospolitych.

Na dodatek obie panie miały ze sobą ostatnio na pieńku. Towarzystwo Historyczne zamierzało zbudować sobie własną siedzibę i Jennifer zwracała się z prośbą o dotację na ten cel do tych samych osób, u których Lacy zabiegała o pieniądze na rozbudowę szpitala. Ich ostra rywalizacja, choć na zewnątrz okazywały sobie uprzedzającą grzeczność, była ogólnie znana, dostarczając mieszkańcom Pringle Island tematu do ploteczek.

-Lacy, jak miło cię zobaczyć! - zawołała Jennifer, czekając, aż Lacy otrze usta chusteczką, po czym ucałowała powietrze w okolicach jej policzka. - Co za szczęście, że akurat cię spotkałam! Jest jedna rzecz, którą chciałabym wyjaśnić.

Ach, więc czegoś ode mnie chce, pomyślała Lacy.

Bynajmniej nie była zdziwiona. Przybrawszy wyraz uprzejmego zainteresowania, żuła niespiesznie swoją gruszkę. Jennifer była jak czołg. Dotrze na przelaj do swego celu bez żadnej zachęty.

-Chodzi o Adama Kendalla - ciągnęła Jennifer, zniżając głos do szeptu. - Jest o tam, gra z Jasonem w koszykówkę. Lacy, na Boga, nie oglądaj się! Za późno. Wzrok Lacy odruchowo pomknął w kierunku boiska, gdzie na środku cementowego placu stał pal z koszem, przeznaczony dla małych rekonwalescentów. Adam? Tutaj?

Przełknęła nie pogryzioną do końca gruszkę. Tak, to on. Ubrany w bawełnianą koszulkę i džinsy, odebrał właśnie pomarańczową piłkę piętnastoletniemu Jasonowi, synowi Jennifer. Potem zręcznie wyciągnął ręce nad głowę i rzucił piłkę do kosza. Z cichym szumem siatki piłka pięknie wylądowała w koszu, tak że nawet Jason krzyknął Z podziwem. Lacy zamarła na moment, mając wrażenie, że czas nagle się cofnął. ileż dni i godzin spędzała dawnymi czasami, obserwując Adama grającego na boisku w swoją ukochaną koszykówkę. Trener drużyny postąpił okrutnie, nie dopuszczając go do reprezentacji; niestety wzrost Adama, metr dziewięćdziesiąt, nie kompensował w dostatecznym stopniu jego ubóstwa. Gdyby miał ponad dwa metry, trener sam z ochotą kupiłby Adamowi ekwipunek zawodnika, nie zważając na fakt, iż ojciec chłopca nie łoży na utrzymanie drużyny.

Wykluczenie z drużyny było dla Adama gorzką pigułką, jedną z wielu, jakie musiał przełknąć jedyny syn bezrobotnego alkoholika.

Jednakże dziś nie było w nim śladu tamtej goryczy, mimo że złotowłosey, w czepku urodzony Jason Lansing pysznił się biało-granatową koszulką, o której Adam na próżno kiedyś marzył. Z beztróską radością, śmiejąc się i pokrzykując, dwaj mężczyźni walczyli o piłkę, robili uniki, podrywali się do skoku, najwidoczniej czerpiąc z gry nie zmaconą niczym przyjemność.

Adam zaś ... Serce Lacy zatłukło się w piersi. Arlam był tak młodzieńczy, tak pełen życia, tak ... radosny. Jego smukłe ciało emanowało siłą, mięśnie piersi i ramion prężyły się i napinały z taką samą zrećnością jak dziesięć lat temu, poruszał się z tą samą zwinnością i nieświadomą gracją. Z jego oczu biła radość, zmywając z twarzy wszelką surowość.

Wydawał się niewiele starszy od Jasona. Był urodziwy niemal do bólu.

Lacy z trudem oderwała wzrok od boiska. Zwracając się do Jennifer, rzekła:

-Tak, widzę go. A o co chodzi?

Jennifer przyglądała swoje nieskazitelne, uczesane na pazia blond włosy, rzucając w kierunku boiska ostatnie spojrzenie, niby nałogowy palacz zaciągający się resztką papierosa. Zmrużyła oczy i mimowolnie oblizała wargi. Lacy miała wrażenie, że z jej gardła wydobył się pomruk kociego zadowolenia.

-Podobno oprowadzałaś go dzisiaj po szpitalu - zaczęła Jennifer, uważnie obserwując twarz Lacy.

Choć w ich towarzyskim kręgu mało kto mógł dzisiaj pamiętać o szkolnym romansie Lacy i Adama, to Jennifer na pewno nie zapomniała. W dziedzinie plotek była zawodowcem. Musiała wiedzieć wszystko o wszystkich.

-I jak wam poszło? - spytała.

Lacy zaśmiała się lekko. Podniosła filiżankę i wypila z wolna łyk kawy.

-Niczego mi nie obiecał, jeżeli o to pytasz odparła spokojnie. Wiedziała, jak sobie radzić z osobami pokroju Jennifer. Trzeba im dać do zrozumienia, że przenikasz ich sztuczki na wylot, czyniąc to jednak wśród uprzejmych uśmiechów. - Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zwróciła się do niego o dotację na muzeum.

Mówią, że dorobił się dużych pieniędzy. Zresztą, na pewno już o tym wiesz. Jennifer wyglądała spódnice, jakby próbowała zyskać na czasie. Lacy zdziwiła się. Odkąd to Jennifer musi się w słownych potyczkach uciskać do tak prymitywnych sposobów dla zmylenia przeciwnika?

-Owszem, ale nie ...

Lacy dostrzegła kątem oka powracającą do stolika Tilly. Jennifer też ją zobaczyła i na jej twarzy odmalowało się niezadowolenie. Wzięła głęboki oddech i zwróciła się do Lacy, najwyraźniej zdecydowana nie tracić więcej czasu.



-Prawdę mówiąc, rozmawiałam już z Adamem na temat muzeum. W tej sprawie panuję nad sytuacją.

Dokładniej mówiąc, umówiłam się z nim dziś wieczorem na kolację. Ale jest jeszcze coś. Adam Kendali ... hm ... intryguje mnie. Pomyślałam, że mogłabym mi ... oczywiście za nic nie chciałabym cię urazić. Nie chciałabym wchodzić ci w drogę. W każdym razie nie chcę niczego podejmować bez uprzedzenia. Patrzyła na Lacy z fałszywym uśmiechem, pełnym współczucia dla biednego kopciuszka, który nie może marzyć o konkurowaniu z olśniewającą panią Lansing.

\_ Wyjaśnijmy sobie jedno, Lacy - rzuciła Jennifer. - Chodzi ci o mężczyznę czy o jego pieniądze?

Co za bezczelność! Lacy poczuła lekki niesmak w ustach, jakby połknięty mięszsz gruszki był zgniły. Ale ona też знаła się na grze. Spojrzała na swoją towarzyszkę zdumionym wzrokiem i przybierając podobnie fałszywy ton, odparła:

\_ No wiesz! Oczywiście, że chodzi mi o jego pieniądze. Nie muszę ci chyba mówić, że mężczyznę już miałam.

Gwen zaczynała mieć wątpliwości, czy pomysł sprawienia sobie motocykla był rzeczywiście tak pyszny, jak sądziła.

Motocykl miał swoje zalety. Bardzo się sobie podobała w czarnych spodniach i kurtce. Nadawały jej szyku w stylu Jamesa Deana. I uwielbiała spojrzenia, jakie ją ściagały, kiedy spod czarnego hełmu na jej ramiona wysypywała się burza długich jasnych włosów. Z przyjemnością wspominała słowa jednego fantastycznego faceta, który z pełnym uznania uśmiechem nazwał ją "aniołem z piekła rodem".

Dzięki motocyklowi nawet kędzierzawe włosy stawały się zaletą.

Motocyklowa dziewczyna nie musi być wytworna.

Jednakże po tygodniowym miesiącu miodowym motocykl zaczynał pokazywać swoje mniej atrakcyjne strony. Tak na pozór seksowny kostium okazał się cholernie gorący. Oblewała się w nim potem. Był do tego ciężki i niewygodny. A straszliwy hałas motoru, który z początku wydawał się "odjazdowy", zaczynał ją przyprawiać o ciężki ból głowy.

Nie mówiąc już o tym, że utrzymywanie równowagi na piekielnej maszynie wcale nie było łatwe. Zwłaszcza przy starcie.

Właśnie zatoczyła chwiejne koło, usiłując kopnąć pedał gazu tak, by motor wreszcie zaskoczył, ale to także sprawiło jej sporo kłopotu. Nie wiadomo który raz trzasnęła ze złością obcasem, mrużąc pod nosem soczyste przekleństwa.

Silnik zaskoczył na moment, rzucając motocyklem w przód, wprost na czerwonego Austina Healeya, który właśnie w tym momencie wjechał na

hotelowy parking. Przeklęty silnik zgasł równie szybko, jak zapalił, i motocykl niebezpiecznie się przechylił. Gwen zdołała go opanować na tyle, by nie wyrzucić głową w chodnik, ale nie na tyle, by uniknąć zahaczenia końcem kierownicy o drzwi samochodu od strony kierowcy.

-Niech to diabli! - wymamrotała. Będą kłopoty.

Wiedziała jak faceci trzęsą się nad swoimi samochodami. Jej ostatni, łatwo odwołanej pamięci chłopak miał zwyczaj czyścić kołpaki szczoteczką do zębów. Dwa razy dziennie. A ojciec! Raz o mało nie zamordował lokaja, który na przedniej szybie zostawił ślady palców.

Szykując się do awantury, wyprostowała się na siedelku i z wyzywającą miną mierzyła wzrokiem mężczyznę, który bez pośpiechu wysiadał ze swego sportowego auta. Pod trzydziestkę, blondyn, luźna kolorowa koszula powiewająca na wietrze, sportowe spodnie khaki na szczupłych biodrach. O cholera!

Przez przydymione okulary hełmu nie mogła dokładnie ocenić detali, ale i tak wyglądał super.

Podszedł do Owen. Zdziwiła się, widząc, że mężczyzna się uśmiecha.

-Nic ci się nie stało?

Pyta, czy jej się nic nie stało? Nawet nie obejrzał uszkodzonych drzwi?

Przekrzywiła lekko głowę. Pedał czy co?

Zdjęła hełm z głowy, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Na widok wysypujących się spod hełmu włosów mężczyźnie zapaliły się oczy. Nie, nie. pedał. Znała to spojrzenie.

-Dzięki - odparła. - Nic mi nie jest. Przepraszam za porysowanie drzwi.

-Nic takiego - rzucił lekko, nawet się nie oglądając. - Samochód bez wgnieceń to jak twarz bez śladów mimiki. Bez wyrazu, nie uważasz?

Gwen wytrzeszczyła oczy. Jak nie pedał, to może stuknięty?

-Może - rzekła niepewnie. - Ale jednak. Zapłacę za naprawę. - Jak tylko dostanie wypłatę z majątku powierniczego, dodała w myślach.

-Ani mi w głowie go naprawiać. Będę wszystkim opowiadał o fantastycznej dziewczynie, która otarła się o mnie pewnego dnia, zostawiając po sobie niezatarty ślad. - Wyciągnął przed siebie opaloną dłoń. - Travis Rourke - przedstawił się. - Fajny motor.

-Gwen Morgan - powiedziała, podając mu rękę i odruchowo odwzajemniając uśmiech, nim zdążyła udzielić sobie wewnętrznego przyzwolenia. - Fajny samochód. - I podnosząc brwi dodała: - Chociaż porysowany.

Roześmiał się z widocznym uznaniem. Miał białe zęby. Śmiał się łatwo, bez skrepowania, jakby się nie zastanawiał, czy nie wyglądałby ciekawiej z wyrazem zblazowania. Owen poczuła nagłą zazdrość. To pilnowanie się na okrągło bywa dosyć męczące.

-Mieszkasz tu? - zagadnął, wskazując hotel, który był dumą i radością całego miasta: czterogwiazdkowy, pokryty szarą dachówką przybytek, otoczony polem golfowym, skąd rozpościerał się widok na morze.

-Przelotnie. - Na dobrą sprawę powinna była zamieszkać u Czarownicy. Na karcie Visa nie zostało jej pieniędzy na opłacenie nawet dwóch godzin w tym hotelu, a cóż dopiero dwóch dni. Ale póki co nie mogła się zdobyć na rozmowę z Lacy. Może jutro.

Travis Rourke był wyraźnie ucieszony.

-To znakomicie. Chętnie dałbym się zabrać na przejażdżkę motorem. Oczywiście, kiedy zaznajomisz się z jego działaniem.

W sprawie stłuczki ładnie się zachował, ale to nie znaczy, że może sobie z niej kpić, pomyślała urażona.

-Dopiero co go kupiłam. I prawdę mówiąc, chyba się go pozbędę. Za dużo kłopotu.

-Och nie, na pewno go zatrzymasz - oświadczył. - Założę się o pięćdziesiąt dolarów, że jesteś zbyt harda na to, żeby dać się pokonać byle stercie żelastwa.

-Coś takiego! - Przygwozdziła go do ziemi najbardziej wyniosłym uniesieniem brwi, na jakie potrafiła się zdobyć. - Trochę za krótko się znamy na takie gadki, nie sądzisz? A jeżeli chcesz wiedzieć, to wyrzucę to żelastwo na śmietnik, kiedy tylko przyjdzie mi ochota.

Travis Rourke znowu uśmiechnął się od ucha do ucha.

-Tak samo się odgrażałem w sprawie palenia. Ale kiedy naprawdę rzuciłem papierosy, dosłownie chodziłem po ścianie.

-Widocznie się różnimy.

-Stawiam pięćdziesiąt dolarów - powtórzył, wyciągając rękę. - No to sto.

Z drugiego końca parkingu pewnym siebie krokiem zmierzał ku nim wysoki mężczyzna w eleganckim, biurowym stroju. Może jakiś prawnik wypatrzył z okna hotelu kolizję i znęcony perspektywą zarobku, spieszy zaoferować swe usługi.

Gwen po chwili wahania ujęła podaną dłoń i mocno ją uściśnęła. Nie stać jej było na przegranie stu dolarów, ale z drugiej strony nie mogła stracić twarzy.

-Stoi - rzekła. - Nie wiem, jak masz zamiar mnie sprawdzić, ale zakład stoi.

Mężczyzna podszedł tymczasem na tyle blisko, iż było widać, że na pewno nie jest prawnikiem. A jeśli nawet, to nie z gatunku tych polujących na drobne kolizje, lecz takich, co palą cygara, wykładają gabinety marmurem i noszą na ręku złote rolexy. Jedni i drudzy byli jej tak samo wstrętni.

-Travis, bój się Boga, ledwo przyjechałeś i już molestujesz ludzi na parkingu?

-Wysoki, okazały mężczyzna obdarzył Gwen uroczym uśmiechem. Co za

uśmiech! Jeżeli rzeczywiście jest prawnikiem, kto wie, czy nie warto zmienić o nich zdania, przemknęło Gwen przez głowę.

-Przepraszam za mojego przyjaciela - ciągnął przybysz, poklepując po plecach niższego mężczyznę. - Ma sześć siostr, które świata za nim nie widzą i wyobraża sobie, że żadna kobieta mu się nie oprze .

Gwen z zaciekawieniem pokręciła głową. Pan Zdobywca Świata i Jimmy Poczciwiec z czerwonego austina są zaprzyjaźnieni! Popatrzyła na obu, przygryzając z namysłem dolną wargę. Travis Rourke jest super, nie ma co gadać. Ale ten drugi, to całkiem inna para kaloszy. Nie ma na to słowa. Można tylko wydać głębokie westchnienie.

Rzuciła mu swój specjalny uśmiech, uśmiech połączony z jednoznacznym spojrzeniem. Miała nadzieję, iż zarówno uśmiech, jak i spojrzenie nie uszły uwadze Trvisa. Trzeba go trochę usadzić. Za dużo sobie pozwolił z tym zakładem.

-Hej! Cześć! - zawołała z udaną werwą. - Nazywam się Gwen Morgan.

-Och! - Mężczyzna lekko uniósł brwi. - Sylwetka wydała mi się znajoma.

No tak, musiał być wczoraj na przyjęciu, kiedy ona i Teddy ... Gwen poczuła ze złością, że palą ją policzki.

Wcale nie ze wstydu. Kto jak kto, ale wczorajsze zgromadzenie sztywniaków zasługiwało na to, żeby nimi potrząsnąć. ,Gwen zdawała sobie jednak sprawę, iż Lacy i tym razem zdołała nadać jej śmiałemu wyzwaniu pozory szczenięcego wygłupu.

Gwen przeciągnęła się leniwie, wyprężając ciało i zakładając obie ręce na kark. Wiedziała, że ten gest znakomicie prezentuje jej cielesne walory, a jednocześnie odsuwa wszelkie podejrzenia co ,do braku dojrzałości ich właścicielki.

-Ach, więc pan też był na aukcji! Zabawne. Nie wygląda pan na amatora bajońsko drogich, przesłodzonych obrazków z wizerunkami dzieci.

-Wręcz przeciwnie, kupiłem aż trzy - zaśmiał się przekornie.

-Nie może być! -Travis wydawał się zbity z tropu, ale czy dlatego, że przystojniejszy przyjaciel wszedł mu w drogę, czy z powodu niechęci do tego typu obrazów, tego Gwen nie umiała odgadnąć. Jak to, Adamie, to ty teraz inwestujesz w dzieła sztuki? A ja myślałem, że ściągnąłeś mnie tutaj, bo chcesz nabyć posiadłość.

Przyjaciel udał, że go nie słyszy.

-Nazywam się Adam Kendall - powiedział do Gwen, rzucając jej kolejny olśniewający uśmiech. Miło mi panią poznać. Pani macocha i ja ... byliśmy kiedyś blisko zaprzyjaźnieni.

Nie uszło jej uwadze, że zawahał się na chwilę, nim określił, kim byli. Blisko zaprzyjaźnieni. Znamy się na tym. Cóż może być bardziej oczywistego niż taki eufemizm?

A więc Czarownica nie zawsze była królową lodu? Bardzo ciekawe. Gwen zapisała sobie w pamięci tę interesującą informację. Można będzie zrobić z niej kiedyś dobry użytek.

Choćby zaraz ... Czekala na jakiś znak, nie mogąc się zdecydować, którego z tych dwóch fantastycznie atrakcyjnych facetów obrać za cel kolejnego podboju, i to był chyba właśnie ów potrzebny znak. Gwen powiodła palcami po gumowych wręczach kierownicy, oblizując z podniecenia wargi. "Bliski przyjaciel Lacy. Nie mogła lepiej trafić.

-Bardzo mi miło, panie Kendall - powiedziała, odwracając się bokiem i wskazując tylne siodełko. - W takim razie, proszę siadać.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Mroczny ganek. Tylko tego dziś brakowało. Po porannym spotkaniu z Adamem i późniejszej utarczce z Jennifer Lansing, wieczorem ledwo miała siłę podtrzymywać rozmowę przy stole. Wypiła więc trzy kieliszki szampana, mając nadzieję, że to ją ożywi, a tymczasem była tylko lekko pijana i czuła zbliżający się ból głowy.

A teraz kot! Potarła czubek nosa. Gdyby istniała jakaś sprawiedliwość, przeprawa z dawnym kochankiem powinna przynajmniej na resztę dnia zwalniać człowieka od wszelkich innych kłopotów.

Znała na szczęście obyczaje Hamleta. Ilekroć udało . mu się wymknąć z domu, kociak niezmiennie wdrapywał się na rosnący przy bocznej ścianie domu wielki dąb, po czym miauczał rozpaczliwie, żeby go ratować z opresji, w którą wpadł z własnej i nieprzymuszonej woli.

Wychyliła się przez balustradę i z zadartą do góry głową lustrowała tonące w mroku konary potężnego drzewa. Ups! Czując ostry zawrót głowy, uchwyciła się rękami poręczy i wzięła parę oddechów dla odzyskania równowagi. Trzeba się było ograniczyć do jednego kieliszka.

Zawrót w głowie wprawdzie minął, ale na gałęziach drzewa nadal nie mogła niczego wypatrzeć.

Zbierało się na deszcz i przez zasłonę ciemnych chmur nie przedzierał się najmniejszy odblask księżyca.

- Hamlet! - Cmoknięciami usiłowała zwabić zbłąkane kociątko, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie szum poruszanych wiatrem gałęzi.

Dlaczego nie miauczy? Przytrzymując się poręczy w obawie przed utratą równowagi, wychyliła się jeszcze bardziej w kierunku drzewa. Panująca wokół cisza wzmagala jej niepokój.

Niepotrzebnie się denerwujesz, tłumaczyła sobie. Gdybyś tyle nie piła, zachowywałabyś się rozsądniej. Nie mogła jednak opanować przyspieszonego oddechu, a jej ręce zaciskały się kurczowo na poręczy werandy.

Właśnie dlatego nigdy nie chciała mieć w domu żadnego zwierzaka. Przez blisko dziesięć lat odmawiała przyjaciółom, którzy w najlepszej wierze, nie rozumiejąc, że Lacy woli być sama, znosili jej najrozkoszniejsze psie szczeniaki, słodkie kocięta albo śpiewające kanarki. Raz przynieśli jej nawet złotą rybkę w akwarium, ale ich również odesłała z kwitkiem! Więc jak to się stało, że zbłąkany kotek przełamał w końcu jej opory?

Znowu cmoknęła w powietrze, modląc się o odzew, i ponownie usłyszała jedynie szum gałęzi. Nagły powiew wiatru przyniósł zapach róż kwitnących w ogrodzie za domem, lecz ani jednego kociego piśnięcia. A jeżeli gdzieś powędrował i nie umie wrócić? O nie, tylko nie to. Co za czarna noc!

Pochłonęłaby jak nic małego kotka o srebrzystym futerku.

- Hamlet, Hamlet, odezwij się! - Czuła rodzący się pod czaszką ból głowy. Oparła się o słupek, czekając, aż weranda przestanie się kołysać. - Hamlet, gdzie jesteś?

- Może nie jestem znawcą Szekspira - za jej plecami odezwał się znienacka męski głos - ale czy nie powinnaś raczej wołać Romea?

Lacy odwróciła się w okamgnieniu, z przerażenia chwytając się ręką za gardło.

-Adam, to ty? - wyszeptała zduszonym, nieprzyjemnie piskliwym głosem.

Ochłonawszy ze strachu,

poczuła na niego złość. - Ale mnie przestraszyłeś! Co ci przyszło do głowy, żeby się w ten sposób skradać?

- Najmocniej przepraszam - odparł uprzejmie, najwyraźniej zaskoczony jej przesadną reakcją. Byłem pewien, że mnie słyszałaś. Mojego nadejścia nie nazwałbym skradaniem się. Spotkanie z twoim sąsiadem było wręcz głośne.

- Z Silasem? Rany boskie! - Zapominając szybko o gniewie, przyjrzała się z przestachem twarzy Adama, szukając śladów obrażeń. - Wpadłeś na Silasa Jareda ?

- Nie raczył się przedstawić. Przystojny? Siwy? Z pokazną strzelbą? Nerwowo pokiwała głową. Silas wyciągnął strzelbę. Niedobrze.

- Interesujący jegomość, nie uważasz? - oświadczył Adam z wesołym uśmiechem. - Musi być do ciebie bardzo przywiązany. I nie lubi, żeby obcy mężczyźni płątali się po twojej posesji.

Lacy uśmiechnęła się mimo woli, wyobraziwszy sobie, jak Silas mierzy do Adama ze swojej staroświeckiej strzelby. Obrazek wydał się jej wyjątkowo zabawny - może za sprawą trzech kieliszków szampana ...

- Nie bierz tego do siebie - odezwała się, starając się mówić wyraźnie, bo język trochę się jej plątał.

Za nic nie chciała, by poznał, że jest na lekkim rauszu. - Po prostu po śmierci Malcolma Silas mianował się moim obrońcą. Robi to czasami trochę ... zbyt gorliwie. Ale nie ma się czegoś obawiać.

Jego strzelba od czasów wojny domowej nie widziała naboju.

- Owszem, powiedział mi, że nie jest naładowana - zaśmiał się Adam - ale wspomniał też o myśliwskim nożu, którym chętnie by się posłużył. - Postawił stopę na stopniu schodów i swobodnym gestem oparł się o poręcz. - No dobrze. Ale kto to taki ten Hamlet?

- Kto to... - powtórzyła z poczuciem winy, uświadamiając sobie, że zapomniała na chwilę o zgubionym zwierzątku. Widać stała się jeszcze bardziej roztrzępana, niż sądziła.

- Mój kotek - wyjaśniła, spoglądając znowu na gałęzie dębu. - Boję się, że wlaź na drzewo i nie umie zejść. Jest jeszcze niezdarny. Ma zaledwie cztery miesiące.

- Jakaś rozpieszczona oferma najczystszej rasy, o spłaszczonym pyszczku i futrze srebrnym jak czupryna Silasa?

Lacy poczuła się dotknięta tym opisem, nie uwzględniającym osobistego czaru i wdzięku Hamleta, który jednak w zasadzie odpowiadał rzeczywistości.

-Tak - odparła, zbyt zmęczona, by się kłócić.

-A co? Zauważyłeś takiego kota? Kiedy? Gdzie?

- Przed chwilą. Widziałem go przez kuchenne okno. Właśnie wylizywał koniak z kieliszka.

- Hamlet! - Lacy z uczuciem ogromnej ulgi rzuciła się z powrotem do domu. I rzeczywiście. Na kuchennym stole siedział przykucnięty Hamlet z pyszczkiem zanurzonym po wąsy w niemal pełnym kieliszku. .

- Hamlet! Psiak!

Przestraszony kociak poderwał znad kieliszka ociekający koniakiem pyszczek.

Jakkolwiek mały i nieporadny, wiedział jednak, że sprawa jest poważna.

Spróbował dać susa w bok, ale pośliznął się na gładkim blacie, wyrzucił na bok i trącając po drodze kieliszek, runął razem z nim na podłogę. Przez moment słychać było tylko szcęk tłuczonego szkła, wrzask kota i krzyki dwojga zaskoczonych niezwykle widowiskiem ludzi.

Lacy przypadła do podłogi, ale oszalały ze strachu, ociekający koniakiem Hamlet wymknął się jej z rąk i skoczył ku drzwiom.

-Adam, trzymaj go!

Mężczyzna Jednym błyskawicznym ruchem zatrzasnął drzwi i uwięził w dłoniach małego uciekiniera. Hamlet poniechał dalszej walki. Niewinnie mrugając ślepiami, pozwolił się podnieść z ziemi, po czym zwisał bezwolnie,

kiedy Adam, trzymając go jedną ręką za kark, a drugą podtrzymując mu łapki, podał zwierzątko Lacy.

-Ty niegodziwcze! - złażała go Lacy, z trudem tłumiąc śmiech. Hamlet przedstawiał komiczny widok; przypominał zmoczony tupecik. Lacy przytuliła kociaka z westchnieniem ulgi, a po chwili przeczesła palcami jego mokre futerko, sprawdzając, czy nie ma w sierści odłamków szkła.

Dopiero upewniwszy się, że zwierzątko wyszło z opresji cało, popatrzyła na Adama.

- Bardzo ci -dziękuję - powiedziała. Ze zdziwieniem spostrzegła, że Adam przypatruje jej się uważnie, z jakimś szczególnym wyrazem twarzy. - Naprawdę bardzo dziękuję - powtórzyła.

Pokwitował podziękowanie skinieniem głowy. Na jego twarzy błąkał się jakiś osobliwy uśmiech, a oczy patrzyły na Lacy z nowym zaciekawieniem.

- Co takiego? - nerwowo zapytała, zastanawiając się, czy może kępka kociego futra przylepiła się jej do twarzy. - O co chodzi?

Może to nie kocia sierść... Może coś znacznie gorszego. Teraz, kiedy minęło zdenerwowanie, Lacy uświadomiła sobie, jaką zrobiła z siebie idiotkę. Najpierw okazała bezradność, a potem wzburzenie. Straciła nad sobą kontrolę.

Miała ochotę nawymyślać sobie najgorszymi słowami. Oto dlaczego nie powinna była brać do domu Hamleta, kiedy chudy i żałośnie miauczący zabłąkał się pod jej drzwi. Pod wpływem zbyt długiego przywiązania człowiek wyprawia dziwne rzeczy. Staje się słaby.

Z tej samej przyczyny nie powinna była pić przy kolacji tyle szampana. Wyprostowała się i podniosła głowę, usiłując odzyskać utraconą godność, choć zdawała sobie sprawę, że mokre, włochate zwierzątko, które z cichym pomrukiem zabrało się do ssania przodu jej sukni, skutecznie niweczy te rozpaczliwe wysiłki. Na twarzy Adama rzeczywiście pojawił się wyraz rozbawienia.

- Co takiego? - powtórzyła ostrzejszym tonem.

Popatrzył na Lacy, potem na kota, potem znów na Lacy.

- Nic- odparł spokojnie. - Po prostu osobiście wolę psy. Lepiej znoszą alkohol - dodał z ironicznym błyskiem w oczach.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc - zaczęła, powstrzymując cisnący się na usta uśmiech - ale co właściwie robisz w moim domu?

- Poza tym, że w dosyć ciekawym meczu kocięcej piłki odegrałem rolę bramkarza, mam zamiar pozbierać szkło i wytrzeć podłogę - oświadczył, podchodząc do zlewu i sięgając po ścierekę.

- Naprawdę nie trzeba - jęknęła, bliska rozpaczcy.



Co się z nią dzieje? Jak doszło do tego, że jej kot. cuchnie alkoholem, kuchnia przypomina pobożowisko, a ... Adam Kendall szarogęsi się w jej własnym domu?

- Daj spokój, nie trzeba. Sama to potem upo ...

- Nie podchodź tutaj. Jesteś bosy.

Boże, to prawda! Popatrzyła ze zgrozą na swoje stopy. Musi pewnie wyglądać jak obłąkana.

Rozczochrana, w narzuconym na wieczorową suknię poplamionym fartuchu, oblepiona pęczkami kociej sierści, na bosaka.

- Uwaga, Lacy! - Adam zdążył tymczasem zdjąć marynarkę i przykleknąwszy ze ścierką w rękę na jedno kolano, zręcznie wybierał odłamki szkła z alkoholowej kałuży. - Najlepiej idź do łazienki i wsadź kota do wanny! - rzucił, spoglądając na nią z dołu. - Umiesz chyba wykąpać kota?

- Oczywiście, że umiem - odparła tonem usprawiedliwienia. Dlaczego się tłumaczy? Co ją obchodzi, co Adam myśli o kotach? A w ogóle, to skąd Adam znalazł się u niej, zamiast być na kolacji u Jennifer Lansing? I jakim prawem ośmiela się kpić z jej upodobania do kotów? "Umiesz chyba wykąpać kota?" Też coś!

- No to go wykąp - rzucił znad podłogi, zajęty porządkami. - I przy okazji sama wejdź do wanny.

Koniak nie należy do najprzyjemniejszych perfum. Zwłaszcza po paru godzinach.

Pociągnęła nosem. Ma rację. Niemniej nadal stała w drzwiach, ociągając się z odejściem, jakby niechętnie zostawiała go samego w swojej kuchni. A właściwie w kuchni Malcolma. Niemniej jednak ... za wiele w tym intymności.

Hamlet zdrzemnął się w jej ramionach. Poczwała przez skórę jego regularny oddech.

-Adam - podjęła sztucznym tonem. - Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. - Łatwiej jej się teraz mówiło, gdy nie musiała patrzeć mu w twarz. Chciałam tylko ... Nie myśl, że u mnie zawsze panuje taki bałagan. Ale miałam dziś szczególnie trudny dzień, a do tego bałam się, czy Hamletowi coś się nie stało. Możesz się ze mnie śmiać, ale on jest jeszcze taki malutki i ... Adam raczył wreszcie podnieść głowę.

- Nie musisz się usprawiedliwiać - przerwał sucho. - W niektórych częściach świata posiadanie ludzkich uczuć uchodzi za rzecz godną pochwały.

-Tak, ale ... - Niezdarnym ruchem odgarnęła włosy i udała, że się śmieje. - Po prostu, przy kolacji trochę za dużo wypłam. Właściwie to z rozpacz. Tilly przyprowadziła potencjalnego inwestora, który tak ją irytował, że na każde jego słowo mówiła nie, robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie, więc dla

ratowania sytuacja dolewałałam wszystkim szampana i w koń ... - Nagle się pohamowała.

Po co ja mu to wszystko mówię? - Nie chcę przez to powiedzieć - pospiesznie dorzuciła - że się upiłam.

- Broń cię Boże! - z szerokim uśmiechem oświadczył Adam, ujmując w palce zakrzywiony odłamek szkła. - Mogłaś wypić ... bo ja wiem? Dwa kieliszki? No, może trzy ...

- Skąd wiesz? - wybąkała.

Przekrzywił głowę i przyjrzał się Lacy z zadowoleniem.

- Jeśli dobrze pamiętam, po czwartym kieliszku lewa powieka opada ci o ćwierć centymetra, a po piątym zaczynasz ziewać i masz kłopoty z wymawianiem słów w rodzaju "niewyobrazalny". Zaś po szóstym zapadasz w sen.

Poczuła na policzkach płomienie. Jak mogła nie pomyśleć, że jej to wypomni. Na Boga, przecież była wtedy zaledwie smarkułą, usiłującą imitować grzechy dorosłych przy pomocy kupionego w lokalnym sklepie taniego piwa. Adam nie brał do ust żadnego alkoholu. Ani tamtego wieczoru, ani w ogóle nigdy. Mając ojca alkoholika, który stopniowo staczał się coraz niżej, poprzysiągł sobie, że za nic nie pójdzie jego śladem.

Niemniej poszedł z nią wtedy do stajni Tilly Barnhardt i był świadkiem jej ekscesów, które zakończyły się utratą przytomności. Po pierwszym piwie zrobiło się jej wesoło i zaczęła tańczyć.

Po trzecim odśpiewała wszystkie nadawane przez radio piosenki miłosne, wywołując popłoch wśród koni. Po piątym piwie puściły wszystkie hamulce i poczęła się dobieierać do Adama jak jakaś ladacznica. I wreszcie po szóstym usnęła jak dziecko w jego ramionach, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje zaloty.

- Ja ... - Pierwszy. raz od lata nie zdołała powstrzymać wypływających na jej policzki rumieńców. - Ja ...

Adam zaśmiał się cichym, gardłowym śmiechem.

Na jego dźwięk Lacy zaparło dech. W dawnych czasach uwielbiała ten jego cichy śmiech!

- Idź już, Lacy, weź kąpiel! - zachęcił ją wesoło.

-A może ja mam cię wykąpać?

Z płonącymi policzkami wybiegła z kuchni.

Nie była pewna, czy po wyjściu z łazienki zastanie go jeszcze w domu. A nawet, czy chce go zastać, czy nie.

Mimo pośpiechu doprowadzenie się do porządku zajęło jej co najmniej dwadzieścia minut. Zbliżało się wpół do dwunastej. Trochę późno jak na... Jak na co? Po co on tu właściwie przyszedł?

Może znudziło mu się czekanie i już go nie ma.

Cząstką świadomości liczyła na to, że sobie poszedł. Jednakże ubierając się w popielate trykotowe spodnie i za dużą koszulkę, która wyglądała przyzwoicie, a zarazem mogła potem służyć do spania, poczuła, iż inna jej cząstka wolałaby, żeby jeszcze był. Zapragnęła nagle się dowiedzieć, z jakiego powodu postanowił ją dziś odwiedzić. A także, by być całkiem szczerą, dlaczego kolacja z Jennifer Lansing zakończyła się tak wcześnie. Bo przecież Jennifer z pewnością planowała bardzo długą kolację, zakończoną śniadaniem w łóżku ...

Ponadto, myślała Lacy, szukając dalszych usprawiedliwień, rausz po szampanie już mi minął, więc byłoby dobrze pokazać Adamowi, że się pobierałam.

Ułożywszy zmęczonego wrażeniami Hamleta do snu na miękkim ręczniku, zbiegła krętymi schodami na parter.

Adam nie wyszedł. Przeniósł się do biblioteki, gdzie siedział wygodnie rozparty na obitym złotym gobelinem wysokim fotelu Malcolma. Lacy znieruchomiała na schodach. W ciągu swego pięcioletniego wdowieństwa miała kilku wielbicieli, ale wszyscy oni należeli do miejscowego towarzystwa i żywili dla Malcolma Morgana tak wielki szacunek, że żadnemu nie przyszedłoby nawet na myśl zasiąść w fotelu zmarłego.

Cały zresztą dom traktowali jak rodzaj muzeum jego pamięci. A do Lacy też, prawdę mówiąc, odnosili się jak do jednego z eksponatów.

Adam, rzecz jasna, nie mógł o tym wiedzieć. Ale nawet gdyby wiedział, pewnie wykpiłby tak nabożne traktowanie fotela. A poza tym, jako biedny, ale ambitny wyrostek, Adam nie znosił wyniosłego milionera w średnim wieku, jakim był Malcolm. Ten zaś już wówczas starał się na wszelkie sposoby poniżyć Adama w oczach Lacy i, rzekomo mając na uwadze jej dobro, namawiał do zerwania z chłopakiem, który, jak mówił, ciągnie ją w dół.

Nie. Nie znosił, to za mało powiedziane. Adam nienawidził Malcolma. Jeśli nawet w jego fotelu rozsiadł się nieświadomie, to nie znaczy, że nie byłby uszczęśliwiony, mogąc w ten czy inny sposób podeptać jego pamięć. Nie, prawdziwym szokiem była dla Lacy jej własna reakcja. Bo spoglądając na Adama siedzącego w fotelu z najnowszym numerem pisma "Cuisine" w rękę, uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że to złamanie uświęconego obyczajem tabu sprawiło jej autentyczną przyjemność.

Zajmując jego fotel, Adam włpłszył z pokoju widmo Malcolma.

Odetchnęła głęboko dla uspokojenia nerwów, po czym, ściągawszy mocniej związane nad karkiem włosy i poprawiwszy na ramionach luźną bawełnianą koszulkę, ruszyła szybkim krokiem przez foyer do biblioteki.

- Przepraszam, że tak długo czekałeś - powiedziała różnym tonem. - Trwało to dłużej, niż myślałam. Hamlet nie ułatwiał mi zadania.

- Domyślałam się. - Adam podniósł wzrok znad czasopisma. - Nic nie szkodzi. Właśnie zapoznałem się z "Trzydziestoma siedmioma sposobami unikania bałaganu w kuchni". O kotach nie było mowy.

- Rzeczywiście - uprzejmie przytaknęła. - Mnie chyba też nie przyszłoby to do głowy.

Adam odłożył pismo i czekał, co będzie dalej.

Ale Lacy nie wiedziała, o czym mówić. Było między nimi zbyt wiele tematów tabu. Nie będzie przecież z tym wspaniałym, męskim wspomnieniem swojej przeszłości rozmawiać o kuchni.

Adam najwyraźniej nie zamierzał ułatwiać jej sytuacji. Jakby wolał widzieć ją zażenowaną niż chłodną i opanowaną. Miał na twarzy ten swój charakterystyczny uśmiezek.

Starając się oczyścić umysł z resztek alkoholowego rauszu, Lacy zbliżyła się do orzechowego stołu, na którym Malcolm eksponował swą kolekcję żaglowców w butelkach, i zaczęła się wpatrywać w misternie wykonane modele statków, jakby widziała je pierwszy raz w życiu. Wołała nie patrzeć na Adama, którego dobrze znany uśmiech wprawiał ją w coraz większe zakłopotanie.

- Mogę ci coś zaproponować? - odezwała się wreszcie tonem uprzejmej gospodyni. - Może kawy?

-Nie, dziękuję.

- Koniaku? Albo ... zostało trochę owoców z kolacji.

- Nie - powtórzył. Jego uśmiezek był teraz wyraźnie kpiący. - Odręż się, Lacy. Jeżeli potrafisz.

Nie musisz mnie ugaszczać. Bez tego wiem, jaką jesteś nadzwyczajną gospodynią.

- Naprawdę? - zdziwiła się, przypominając sobie bałagan w kuchni i swoje żalotne biadolenie z powodu rzekomego zaginięcia kota,

Skinał głową.

- Stałaś się prawdziwą legendą. Od chwili przyjazdu ze wszystkich stron słyszę tylko zachwyty nad wspaniałością i niezrównaną elegancją pani Malcolmowej Morgan.

W jego głosie był jakiś osobliwy ton, który zbił ją z tropu. Nie wiedząc, co powiedzieć, powiodła palcami po szyjce jednej z eksponowanych na stole butelek. Normalnie nigdy, by sobie na to nie pozwoliła. Malcolm nie znosił śladów palców na szkle.

Coś się zmieniło. Zanim poszła do łazienki, Adam był .. no, może nie całkiem w przyjacielskim nastroju, ale w każdym razie uprzejmie życzliwy. Teraz z jego oczu wзираł chłód, a w głosie pobrzmiwały agresywne tony. I zdążyła

się już zorientować, że określenia "pani Morgan" używa wtedy, gdy coś mu się w niej nie podoba.

- Bardzo miło mi słyszeć takie opinie - powiedziała nienaturalnym tonem. - Ale oczywiście wszystko to przesada i ...

- Nie bądź skromna - wtrącił w pół słowa. - Powinnaś się szczycić swoimi osiągnięciami. Wszyscy dosłownie pieją na twój temat. Jak wspaniale gotujesz. Jaką jesteś nadzwyczajną i czarującą panią domu. No i oczywiście jaką byłaś uległą i oddaną małżonką. Słowem, idealną towarzyszką życia wiecznie zajętego milionera.

Lacy zrobiło się duszno. Miała uczucie, jakby Adam każdym słowem zadawał jej cios w serce.

- Dajże spo ...

- Kiedy to prawda - zaoponował tonem na pozór dobrotliwym, w którym jednak wyczuwała na dnie coś bardzo nieprzyjemnego. - Nie umiem powiedzieć, ile razy w ciągu ostatnich dwóch dni słyszałem właśnie takie określenie. Każdy powtarza, jakie Malcolm miał szczęście. Znalazł sobie idealną żonę.

-Wcale ...

Znowu nie dał jej dojść do słowa.

-Tak. Prawdziwy ideał - powtórzył, wskazując ręką namalowany na zamówienie Malcolma paradny portret, który wisiał na ścianie na wprost głębokiego fotela. - Gdybym nawet nie uwierzył w ludzkie opowieści, to musiałyby mnie przekonać, nie uważasz? Prawdziwy pan świata. Czyż nie wygląda jak kot, który połknął kanarka? A z ciebie jest taki śliczny kanarek ...

Lacy przymknęła na moment oczy. Poczwała w sercu nieznośny ciężar.

Nic dziwnego, że Adamowi zmienił się nastrój.

To przez ten ogromny, namalowany na pokaz, niemożliwie wyidealizowany portret. Malarz doskonale pojął intencje zamawiającego i z drobiazgową precyzją oddał wymarzoną przez Malcolma fantazję. Dziewiętnastoletnia podówczas Lacy, ubrana w słonecznie żółtą sukienkę, siedziała na krześle z rękami grzecznie złożonymi na kolanach, nad nią zaś górowała postać stojącego za krzesłem Malcolma, którego dłonie spoczywały ciężko na jej ramionach, jakby była żywą maskotką, wyczuwającą bez słów polecenia swego pana.

Gdyby nie gest rąk, można by sądzić, że Malcolm nie zdaje sobie sprawy z jej obecności, gdyż jego oblicze, na którym malował się wyraz samozadowolenia, było skierowane wyłącznie przed siebie, gdy tymczasem odwrócona profilem Lacy miała głowę lekko podniesioną i patrzyła na męża. W rzeczywistości nigdy, przenigdy nie patrzyła na Malcolma z tym wyrazem przymilnego zachwyty jaki miała na portrecie.

Malcolm uwielbiał ten obraz. Kazał go powiesić naprzeciw swego ulubionego fotela i często się weń wpatrywał. Niestety, pomyślała ze wstydem Lacy, Adam robi to samo od dwudziestu minut, siedząc naprzeciw portretu w Malcolim fotelu.

O mój Boże. Czemu nie zdjęła go ze ściany? Tyle razy już, już miała to zrobić, ale zawsze w ostatniej chwili brakowało jej odwagi. Portret od dziesięciu lat wisiał na tym samym miejscu.

Wszyscy goście, tak przed, jak po śmierci Malcolma, znali go i wychwalali. Zniknięcie portretu dałoby miejscowej socjocie asumpt do niekończących się plotek.

- Pan świata - odezwał się Adam, nie odrywając oczu od portretu - i jego idealna żona.

Dwa ostatnie słowa wypowiedział szczególnie nieprzyjemnym tonem. Tym samym obraźliwym tonem, jakim rozmawiał z Lacy podczas ich pierwszego spotkania, tonem wyrażającym najgłębszą pogardę dla jej małżeństwa. Dla jej rozpaczliwej próby zapewnienia sobie życiowego bezpieczeństwa i ludzkiego szacunku.

Przeklęty Adam! Co niby miała z sobą począć?

Adam uparł się wyjechać, nie miał ochoty się zenić, nie chciało mu się nawet poczekać, aż ona ...

A Malcolm czekał. Cokolwiek potem popsulo się między nimi, za to jedno winna jest mu wdzięczność.

I nie będzie się ze swojej decyzji tłumaczyć. Popatrzyła na Adama, starając się nadać swojej twarzy spokojny wyraz.

- Nie byłam idealną żoną - powiedziała cicho.

-Ale starałam się.

- Uhm - mruknął. Coś w jego oczach mignęło, ale raczej to wyczuła, niż zobaczyła. - Nie wątpię.

Odwróciwszy się od niej, powiódł spojrzeniem po pokoju, po wyłożonych ciemną orzechową boazerią ścianach, wiszących na nich morskich pejzażach, stojącym na biurku ciężkim kałamarzu i srebrnej popielniczce.

- Czekaając, aż doprowadzisz się do ładu, zdążyłem dosyć dokładnie zwiedzić pokoje. I wiesz co?

Myślę, że poza kuchnią nie ma w całym domu ani jednego przedmiotu należącego do ciebie. - W skazał palcem mosiężne wilki przed kominkiem. -

To dom mężczyzny. Dom Malcolma. Nie ma w nim ani jednego krzesła czy bodaj świecznika albo innego śladu świadczącego o twojej obecności.

Wiedziała, że to prawda. Ale to nie tak. Mogła przemeblować dom. Po tym, jak skończyła studia,

Malcolm oświadczył, że ma zaufanie do jej gustu i zgadza się, by urządziła część pokoi po swojemu.

Nie zrobiła tego przez rodzaj lenistwa albo raczej całkowitą obojętność na najbliższe otoczenie, którego nigdy nie uznała za swój dom.

W pewnym sensie było jej wszystko jedno.

- Niech ci będzie. To jest dom Malcolma - zgodziła się spokojnie. Jedynym przedmiotem w pokoju, który sama wybrała, było leżące teraz na kolanach Adama czasopismo. - I co z tego?

-To ... - zaczął, przekrzywiając głowę. - Właśnie się zastanawiałem. Czy na tym polega bycie idealną żoną? Żeby być nikiem? Tylko posłusznym cieniem? Niewidocznym duchem?

- Ponoś cię romantyczna wyobraźnia - ucięła ostro, dotknięta zawartą w jego opisie prawdą. - Nie jestem bohaterką gotyckiej powieści. Uważam, że dobra żona nie powinna majstrować przy nie swoich, delikatnych przedmiotach.

Dom Malcolma urządziły pokolenia jego przodków. U znałam po prostu, że powinien zostać w takim stanie, w jakim go zastałam.

Adam z wolna podniósł się z fotela. Krocząc po puszystym perskim dywanie, zbliżył się do Lacy, która, stojąc nadal koło stołu z żaglowcami w butelkach, nieświadomie ścisnęła w rękę jeden z eksponatów. Teraz nagle go puściła.

Butelka opadła na swą podstawę, a delikatny żaglowiec w środku niebezpiecznie zabrzęczał. Adam rozejrzał się z uśmiechem po stole.

-W takim stanie, w jakim go zastałaś ... Malcolm lubił, żeby każda rzecz była na dawno ustalonym miejscu. Czy tak? Najlepiej unieruchomiona, pod szklanym kloszem, niedotykalna.

- Za wiele sobie ... - zaczęła ostro.

- Żebyś wiedziała! - Adam oparł się gwałtownie stół, aż nieszczęsne butelki zachybotwały się i zadzwięczały, stając tak blisko niej, że poczuła zapach jego płynu po goleniu. - Pozwalam sobie powiedzieć, że Malcolm traktował cię jak jeden ze swoich eksponatów, że trzymał cię pod szklanym kloszem, i jeszcze pozwolę sobie powiedzieć, że chociaż nie żyje od wielu lat, ty wciąż nie masz odwagi się wyzwolić.

- Jesteś w błędzie.

- Nie, nie jestem w błędzie. - Adam musnął palcami jej związane w "koński ogon" włosy. - To on nauczył cię nosić włosy gładko zaczesane i ciasno związane. To on kazał ci się ubierać w proste, gładkie spódniczki, używać pastelowych kosmetyków, mówić łagodnie modulowanym głosem, zdobyć solidne tradycyjne wykształcenie. - Wskazał jej dłoń, na której nosiła ciężki, kwadratowy brylant, dar Malcolma. - Tylko biżuterię mogłaś nosić krzykliwą.

Głos odmawiał jej posłuszeństwa. Skąd on to wszystko wie? Jego domyślność obudziła w niej bezradną wściekłość.

Adam położył jej ręce na ramionach, a ona poczuła mimowolny dreszcz.

- Pozwalam sobie wysunąć przypuszczenie, iż życzył sobie, żebyś dzieliła wszystkie jego przekonania.

Musiałaś jego przyjaciół uważać za swoich przyjaciół, a nienawidzić jego wrogów. Pewnie mówił ci nawet, jak masz głosować.

Z trudem powstrzymała łzy, które cisnęły się jej do oczu. Tej przyjemności mu nie zrobi. Za nic w świecie nie rozplacze się w jego obecności.

- Pozwalam sobie wysunąć przypuszczenie ciągnął Adam, ścisząc głos i przesuując dłonie po jej ramionach - że kazał ci kochać się po cichu. I biernie przyjmować jego zaloty. Nie zagrażać mu własną inicjatywą w łóżku. A potem pewnie musiałaś mu dziękować.

- Jak śmiesz? - wykrztusiła, nie wiedząc, czy bardziej pali ją dotyk jego rąk, czy ranią słowa. Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy o mnie i ...

Adam bez słowa podniósł dłoń i ujmując jej podbródek, zmusił Lacy do popatrzenia na kominek.

Dopiero teraz spostrzegła, że na półce nad kominkiem, na swoim zwykłym honorowym miejscu, stoi obraz "Blisko raj", podarowany przez nią na aukcję.

Wreszcie zrozumiała, co sprowadziło dziś Adama do jej domu. Kupił obraz na aukcji, żeby móc go jej oddać. Domyślił się, jak go nie cierpi, nie dał się zwieść jej uczonym zapewnieniom. A teraz odniósł obraz, żeby zadać jej kłam.

- Stał - szepnął jej do ucha. - Chyba sporo się dowiedziałem z obrazów, którymi za twoim przyzwoleniem twój mąż ozdabiał wasz dom, nie uważasz?

- Niby czego takiego się dowiedziałeś z tego akurat obrazu?

- Nie nabierzesz mnie, Lacy. Dobrze wiesz, o czym mówię - odparł, mocniej przytrzymując jej brodę. - Przyjrzyj się tej parze. Kochają się.

Alenajwidoczniej robią to po cichu, skoro nie obudzili dziecka. A kobieta leży jak martwa, jej ciało jest sztywne, nie bierze w niczym udziału. Ma otwarte oczy, chociaż mężczyzna dotyka jej piersi. Usta ma zaciśnięte, a ciało napięte, nie uległe.

-Ale... - Lacy Z trudem przełknęła ślinę. - Co ona ... ja...

Chciała mu powiedzieć, żeby dał jej spokój, żeby poszedł sobie do diabła. Nic z tego. W głowie jej szumiało, nie była w stanie wydobyć głosu. Dłoń Adama osunęła się na jej szyję, drażniąc nerwy i budząc drzenie. Po chwili jego palce spłynęły w dół, posuwając się powoli po jej ciele ku coraz mocniej bijącemu sercu.

Cienka bawełniana koszulka nie dawała osłony, a pod spód nic nie włożyła.

Równie dobrze mogłaby być naga. Oddychała głęboko, próbując się opanować, i w odruchu samoobrony podniosła ręce do piersi.



-Ty tak nie wyglądasz, Lacy, kiedy się kochasz - wyszeptał Adam. Dotykał teraz jej piersi na tyle mocno, że całe jej ciało przeszedł bolesny dreszcz. - Ty płoniesz i wijesz się jak w ogniu. I krzyczysz rozpaczliwie, przerażona własnym pożądaniem. Pławisz się w rozkoszy, wydając jęki zdolne doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

Nie, to nieprawda, usłyszała w duchu jakiś głos. Już nie.

- Myślałaś, że zapomniałem? - mówił dalej, pieszcząc jej ciało wymyślnie i czule zarazem. Koszulka zsunęła się, obnażając ramię. Poczula jego oddech na skórze, kiedy jego usta zbliżyły się do jej ust. - Myślałaś, że kiedykolwiek zdołam zapomnieć?

Tak, to prawda, przemknęło jej przed głowę w nagłym błysku świadomości. Myślała, że zapomniał.

Jak inaczej mogła sobie tłumaczyć jego dziesięcioletnie milczenie? Wszak to smutek porzucenia pchnął ją w chłodne ramiona Malcolma.

Lacy wielkim wysiłkiem woli pokonała cielesne sensacje spowodowane bliskością Adama. Nie powinna robić sobie złudzeń. Dziesięć lat temu kochał ją namiętnie, a potem odszedł bez pożegnania.

Teraz będzie tak samo.

To nie miłość. To nawet nie fizyczne pożądanie.

Przeniknęła go na wylot. To tylko samolubna gra, mająca dowieść, że wszystko potrafi z nią zrobić.

Nie może 'znieść myśli, iż Malcolm Morgan, jego odwieczny konkurent, odbił mu Lacy. Tak naprawdę, to wcale nie chodzi mu o nią, ale o to, by w jakiejś chorej grze miłosnej pokonać nieżyjącego rywala.

Niewiele brakowało, a dałaby się podejść. Otrzeźwił ją nagły pałacy wstyd, pozwalając oprzeć się jego zakusom. Przybierając sztucznie nonszalancki ton i modląc się w duchu, żeby głos nie odmówił jej posłuszeństwa, powiedziała:

- Jeżeli o to ci chodziło, jeżeli szukałeś szybkiego seksu na najbliższą noc, to trzeba było zostać u Jennifer Lansing. Jestem przekonana, że chętnie poszłaby ci na rękę.

Podniósł głowę, najwyraźniej zaskoczony jej chłodnym tonem. W lustrze naprzeciw widziała niewyraźnie odbicie jego twarzy, na której znowu pojawił się ten charakterystyczny uśmiešek.

- Chyba zbyt chętnie - odrzekł z namysłem. Chyba lepiej mi smakuja trudniejsze podboje. Zamiast skoczyć do łóżka z miejscową puszczałką, wolę spróbować, czy uda się obudzić śpiącą królowę.

- Bardzo możliwe - spokojnie przyznała. - Niestety boję się, że tym razem porwałeś się z motyką na słońce. Nie jesteś pierwszym mężczyzną: któremu przyszła chętka, żeby pokusić się o uwiedzenie wdowy po Malcolmie Morganie. I pewnie nie będziesz ostatnim.

Jego twarz przybrała ironiczny wyraz. Oderwał ręce od jej piersi i cofnął się o krok.

- Pewnie nie ostatnim - odrzekł, składając na jej ramieniu lekki, pożegnalny pocałunek, który był jakby obietnicą i groźbą zarazem. - Ale najlepszym.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Gwen miała własny klucz do rezydencji Morganów, ale od pięciu lat, od śmierci ojca, ani razu z niego nie skorzystała.

Malcolm zastrzegł w testamencie, że córka ma prawo mieszkać w rodzinnym domu, gdyby miała ochotę, lecz podczas odczytywania jego ostatniej woli Gwen pokwitowała ów zapis pogardliwym mruknięciem. Toteż ilekroć otrzymywana na mocy testamentu pensja skończyła się przed końcem miesiąca i trzeba było szukać darmowego lokum, Gwen z ostentacyjną kurtuazją pukała do drzwi i pytała Lacy, czy może się u niej na pewien czas zatrzymać.

Normalnie cała ta sarkastyczna ceremonia wprawiała Lacy w irytację. Dziś jednak była siostrzenicy wdzięczna. Gwen swoim zwyczajem trzymała palec na dzwonku o wiele dłużej, niż było to potrzebne. Lacy miała więc czas odsunąć się od Adama i sprawdzić w lustrze, czy jej wygląd nie zdradzi, co się z nią przed chwilą działo.

- Przepraszam - rzuciła - ale muszę zobaczyć, kto przyszedł.

Nie odzyskała jeszcze na tyle pewności siebie, aby spojrzeć mu prosto w twarz, lecz przechodząc przez pokój, kątem oka dostrzegła jego odbicie w lustrze i zobaczyła, że patrzy na nią z zaciekawieniem, jakby obserwował jakieś intrygujące przedstawienie.

Niech go diabli! Myśli, że tylko udaję. Dawniej rzeczywiście tak bywało. Kiedy czuła się nieszczęśliwa, udawała chłodną obojętność, aby nie zdradzić swoich prawdziwych uczuć. Jednakże w ciągu minionych lat chłód stopniowo wchodził jej w krew, aż stał się w końcu jej drugą naturą.

Jej nową, prawdziwą naturą.

Otworzyła wejściowe drzwi.

- Witaj, Gwen! - powiedziała z udaną słodyczą.

- Co za miła niespodzianka!

Gwen parsknęła śmiechem. Najwyraźniej wszystkich dzisiaj rozbawiam, pomyślała Lacy, wpuszczając pasierbicę do środka.

- Pewnie nie posiadasz się z radości - oświadczyła Gwen, z wysiłkiem przeciągając przez próg wielką i ciężką turystyczną torbę. Wlokła ją za sobą, idąc tyłem, a w przewieszonym przez ramię na długim pasku podręcznym neseserku, który objął się o jej biodro, pobrzękiwały kosztowne flakoniki i bransoletki.

Gwen dotarła wreszcie do oświetlonego żyrandolem holu i Lacy stwierdziła, że dziewczyna ma na sobie wyjątkowo, nawet jak na nią, ekstrawagancki strój. Do obcisłej trykotowej bluzeczki w jaskrawe różowo-pomarańczowe kwiaty włożyła turkusowe szorty, chyba z kaszmiru. Rozwiane włosy związała na karku zieloną jedwabną apaszką, a jej sztucznie dorobione paznokcie były pomalowane lakierem w pasującym do szminki kolorze lilaróż.

Lacy za dobrze jednak знаła się na ubraniu - Malcolm nie byłby sobą, gdyby również w tej dziedzinie nie zadbał o jej wykształcenie - by nie odgadnąć, że ta orgia kolorów musiała w sumie kosztować dobre tysiąc dolarów. Nic dziwnego, że Gwen nie ma pieniędzy na mieszkanie.

Gwen znudziło się wleczenie ciężkiej torby i teraz dla odmiany zaczęła ją popychać kopniakami.

- Nie zamierzałam lądować ci na głowie. Szpanowałam u Cartwrighta, ale niestety moja Visa powiedziała pas, i musiałam się wynosić.

Lacy skrzywiła się w duchu. Szybko przerwała pasierbicy, by nie dopuścić do dalszych kompromitujących zwierzeń.

- Zostaw tę torbę na razie w holu, Gwen. Potem pomogę ci ją wnieść na górę. Pozwól, że ci przedstawię znajomego z dawnych czasów.

Gwen z zaciekawieniem zerknęła w stronę salonu. Fakt, iż jej finansowe kłopoty zostały publicznie ujawnione, wcale jej nie speszył. Była nim raczej ubawiona.

-A niech mnie ... - oświadczyła, zaczepnym ruchem biorąc się pod boki i uśmiechając się szeroko do Adama, który wyłonił się z salonu, trzymając w rękę żagłowiec w butelce, jakby właśnie go oglądał. - Pan mecenas od ulicznych wypadków!

- Mecenas od wypadków? Co też ty mówisz! zdziwiła się Lacy. - Nie, Owen, to pan Adam Ken ...

-Wiem, pan Kendall. Zdażyliśmy się już poznać - oznajmiła triumfalnie Gwen. - No więc jak Adamie? Decydujesz się na przejażdżkę?

Adam uśmiechnął się, z wolna obracając w rękach butelkę.

- Chyba poczekam jeszcze parę dni, aż opanujesz swojego rumaka.

- Jak ci nie wstyd! - wykrzyknęła Gwen, zamaszystym, wyzywającym gestem ściągając z włosów zieloną apaszkę. - Jest rozgrzany i gotowy, tylko jechać.

- Gwen, co to ... - odezwała się wreszcie nic nierozumiejąca Lacy, pozwalając sobie na lekko karzący ton.

- Ja i twoja pasierbica poznaliśmy się dziś po południu na parkingu u Cartwrighta - wyjaśnił Adam. - Gwen, która jechała na motocyklu, uderzyła w samochód mojego przyjaciela, a mnie wzięła za prawnika, który wytoczy jej proces o odszkodowanie i wyczyści konto bankowe.

Gwen z wesołym śmiechem zebrała włosy do góry, ukazując w pełnej krasie swą łabędią szyję, po czym z powrotem opuściła ręce, pozwalając jasnym kędziorom opaść na ramiona.

- Które i tak jest puste - dorzuciła. - O czym przekonali się u Cartwrighta. Gwen kupiła sobie motocykl? I w kogoś wjechała? To by tłumaczyło wzmiankę o odszkodowaniu.

Wyzywające pozy Gwen nie wymagały wyjaśnień. Dziewczyna flirtowała z każdym napotkanym mężczyzną, od nieszczęsnego Teddy'ego Kilgore'a poczynając.

A Adam byłby, rzecz jasna, o wiele efektywniejszą zdobyczą niż Teddy.

Łatwo było przewidzieć, iż Gwen roztoczy wszystkie swoje sztuczki i czary przed takim jak on mężczyzną, którego postać rysowała się imponująco na tle drzwi salonu, a opalone, męskie dłonie, w których trzymał kruchą butelkę, emanowały zmysłowością.

Bardziej zdziwiła Lacy jej własna reakcja. Dlaczego tak ją irytuje, że Adam przyjmuje jednoznaczne zaloty Gwen? Co ją to obchodzi? Nie zależy jej na Adamie. Nie wie nawet, kim się stał, a to, czego zdążyła się o nim dowiedzieć, jest raczej odpychające. Stał się arogancki, beczelny, efekciarski, pewny siebie. Typowy dorobkiewicz.

-Ale, ale, w co ja tu wdepnęłam - odezwała się Gwen. - Może przeszkadzam? Nie powiecie mi chyba, że gracie w butelkę jednym z beczennych eksponatów mojego taty?

- Nie opowiadaj głupstw, Gwen. - Lacy zdecydowanym krokiem podeszła do Adama, wyjęła mu z rąk butelkę, omijając go weszła do gabinetu i ostrożnie odstawiła delikatny przedmiot na stół. Już późno. Adam właśnie wychodził - powiedziała. - Oho! - mruknęła Gwen, puszczając do Adama oko. - Zdaje się, że cię wyprasza.

- Masz w swoim pokoju wszystko, co ci potrzeba - oświadczyła Lacy, zwracając się do Gwen. Pokój pasierbicy był zawsze gotowy na jej przyjęcie. - Możesz zabrać swoje rzeczy i się rozpakować.

- Oho! - kpiącym tonem zawtórował dziewczynie Adam. Gwen i on wymienili pełne wzajemnego współczucia, porozumiewawcze spojrzenia, a Lacy, która to dostrzegła, poczuła się na moment samotna i odrzucona. Natychmiast jednak zdławiła nieprzyjemne uczucie. Gwen od dziesięciu lat konsekwentnie odrzucała próby nawiązania z nią kontaktu. Lacy zdążyła się do tego przyzwyczaić.

- Gwen? - spytała rzeczowym tonem. - Pomóc ci zanieść torbę na górę?

- Nie trzeba. Potem ją zabiorę. Strasznie tu powiało chłodem, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Gwen owinęła sobie apaszkę fantazyjnie wokół szyi i poprawiła rzemyk torby na ramieniu. - No to nie będę dłużej przeszkadzać w pożegnaniach czy nie wiem coście tam mieli w planie.

Z tymi słowami ruszyła w górę schodów, ofiarowując Adamowi widok swego tyłeczka tylko symbolicznie okrytego turkusową minispódniczką. Dotarłszy do podestu, odwróciła się i rzuciła figlarnie:

-Ale pamiętaj, Adamie, jeżeli tylko przyjdzie ci ochota na bardziej fantazyjną wycieczkę w góręjszej atmosferze, daj mi znać.

Cały następny ranek Lacy spędziła przy telefonie. O jedenastej rozboleła ją ucho, ale była z siebie zadowolona. Od dwóch kolejnych biznesmenów uzyskała obietnicę finansowego wsparcia dla nowo otwartego oddziału szpitala; odbyła długą rozmowę z Karą Karlin, która miała zapewnić pomoc wolontariuszy podczas mającej się odbyć w przyszłym tygodniu wystawnej kolacji dla darczyńców; zdążyła też omówić koszt druku broszury reklamującej plan rozbudowy szpitala.

Przed wszystkim zaś uniknęła sam na sam z pasierbicą.

Gwen, o dziwo, wstała wczesnym rankiem. Może nauczyła się tego, pracując jako opiekunka do dzieci. Dawniej Gwen z reguły zwlekała się z łóżka około południa i z tragicznie zmrużonymi oczami snuła się po domu, jakby słońce było wrogim statkiem kosmicznym wysyłającym na ziemię śmiertcionośne promieniowanie.

Dziś jednak zerwała się o ósmej, wzięła prysznic, a o dziewiątej była już ubrana ,w czarne skórzane spodnie i jasnoróżową, obcisłą bluzkę. C? dziesiątej pojawił się Teddy Kilgore i teraz siedzieli we dwójkę w pokoju Gwen, zaśmiewając się i niezbyt udatnie brzdąkając na gitarze do wtóru nastawianej na pełny regulator aparatury stereo.

Słyszac, jak Gwen zamyka drzwi od środka nil klucz, Lacy odczuła absurdalny poryw macierzyńskiego niepokoju, który jednak natychmiast ugasiła. Ostatecznie Gwen ma dwadzieścia trzy lata i na kazania na temat przyjmowania chłopców w sypialni jest już od dawna za późno.

Toteż Lacy zadowolili się cichym westchnieniem i, wykręciwszy numer telefonu towarzyskiego

działu miejscowej gazety, starała się nie nasłuchiwać dochodzących z pokoju na górze odgłosów ani nie myśleć o tym, że dopóki się śmieją, a Teddy gra. na gitarze, Gwen nie popełnia poważnego życiowego błędu.

Zdawała sobie sprawę, że jej obawy nie mają sensu. Nie jest matką Gwen. W gruncie rzeczy nie jest nawet jej macochą. Jest tylko przeklętą zawadą, jak to kiedyś uprzejmie ujęła Gwen. A jednak ... chciałaby móc uchronić dziewczynę od własnych młodzieńczych błędów. Zbyt dobrze wiedziała, jak fatalne mogą być ich skutki.

W redakcji nikt nie odbierał telefonu. Musiała wykręcić niewłaściwy numer. Odłożyła słuchawkę i w tym momencie telefon zadzwonił.

Telefonowała Jennifer Lansing. Lacy stłumiła jęk.

Musi być dla niej grzeczna. Dosić się namęczyła, żeby Jennifer zgodziła się pomóc w zorganizowaniu specjalnej kolacyjnej zbiórki pieniędzy na szpital. Jennifer na ogół rezerwowała energię na własne cele, a Lacy musi od niej wydostać specjalnie chłodzone piersi z kurczaka, bez których cała kolacja byłaby na nic. Mimo różnic opinii na niemal każdy możliwy temat, w sprawie kurcząt a la Jennifer wśród socjety Pringle Island panowała powszechna zgoda. Wszyscy uważali je za najlepszą potrawę w całym mieście.

- Jennifer! - Z udaną radością wykrzyknęła Lacy.

-Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Pamiętasz, że robię na ciebie zamach na przyszły tydzień? No więc jak, czy będziesz mogła nam pomóc? Nie muszę chyba powtarzać, jak bardzo liczę na twoje kurczęta. Bez nich kolacja będzie taka jak powinna.

-Tak, kochanie, właśnie w tej sprawie dzwonię. - Jennifer mówiła słodkim głosikiem, z którego Lacy natychmiast wywnioskowała, że ma jakiś interes. Co zresztą było do przewidzenia. Jennifer nie robiła niczego za darmo, dzięki czemu potrafiła na każdy wybrany przez siebie cel wykopać pieniądze choćby spod ziemi. - Chciałabym o tym porozmawiać.

Ale Lacy też nie była w tej grze nowicjuską. Jennifer jej nie zaskoczy.

-To świetnie się składa - powiedziała uprzejmie.

- Słucham cię.

-Wiesz pewnie, że w sobotę organizuję dzień latarni morskiej.

Lacy o tym wiedziała. Jennifer, jako dyrektorka Towarzystwa Historycznego, kierowała renowacją starej latarni morskiej, położonej na samym czubku przylądka Hazardzisty. Cała miejscowa śmietanka, przebrana w postrzępione dzinsy i sportowe koszulki, miała w najbliższy weekend zająć się mieszaniami cementu, wykopywaniem chwastów, zbieraniem śmieci i chlapaniem farbą. Lacy nie zamierzała wziąć w tym udziału, po prostu dlatego że była po uszy zajęta przygotowaniami do własnej charytatywnej kolacji.

- Szczerze mówiąc, liczyłam na trochę szerszy oddźwięk - ciągnęła Jennifer. - Doktor Blexrud i jego żona odwołali swój udział, a połowa harcerskiej drużyny Poszukiwaczy Przygód zachorowała na zatrucie pokarmowe. Widocznie daleko im jeszcze do zdobycia złotej odznaki biwakowych kucharzy.

- Strasznie mi przykro. - Lacy wciąż nie mogła się zorientować, do czego Jennifer zmierza. Bo też słuchała jej jednym uchem, częściowo zajęta podsłuchiwaniami, co dzieje się w pokoju Gwen, skąd od paru chwil

dochodziły dźwięki erotycznej piosenki w wykonaniu Erica Claptona, a brzdąkanie Teddy'ego na gitarze całkowicie ucichło.

- Otóż ... - Głos Jennifer brzmiał teraz zdecydowanie. Najwidoczniej szykowała się do decydującego uderzenia. - Byłabym szalenie wdzięczna, gdybyś mogła się do nas przyłączyć. Wiem, jaka to brudna robota, ale mam nadzieję, moja droga, że wśród swoich markowych ciuchów znajdziesz parę zwyczajnych dżinsów.

Lacy uznała za stosowne nie zareagować na ten przytyk. Nikt lepiej od Jennifer nie wiedział, że Lacy nie unika ciężkiej roboty. Ileż to razy ramię w ramię machały łopatami albo wbijały gwoździe - urządzając boisko do zabaw w szkole podstawowej, sadząc w parku drzewa, zbierając śmiecie z publicznej plaży, i wykonując tysiące innych podobnych prac.

Zresztą nadal nie mogła się zorientować, do czego Jennifer zmierza. Miała na ogół większe wymagania niż to, o którym wspomniała.

- Chętnie się przyłączę - oświadczyła Lacy, Chociaż prawdę mówiąc, nie bardzo widzę, w jaki sposób jedna para rąk ma ci zastąpić gromadę zdrowych dorastających chłopaków, Chcesz, żebym ci przyprowadziła Gwen?

- Hm ... oczywiście. Będę wdzięczna. - Jennifer na chwilę umilkła. - Pomyślałam też o Adamie Kendall. Nie mogłabyś go namówić, żeby się do nas przyłączył? Gdybyśmy miały kogoś z jego ... umiejętnościami, robota poszłaby jak z płatka, a: ja miałabym czas, żeby upiec kurczaki na twoje przyjęcie.

Tu cię mam! Pistolet Jennifer wreszcie wypalił.

Więc o to jej od początku chodziło! O Adama Kendalla. Ale czy ta kobieta naprawdę sobie wyobraża, że Lacy może dyktować Adamowi, jak ma spędzać weekendy? Gdyby widziała, z jaką pogardą mówił o jej małżeństwie ...

-Ależ Jen, dlaczego sama się z tym do niego nie zwrócisz? Przecież był u ciebie wczoraj na kolacji.

Gdybyś mu wytłumaczyła, jakie masz kłopoty, na pewno by ci nie 'odmówił.

-Więc obie go poprośmy - sprytnie wybrnęła Jennifer. - Znamy chyba do spółki dosyć kobiecych forteli, żeby nie mógł się nam oprzeć.

Kobiece fortele. Czy Adam Kendall za to cenił kobiety? Dziesięć lat temu stanowczo nie. Ale w

ciągu dziesięciu lat wiele mogło się zmienić.

Od paru chwil sufitem wstrząsały dziwne, miarowe uderzenia, od których w górnym żyrandolu drżały kryształowe pryzmaty, rzucając na ściany tęczowe błyski. Gwen, nie ... Och, Gwen, nie bądź lekkomyślna.

Lacy podparła ręką czoło i przymknęła oczy.

- Dobrze, Jen - powiedziała, czując nagle zmęczenie, chociaż zaledwie dochodziło południe. - Poprosimy go obie.

Gwen z radosnym uśmiechem opadła na łóżko. Była zmordowana i zlana potem. Trzeba będzie drugi raz wejść pod prysznic. Ale było warto. Dawno się tak nie ubawiła.

Ale Teddy'emu wciąż było za mało. Stojąc okrakiem na drugim łóżku, rzucał głową na wszystkie strony, aż włosy mu fruwały i udając, że gra na wymyślonej gitarze, podskakiwał jak wariat na materacu, którego sprężyny pewnie diabli wzięli. Prawdę mówiąc, bardziej przypominał tasmańskiego diabła niż Erica Claptona, ale Gwen nie miała mu tego za złe. Kiedy przestał udawać donżuana i stał się na chwilę normalnym człowiekiem, był naprawdę super.

Wreszcie i on miał dosyć. Ciężko dysząc, padł na drugie łóżko z przylepionymi do czoła włosami, i śmiejąc się od ucha do ucha, popatrzył na Gwen.

- Dobrze tańczysz, nie ma co - powiedział. - A teraz nastawmy jakiś rap. Masz może któryś z kompaktów tego odlotowego faceta? No wiesz, od tej piosenki ...

Gwen po kawałku odklejała od nóg skórzane spodnie. Do takich ćwiczeń trzeba było ubrać się w szorty. Ale kto mógł przewidzieć, że Teddy potrafi być taki fajny. Myślała, że zabierze go na przejażdżkę motocyklem i do końca dnia będzie się oganiać od jego zaślinionych pocałunków.

- Ja tam nie słucham rapu - oświadczyła, podnosząc się na łokciu. - Słuchaj no, od tego tańczenia zachciało mi się pić. Bądź tak miły i przynieś mi puszkę coli.

- To twój dom - mruknął niechętnie. - Sama idź.

Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

- Cykor. Boisz się, że Czarownica cię ugryzie, czy co?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Mówisz o Lacy? A co ty! Kto by się jej bał? Nie ma fajniejszej osoby niż ona.

- Nie ma fajniejszej osoby? - Gwen zakryła twarz ręką. - Rany! Daj spokój.

- Ale tak jest. Wszyscy ją uwielbiają.

- Daj spokój - rzuciła ze złością Gwen, przewracając się na brzuch. - Nie drażnij się ze mną. Przynieś mi colę albo wynoś się do domu.

Teddy, z głośnym narzekaniem na kapryśne baby, podniósł się i poczłapał boso na parter. Gwen leżała nieruchomo na łóżku, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Jej poprzednia euforia kompletnie wyparowała. Czuła się jak przekłuty balon. Po cholere wspomniała o Lacy! Mogła przewidzieć, co z tego wyniknie.

Nawet Teddy uważał ją za ideał. Co za ironia?



Czy na tej idiotycznej wyspie naprawdę nikt nie widzi, że ta kobieta w ogóle nie jest człowiekiem?

Była prawdziwym żonorobotem, zaprogramowanym do tego, żeby zbierać na studiach same piątki, gotować wieczór w wieczór wystawne kolacje i podlizywać się ludziom, z którymi jej mąż robił interesy. W programie tego robota nie było miejsca na błędy, nawet tak małe jak źle dobrana szminka czy brak guzika przy bluzce. Nie było w nim miejsca na czułość, na przytulanie i pocałunki, na opowiadanie bajek przed snem. Na to, by bodaj zauważyć obecność kręcącej się po domu niezdarnej, dorastającej pasierbicy, rozpaczliwie spragnionej kobiecego zainteresowania.

Tak. Lacy była zawsze bezbłędnym żonorobotem.

A teraz stała się idealnym robotem wdową. Nic się nie zmieniło.

Wrócił Teddy, niosąc w obu rękach po puszcze coli. Gwen złapała swoją i szybko ją otworzyła.

- Już mi lepiej - westchnęła z ulgą. - Dziękuję.

Teddy był nienaturalnie milczący. Gwen dopiero po chwili spostrzegła, że dzieje się z nim coś szczególnego. Siedział na krawędzi łóżka z przyklejonymi do czoła włosami, jego bose, wystające

Z nogawek stopy przypominały dwie wielkie białe ryby, miał zmarszczone czoło, a oczy spuszczone.

- Co ci jest? - spytała Gwen, trącając go nogą.

- Nie obrażaj się. Jeżeli koniecznie chcesz, znajdziemy jakiś rap w radio.

-Wcale się nie obrażam. - Teddy z zatroskaną miną otarł rosę ze swojej puszki. - Tylko że ...

Wiesz, zdarzyło się coś dziwnego. Kiedy przechodziłem koło drzwi salonu, Lacy rozmawiała przez telefon.

- Co w tym dziwnego? - parsknęła Gwen. - Ta kobieta spędza pół życia przy telefonie. Zawsze się komuś podlizuje, żeby zdobyć pieniądze na to czy tamto. To jej zawód.

-Ale tym razem rozmawiała z prywatnym detektywem.

Gwen z wolna podniosła się na łóżku, przypatrując się chłopcu z niedowierzaniem.

- Z kim?

Teddy miał nieszczęśliwą minę i Gwen uświadomiła sobie nagle, jak bardzo jest jeszcze młody i niedojrzały. Ma przecież dwa lata mniej niż ona. Dzięki temu potrafi być taki zabawny, ale trudniejsze sprawy na pewno go przerastają.

- Z prywatnym detektywem. Słowo daję. Wyraźnie słyszałem - mówił, podnosząc na nią zaokrąglone ze strachu oczy. - Wydaje mi się, że wynajęła kogoś, żeby cię śledził.

Gwen zrobiła sceptyczną minę, ale jednocześnie poczuła przykry skurcz w żołądku.

-To ci heca! Co jej do mnie?

-A bo ja wiem? Ale przecież mieszkałaś w Bostonie? Wtedy kiedy wynajęłaś się do dzieci, no nie?

- Owszem. I co z tego?

- Kazała mu tam pojechać. Powiedziała tak: "Sądzę, że należy zacząć od Bostonu. Tylko proszę to robić bardzo dyskretnie, nie chcę, żeby się zorientowała, że ktoś prowadzi na jej temat dochodzenie". - Wydawało mu się, że nieźle naśladowuje zatroskany ton Lacy, lecz w końcu dał temu spokój i z westchnieniem dodał: - W każdym razie coś w tym rodzaju. Ściskanie w żołądku wzmogło się i przeszło w złość. Gwen była przekonana, że Teddy nie zmyśla.

To podobne do Lacy. A więc to tak! Czarownica kazała ją śledzić. Ale dlaczego? Myśli, że dowie się czegoś, co mogłaby użyć przeciwko Gwen? Może chce jej wstrzymać wypłaty z funduszu powierniczego? A to ścierwo! Jak ojciec mógł być takim idiotą, żeby spadek zapisany córce oddać pod kuratelę Lacy? Nie chciała jednak zdradzić się przed Teddym, jak bardzo jest zdenerwowana.

- Niech sobie wyrzuca pieniądze za okno, jeśli ma ochotę. Jej rzecz. Naharowałam się wtedy w Bostonie jak dzika, przez okrągły rok zmieniałam pieluchy, gotowałam zupki. Nudziłam się jak mops, ale w tym, o ile wiem, nie ma nic nielegalnego.

- Naprawdę się nie przejmujesz? - zdumiał się Teddy.

-Ani trochę - odparła, odstawiając puszkę po coli i podnosząc się z łóżka. Nie ma zamiaru niepotrzebnie się irytować. Ale może się zemścić. Tak będzie o wiele zabawniej. Musi wymyślić coś naprawdę dobrego. Wyzywająco potrząsnęła grzywą włosów i wygładziła spodnie na biodrach.

- No, na co czekasz! Znajdź jakąś rapową stację, i bawimy się dalej!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Latarnia morska na przylądku Hazardzisty od 1858 roku strzegła północno-wschodniego krańca

Pringle Island. Od dwustu pięćdziesięciu lat opierała się skutecznie morskim burzom i huraganom, zakusom wandalii, erozji i zapomnieniu. A skoro tak, to Towarzystwo Historyczne też pewnie nie da jej rady, pocieszył się Adam, obserwując setkę wspinających się na skaliste wzniesienie mieszkańców miasta.

Niemniej widok, jaki się przed nim roztoczył, przywodził na myśl ogród zoologiczny. Jennifer Lansing urządziła imprezę, która miała zadowolić najrozmaitsze gusta. Wszystkiego było po trochu: dla jednych - elegancki piknik z początku wieku, dla innych - Święto Wiosny, a jeszcze dla innych szkolna wycieczka przyrodoznawcza. A także trochę choć bardzo niewiele - faktycznej pracy wokół latarni morskiej.

Nie bardzo rozumiał, dlaczego się tutaj znalazł. Wróciwszy wczoraj wieczorem z golfa do hotelu, zastał na automatycznej sekretarce dwa nagrania. Najpierw odezwał się pełen słodczy, przymilny

szczębiot Jennifer Lansing, która zalotnym tonem zapewniała go, że bez niego i jego nieporównanych, choć bliżej nie określonych, umiejętności dzień latarni morskiej skończy się dla niej zawodową klęską, nie mówiąc już o osobistej tragedii. Druga wiadomość pochodziła od Lacy, a składała się z jednego, wypowiedzianego suchym i bezbarwnym tonem zdania, jakby mówiła pod groźbą pistoletu: jutro odbywa się dzień ratowania latarni morskiej - Jennifer liczy, że weźmiesz w tym udział.

Ani pierwsze, ani drugie zaproszenie nie brzmiało zbyt zachęcająco. Sam nie bardzo wiedział, dlaczego dziś rano, niewiele myśląc, ubrał się w dżinsy i sportową koszulkę, po czym, w towarzystwie opierającego się trochę Trvisa, wyruszył w kierunku przylądka Hazardzisty.

- No więc pokaż mi tę swoją boską Lacy. - Travis nie zadał sobie trudu, by bodaj rzucić okiem na latarnię morską, na którą składał się zbudowany z granitowych kamieni dwupiętrowy dom latarnika i wyrastająca zeń kilkunastometrowa, również granitowa wieża. - Gdzie masz tego anioła z erotycznego raję?

- Odczep się, do diabła! - burknął Adam, zatraskując drzwiczki samochodu. - Ten dowcip ma już dziesięcioletnią brodę. Wymyśl coś nowego.

Travis wesoło wyszczerzył zęby.

- Może jest stary, ale nadal aktualny. Zawsze tak samo wyprowadza cię z równowagi. Działa jak automat.

Wystarczy powtórzyć, i podskakujesz jak na zamówienie.

Adam zaklął cicho pod nosem. Za dobrze się znają. Spotkali się dziesięć lat temu, w parę dni po wyjeździe Adama z Pringle Island. Obaj zatrudnili się w tej samej rafinerii naftowej na Wyspach Dziewiczych, gdzie zgodzili się wykonywać niebezpieczne prace renowacyjne. Mieli po osiemnaście lat, chcieli szybko zrobić pieniądze. Tam właśnie pewnego upalnego dnia, zwalony z nóg wyczerpującą pracą, opowiedział wieczorem Travisowi o dziewczynie, od której odjechał.

Która, jak mniemał, czekała na niego. "Jest jak anioł", wyznał nieopatrznie przyjacielowi, pokonany nadmiarem piwa, samotności i tęsknoty. "Ale anioł pełen seksu".

Travis do dziś mu to przypominał.

- Musi tu gdzieś być - rzekł Adam, rozglądając się bez entuzjazmu wokoło. - To taka typowo snobistyczna impreza. Bogacze przebierają się w markowe dzinsy i przez jeden dzień udają zwykłych pracujących ludzi. Rzecz dokładnie w jej stylu.

- Pod warunkiem, że Dow Jones nie spadnie do jutra o tysiąc punktów, my też jesteśmy bogaczami.

Zapomniałeś? - z zadowolonym uśmiechem zauważył Travis. - Jesteśmy bogatymi facetami. Ty i ja.

Nie podnieca cię to?

- Raczej śmieszy.

- No pewnie, to też. Ale bardzo ułatwia podrywanie dziewczyn. To znaczy, chciałem powiedzieć, aniołów. - Adam znowu zmełł w ustach przekleństwo, lecz Travis szedł już w stronę latarni morskiej. - Popatrz! - zawołał. - Jest. Gwen Morgan!

I rzeczywiście. Spojrzawszy na dom latarnika, Adam zobaczył Gwen, która klęcząc na niskim rusztowaniu, szorowała okno pierwszego piętra.

Na tle tego stonowanego, niby skromnie odzianego towarzystwa rzucała się w oczy jak paw wśród wron. Travis na jej widok przyspieszył kroku, jakby ciągnęła go ku niej jakaś magnetyczna siła.

-Adam, gdyby przyszła ci ochota zniknąć mi teraz z oczu, nie będę miał pretensji - rzucił przyjacielowi przez ramię.

Adam bezradnie pokiwał głową, ale zwolnił kroku. Prawdę mówiąc, był zadowolony, mogąc tym razem ustąpić Travisowi pola. Gwen jest rzeczywiście wystrzałowa, lecz jej nieodparta potrzeba flirtowania świadczy o nie rozwiązanych problemach natury psychologicznej. Bardziej niż kochanka potrzebuje życzliwego doradcy i przyjaciela, a Travis ze swoim dobrodusznym usposobieniem znakomicie się do tego nadaje.

Adamowi nie spieszyło się dołączyć do towarzystwa. Idąc wolno, chłonał tak dobrze, choć boleśnie, znajome widoki i zapachy. Był upalny, bezchmurny dzień, a nad brzegiem unosiło się wilgotne, przesycone solą morskie powietrze. Pachniało tak, jak pachną tylko plaże Nowej Anglii.

Przywołując, mimo i wbrew woli Adama, dawne wspomnienie.

Było to latem dziesięć lat temu. Pewnego czerwcowego popołudnia on i Lacy baraszkowali na plaży w zatoce oddalonej o dwie mile stąd na południe.

Koziołkowali w upalnym słońcu jak para szczeniaków. Wskoczywszy do wody, pluskali się i całowali, szczęśliwi, że mogą się nawzajem dotykać.

W pewnej chwili zaczął się z nią droczyć. Odpiął jej górę od kostiumu bikini i nie chciał oddać, aż wreszcie fala wyrwała mu szmatkę z ręki. Lacy wpadła w rozpacz, więc wziął ją na ręce i zaniósł przyciśniętą do jego piersi na brzeg do

samochodu, a potem wydał czterodniowy zarobek na kupno nowego kostiumu, żeby ciotka Flora niczego się nie domyśliła.

Ciotka Flora! Adam od lat nie wspominał tej starej, wysuszonej pedantki. Nazywali ją Kapralem.

Ciotka Flora, która bez entuzjazmu, wyłącznie z poczucia obowiązku matkowała osieroconej Lacy, i która tak bardzo nie aprobowała jej kontaktów z Adamem Kendallem.

Parę lat temu doszły go słuchy, że ciotka Flora umarła. Zdążyła jednak dożyć ślubu Lacy z Malcolmem Morganem. Jego pewnie aprobowała, pomyślał z nagłą goryczą. Dla ciotki Flory musiał być ideałem mężczyzny. Zimny, pewny siebie, władczy. No i oczywiście, bogaty.

-Adam! Zamiast się rozmarzać, chodź tutaj i podeprzyj mnie swoim silnym ramieniem.

Z nagłym drgnieniem powrócił do rzeczywistości i zobaczył stojącą obok Tilly Bamhardt.

Natychmiast się zorientował, iż wyzierająca spod wymyślnej peruki twarz starej przyjaciółki jest nienaturalnie blada, a oczy lekko zamglone. Były to dobrze mu znane objawy reakcji insulinowej.

Powinna natychmiast dostać dawkę cukru.

- Bądź tak dobry i zaprowadź mnie do domu latarnika. Muszę usiąść - powiedziała, przyjmując jego ramię. Jej ręce lekko drżały.

- Nie wystarczy usiąść - zauważył. - Musisz zjeść coś słodkiego. Napić się soku albo ...

- Lacy na pewno ma coś dla mnie w domu latarnika.

- Jesteś pewna? To kawałek drogi, a jeśli się okaże, że nie ma soku ...

- Lacy zawsze ma pod ręką sok dla mnie - niecierpliwie przerwała mu Tilly. - Dbała o mnie przez całe dziesięć lat, kiedy ty uganiałeś się po świecie za kobietami. Więc teraz siedź cicho i rób, co ci mówię.

Podniósłszy wzrok, zobaczył idącą w ich kierunku Lacy. W ręku niosła papierowy kubeczek. Miała jak zwykle opanowany wyraz twarzy, a w jej oczach nie dostrzegł ani cienia niepokoju, jaki sam w tym momencie odczuwał.

- Zaraz poczujesz się lepiej - powiedziała czule, wkładając starszej pani kubek do ręki i pomagając jej podnieść go do ust. - Proszę, Tilly. Jeden haust i będzie po wszystkim. Tilly usłuchała z niemal dziecięcą ufnością. Lacy patrzyła na nią z tak absolutnym spokojem, iż Adam zadał sobie pytanie, czy przed chwilą nie poniosła go wyobraźnia, kiedy myślał, że starsza pani jest w niebezpieczeństwie. Gdy Tilly opróżniła kubek do połowy, Lacy puściła jej rękę i wzięła ją pod drugie ramię.

- Zejdźmy z tego upału - powiedziała rzeczowo. Dziesięć minut później Tilly była jak odrodzona.

U sadowiona w fotelu we frontowym pokoju, nabrała rumieńców, a wraz z nimi odzyskała humor i werwę. Głośno protestowała, tłumacząc Lacy, że czuje się znakomicie i musi zaraz wracać do malowania parkanu wzdłuż alejki prowadzącej do latami.

- Jestem tam potrzebna - upierała się. - Ten osioł Silas Jared objął kierownictwo i spartaczy całą robotę. Macha pędzlem bez sensu na wszystkie strony, a kiedy zwróciłam mu uwagę, nie chciał mnie słuchać. - To mówiąc, parsknęła nosem i zabrała się do poprawiania na głowie peruki.

Silas Jared. Ależ tak. Adam przypomniał sobie siwego zrzędę, sąsiada Lacy, który wyszedł na niego ze strzelbą. I groził mu nożem. Uśmiechnął się w duchu na myśl, że Silas Jared i Tilly rywalizują z sobą o to, które lepiej maluje płoty. .

Natomiast Lacy bynajmniej nie wydawała się ubawiona.

- Miałś gwałtowny spadek poziomu cukru we krwi, bo po rannym zastrzyku insuliny nie zjadłaś nic na śniadanie.

Tilly spróbowała zmiażdżyć Lacy wzrokiem, lecz ta, zamiast się spieszyć, zmierzyła ją twardym spojrzeniem. Adam nie mógł się nadziwić jej nienagannemu wyglądowi w tak upalny, pracowity dzień. Była elegancka, chłodna, opanowana. Niemal nie przypominała tamtej zapiaszczonej i rozczochranej, opalonej na brąz nastolatki, którą dziesięć lat temu niósł półnągą do samochodu.

- Przyznaj się, Tilly - powtórzyła Lacy, stukając stopą o podłogę. - Prawda, że zapomniałaś zjeść śniadanie?

-Ależ Lacy - wtrącił Adam, któremu zrobiło się żal starszej pani. - Czy to takie ważne?

Lacy nawet na niego nie spojrziała.

-Tak - odparła sucho. - To ważne. A Tilly doskonale wie dlaczego. Bo gdyby taka reakcja zdarzyła się po zjedzeniu normalnego śniadania, to by oznaczało, że bierze za duże dawki insuliny. Powiedz, Tilly, czy zapomniałaś o śniadaniu?

Walka na spojrzenia trwała jeszcze kilka dobrych sekund. Ku zdziwieniu Adama Tilly pierwsza dała za wygraną.

- Mogłam zapomnieć - oświadczyła naburmuszonym tonem, strząsając z nogawki białych spodni jakiś niewidoczny pyłek. - Skoro tak się upierasz ...

Ty oczywiście wszystko wiesz najlepiej. Nie przypominam sobie ...

Lacy z westchnieniem przygryzła dolną wargę. Jej napięte rysy mogłyby wskazywać, że się złości, ale Adam wiedział już, iż dzisiejsza Lacy tak łatwo nie poddaje się emocjom.

- Siedź i nie ruszaj się - powiedziała do Tilly rozkazującym głosem. - Zaraz przyniosę ci coś do zjedzenia. Nie musisz tutaj tkwić, Adamie. Damy sobie radę same. A Jennifer na pewno nie może się ciebie doczekać.

To powiedziawszy, wyszła z pokoju. Adam patrzył za nią z dziwną mieszaniną irytacji i rozczarowania.

Właściwie dlaczego? Znakomicie sobie poradziła w tak trudnej sytuacji. Czego od niej chciał? Żeby płakała i załamywała ręce nad losem starszej przyjaciółki?

Spróbował oddać jej sprawiedliwość. Czy poczuł się dotknięty odprawą? Nie. Chciał tylko, żeby okazywała więcej uczucia. Przede wszystkim Tilly. A może troszkę i jemu ... Żeby była bardziej ludzka. Czy chce o tym pamiętać, czy nie, coś ich kiedyś, do diabła, łączyło. Ona tymczasem najwyraźniej nie chce o tym wiedzieć. Przypomniało mu się chłodne spojrzenie, jakim patrzyła na niego na aukcji, brak reakcji, kiedy w gabinecie Malcolma dotknął jej ciała, zimny, rzeczowy głos nagrany wczoraj na automatyczną sekretarkę.

- Zmieniła się - pod wpływem nagłego odruchu odezwał się do Tilly.

- Pewnie, że się zmieniła. Wydoroślała.

-Wydoroślała? - Z powątpiewaniem potrząsnął głową. - Nie, to nie to. Stała się zimna. Zimna i twarda jak kamień.

Tilly zamachała rękami. Najwidoczniej poczuła się dotknięta. Teraz zacznie go łąć za to, że ośmielił się powiedzieć coś złego o jej ukochanej Lacy.

- Naprawdę tak ją oceniasz? Uważasz, że jest pozbawiona uczuć?

-Tak jest. Tak właśnie uważam.

Spodziewał się ostrego zaprzeczenia. Odpowiedź Tilly były dla niego zaskoczeniem.

\_ Skoro tak myślisz, to spróbuj odpowiedzieć sobie na dwa pytania. Po pierwsze, kto sprawił, że stała się taka, jaka jest? A po drugie - ciągnęła, wskazując na niego drżącym palcem - jak zamierzasz temu zaradzić?

Okolo południa łagodne dotąd słońce zmieniło się w rozpaloną kulę. Z wyjątkiem paru najgorliwszych wolontariuszy całe towarzystwo porzuciło swoje rzekome prace, by w chłodnych murach domku latarnika przeczekać najgorszy upał, oddając się ploteczkom.

Lacy nie przyłączyła się do nich. Postanowiła zająć się sprzątnięciem krańca półwyspu, do którego zbieracze śmieci jeszcze nie dotarli. Nie była to praca efektywna, ale trudno. Woli się raczej ubłócić od stóp do głów i spiec na słońcu jak rak, niż wziąć udział w zgromadzeniu, w którym uczestniczy Adam Kendall.

Z plastikowym workiem w ręku wdrapała się na skalisty, wdzierający się w głąb cieśniny cypel lądu. Tutaj będzie przynajmniej przez chwilę sama. Wbrew składanym sobie przysięgom, o mało się dzisiaj nie załamała w obecności Adama. Na widok Tilly, tak osłabionej nagłym atakiem insulinowym, prawie się rozkleiła. Lekarz ostrzegł Lacy, że regulowanie poziomu cukru we krwi Tilly staje się coraz trudniejsze.



Tilly najwidoczniej nie przejmowała się ostrzeżeniem. Inaczej niż ona. Lacy znała swoją odporność.

Szczyciła się nią. Nie była jednak pewna, czy ma w sobie dosyć siły, by móc żyć bez Tilly.

Musi w jakiś sposób dopilnować, żeby przyjaciółka regularnie się odżywiała. I brała zastrzyki. A tymczasem są w samym środku kampanii zbierania pieniędzy na szpital. I jeszcze Gwen wybrała sobie właśnie ten moment, by wrócić do domu, zatruwając życie Lacy swoją zapiekłą niechęcią.

A do tego Adam. Lacy z bezradnym westchnieniem schyliła się, podnosząc z ziemi połyskliwą przynętę z piórkiem, którą wrzuciła do worka. Zresztą sam moment pojawienia się Adama nie ma istotnego znaczenia. Obojętne, kiedy by ono nastąpiło, byłoby zawsze niby bomba zdolna wysadzić w powietrze całe jej obecne życie.

Posuwała się naprzód, stąpając ostrożnie po kamieniach. Zatrzymywała się co chwilę, zbierając z ziemi porzucone wędki i wiadome kolorowe krążki, które pijani żeglarze bezmyślnie wyrzucają do wody. Były łatwo widoczne i aż nazbyt liczne. Worek zaczynał się napęcznieć.

Dotarłszy na sam czubek skalnego cypla, usiadła, żeby trochę odetchnąć.

Zielona jak mech woda połyskiwała w promieniach słońca.

Kiedy się w nią wpatrywała, upał i monotony ruch fal wprawiły ją w pół hipnotyczny stan. Zaczęła dostrzegać drobne różnice na wodzie i zauważyła, że zgęszczenie piany niedaleko niej to wielki kłęb splątanej wędkarskiej żyłki. Nachyliła się ostrożnie nad wodą, chwyciła kłęb i pociągnęła ku sobie.

Żyłka rozciągnęła się na jakieś pół metra, ale potem stawiała zdecydowany opór. Musiała się o coś zaczepić. Nie zważając na błoto, Lacy położyła się na brzuchu, zamierzając usunąć podwodną przeszkodę. Wyciągała rękę najdalej jak tylko się dało, nie mogła jednak dosięgnąć celu. Na darmo podciągnęła się bliżej brzegu i rozpląszczyła na ostrych kamieniach.

Usłyszawszy za sobą kroki, od razu wiedziała, kto to. Przy jej pechu, musiał to być on: Piekło i szatani! Dlaczego nie może zostawić jej w spokoju? Spojrzała w dół na swoją koszulkę. Była oczywiście wysmarowana błotem.

Podniósłszy się na klęczki, obserwowała zbliżanie się Adama, który biegł po kamieniach ze zrećznością linoskoczka.

- Jak się masz? - powitał ją z miłym uśmiechem.

- Wygląda na to, że potrzebujesz pomocy.

Miała już odruchowo powiedzieć "nie", lecz się zreflektowała. Nie może być aż tak niegrzeczna.

Nie mówiąc już o tym, że powiedziałaaby oczywistą nieprawdę. Od razu by się zorientował, że mówi "nie", bo jest zakłopotana i po to, by się go pozbyć.

- Dziękuję - odparła, siłąc się na grzeczność. Ta żyłka zaczepiła się o coś na dnie i nie mogę jej odczepić.

Wyjął jej żyłkę z ręki i ostrożnie pociągnął.

- Musi to być coś ciężkiego - dodała.

- Spróbuję, co się da zrobić - powiedział, układając się z właściwą sobie gracją na skraju skały.

Mógł rzecz jasna sięgnąć o wiele dalej niż ona.

Szukając końca żyłki, zanurzył w wodzie rękę, potem całe ramię. Górna część jego ciała zawisła w powietrzu. Podpierający go występ skalny sięgał mu zaledwie do pasa. Pozycja zdawała się urągać prawu . grawitacji i Lacy patrzyła na to z niepokojem. Nie było wysoko, niecały metr, ale Adam wisił głową w dół.

Nie zastanawiając się, co robi, ukłękła przy nim i chwyciła go mocno w pasie.

- Dzięki - powiedział, posyłając jej przez ramię uśmiech.

Lacy nie odpowiedziała. Klęcząc z rękami opasującymi biodra leżącego Adama, wpatrywała się w jego wyciągnięte ku wodzie ręce, silne ramiona i prężące się z wysiłku mięśnie.

Był tak mocny, tak silny, a jednocześnie - tak bezradny, gdy leżał na ziemi tuż obok niej.

Ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie, niemal zakręciło jej się w głowie. Pewnie to ten upał.

- Znalazłeś coś? - zapytała, nachylając się nad wodą.

Adam wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, który równie dobrze mógł być potwierdzeniem, jak zaprzeczeniem, więc usiadła z powrotem na piętach.

-Tu cię mam! Owinęła się o ... o ... - pogadywał, wysuwając się nieco dalej nad wodę, by wyrwać z dna odnaleziony przedmiot, więc mocniej go przytrzymała. Czuła teraz pod palcami każdy ruch napinających się mięśni.

- Co to do diabła jest? - zdziwił się nagle.

Niewiadomy skarb musiał się nagle oderwać od mulistego dna, ponieważ ciało Adama podskoczyło i na moment stracił równowagę.

-W porządku - powiedział w końcu, podając jej do tyłu uwolniony splot żyłki.

- Uważaj, żebym cię nie uderzył, jak będę się podnosił.

Oderwała od niego ręce i odsunęła się na drugą stronę niewielkiego cypla.

Adam wyciągnął tymczasem z wody jakiś wielki, pokryty mułem przedmiot o dziwnym kształcie. Obmywszy go pobieżnie wodą, podciągnął się wolną ręką na skałę i w rezultacie wylądował w siedzącej pozycji.

- Rany boskie! - powiedział, oglądając z niedowierzaniem swoją zdobycz. -

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział coś równie paskudnego.

Trudno się było nie zgodzić. Gliniany przedmiot zapewne był niegdyś lampą.

Przypominał stojącą na grzbiecie hipopotama nagą kobietę. Z głowy kobiety wyrastały skorodowane resztki oprawki na żarówkę. Ciało naguski znaczyły

ślady farby musztardowej barwy, a hipopotam musiał być, za młodu obrzydliwie zielony.

- Faktycznie - odchrząknęła Lacy . Nic dziwnego, że wyrzucili coś takiego do oceanu.

- Bo ja wiem - mruknął Adam, mierząc Lacy wesołym spojrzeniem. - Pomyślałem sobie, że mogłoby to stanać u ciebie w gabinecie nad kominkiem. Pasowałoby jak ułał do obrazu, który przedwczoraj ci odniosłem.

Lacy spróbowała zachować powagę, ale spojrzawszy na figurę gołej damy, wybuchnęła spontanicznym śmiechem. Adam też zaczął się śmiać, stawiając obok siebie znalezione paskudztwo niby trofeum.

- Znalazłem jeszcze coś - powiedział. To mówiąc, wyciągnął ku niej otwartą dłoń, na której spoczywał różowo żyłkowy, niewielki kamyk. - Zbierasz je jeszcze?

Kamyk był prześliczny. Kształtem zbliżony do serca. Lacy na moment zaniemówiła. Kiedyś, bardzo dawno temu, miała ich całą kolekcję. ilekroć byli razem na plaży, Adam znajdował dla niej kolejny eksponat. Zamiast kosztownych prezentów, na które nie miał pieniędzy, obdarowywał Lacy wydobyтыми z wody klejnocikami.

- Nie - odparła przez ściśnięte gardło. - Już ich nie zbieram. - Malcolm uważał, że są obrzydliwe.

Nie czujesz, jak cuchną rybą? - pytał. Na co ci one? Toż to śmiecie niewarte złamanego centa. Więc pewnego dnia rozsypała swoje kamyki po ogrodzie, gdzie wkrótce znikły pod ziemią. A potem zapomniała o nich.

Adam nie wydawał się zdziwiony.

-Weź go - poprosił, wciskając jej kamyk do ręki. - Na początek nowej kolekcji.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Rozsądek mówił, by odrzucić dar i wszystko, co mogło się z nim milcząco wiązać. Jednakże nie słuchająca rozsądku podświadomość nakazała zdrętwiałym palcom zamknąć w dłoni chłodny kamień.

- Dziękuję - powiedziała. - Jest śliczny.

- Lacy - zaczął tak cicho, że z trudem mogła odróżnić słowa. - Lacy, czy moglibyśmy ...

Nie, nie będzie go słuchać. Obojętne, co ma do powiedzenia. Poderwała się na nogi, otrzepując ubranie z brudu i błota.

- Boże, jak ja wyglądam!- zawołała. - Powinam już wracać, sprawdzić, co z Tilly.

Adam wstał za jej przykładem.

-Wszystko w porządku, Lacy - powiedział i uspokajającym gestem ujął jej rękę. - Nie denerwuj się.

Nie musisz przede mną uciekać. To tylko kamyk.

Twarz jej się wygładziła. Nadal jednak nie patrzyła mu w oczy.

-Tak, oczywiście. Wiem -wybąkała. - Ale Tilly ...

- No właśnie. Powiedz mi o niej. - spowaźniał nagle, puszczając jej dłoń. - Wystraszyła mnie dziś rano nie na żarty. Wyglądała okropnie. Czy to coś poważnego?

- Niekoniecznie - odparła Lacy. - Gdyby zachowywała się rozsądniej i miała więcej dyscypliny ...

Niestety, jest niepoprawna. Jeżeli będzie nadal zapominała o regularnym przyjmowaniu posiłku i brała za dużo insuliny, a za mało ...

-To może być bardzo źle - dokończył ponuro. Najwidoczniej pojał w lot, co chciała mu powiedzieć.

Lacy przypomniały się dawne czasy, kiedy rozumieli się w pół słowa. Tak było z nimi od pierwszej chwili, kiedy się poznali. W końcu nie pokochała go wtedy za piękne ciało, ale za to, że tak wiele rozumiał.

-A nasza kochana Tilly ma oczywiście rozsądek w najgłębszej pogardzie - dodał po chwili z nieznacznym uśmiechem. - Co niczego nie ułatwia.

- N o właśnie - przytaknęła z głębokim westchnieniem.

Adam nagłym ruchem dotknął jej policzka.

- Musi ci być ciężko - powiedział z troską w głosie. - Ale może mógłbym ci pomóc? Razem byłoby lżej.

W pierwszej chwili poczuła ulgę i wdzięczność.

Przez moment była gotowa przyjąć jego propozycję, natychmiast jednak przestraszyła się własnej łatwowierności. Raz już zaufała opiekuńczości Adama i wie, co z tego wynikło. Nigdy więcej nie ulegnie podobnej pokusie.

- Bardzo ci dziękuję, ale naprawdę nie potrzebuję twojej pomocy - rzekła, robiąc krok w tył, by uwolnić się od dotyku jego ręki.

- Nie potrzebujesz czy nie chcesz?

- Nie chcę - odparła wprost, starając się nadać słowom możliwie uprzejme brzmienie. Może trzeba powiedzieć wszystko jasno i bez ogródek. Postawić kropkę nad i. - Między nami wszystko skończone, Adamie - rzekła. - Minęło z górą dziesięć lat. Nie potrzebuję już twojej pomocy. W żadnej sprawie. Nie umiała wyczytać niczego z jego twarzy, chociaż oświetlały ją jasne promienie słońca.

- Jedyne, czego ode mnie chcesz, to podpisanego moim nazwiskiem czeku, czy tak? Czeku na wysoką sumę dla twojego szpitala?

-Tak jest - przytaknęła, podnosząc głowę. - Ale jeśli zajdzie potrzeba, z tego też potrafię zrezygnować.

A teraz wybacz, naprawdę muszę już iść.

Nim jednak zdążyła spełnić swoją zapowiedź, od strony morza dobiegły ich głośne okrzyki i nawoływania, a zaraz potem ujrzeni niewielką motorówkę, która wpłynęła na otaczające cypel płycizny.

Przy kierownicy siedział Travis, przyjaciel Adama - którego zdążyła już poznać - wioząc na pokładzie całe stadko rozweselonych i rozkrzyczanych dziewcząt.

Była wśród nich Gwen. Stała na dziobie z butelką piwa w ręku, wydając niezrozumiałe okrzyki. Na widok Adama momentalnie odwróciła się plecami i oparłszy ręce na biodrach, zaczęła

provokacyjnie kręcić tyłeczkiem, jakby zamierzała zdjąć dół bikini. Jednakże Travis szybko ściągnął dziewczynę z dziobu.

Gwen opadła ze śmiechem na siedzenie, po czym motorówka ostro zawróciła i szybko się oddaliła.

Och, Gwen, pomyślała Lacy, czując, że się rumieni po czubki uszu.

- Przepraszam cię za to - powiedziała. - Gwen jest. .. - Szukając odpowiedniego słowa, podniosła ręce i poprawiła przytrzymującą włosy opaskę. Jest młoda. Musi się jeszcze wiele nauczyć. W każdym razie przepraszam.

- Nie musisz przepraszać. - Patrzył chwilę za malejącą w oddali motorówką. - Lubię ją.

Lacy popatrzyła na Adama. Nie przypuszczała, że niewybredne zaloty Gwen mogą zrobić wrażenie na kimś takim jak on.

- Nie bez wzajemności - skomentowała z ironią.

- O czym mogłeś się przekonać u mnie wtedy, wieczorem. Gwen nie wie, co to znaczy ... zachowywać się powściągliwie.

- Chyba nie - zgodził się. - Stale jest w ataku.

-Wreszcie odwrócił się w stronę Lacy. W ostrym słońcu srebrzysta blizna na jego skroni była bardziej widoczna niż normalnie. - Bo musi mieć wiele odwagi .. Bo postanowiła przebijać się samotnie przez życie. Potrzeba wiele siły i odwagi, żeby walczyć ze światem, który bywa brutalny i nieprzyjemny. Ich dawne porozumienie okazało się trwałe. Lacy natychmiast pojęła, do czego Adam zmierza i poczuła, że ciało jej sztywnieje.

- Sporo o niej wiesz - powiedziała lodowatym tonem. - Biorąc pod uwagę, że znacie się zaledwie od tygodnia.

-Wiem wiele o takich ludziach jak ona - stwierdził. - Którzy nie boją się ryzykować, walczyć z przeciwnościami. Którzy wolą to, niż zaszyć się w bezpiecznej przystani, odgradzonej od rzeczywistego świata.

-Wyciągasz pochopne wnioski, Adamie oświadczyła, składając ręce na piersiach. - Nad wyraz wątpliwe.

-Wątpliwe? - Wiatr zwiewał mu włosy na oczy, ale spojrzenie, jakim ją mierzył, było twarde i nieustępliwe.

- Chcesz mi wmówić, że kiedy cię zostawiłem, nie schroniłaś się w pierwszej lepszej przystani, jaka się nawinęła? I nie siedzisz w niej do dziś schowana jak żółw w skorupie? I nie boisz się jak ognia każdego spontanicznego gestu? Każdego ryzykownego odruchu?

- Nie chcę ci niczego wmawiać - odparła. Z całej siły zaciskała dłoń, aż trzymany w niej kamyk zrobił się gorący. - I nic mnie nie obchodzi, co sobie o mnie myślisz.

-Ale odpowiedz mi na jedno. Spróbuj choć raz być uczciwa, jeśli nie wobec mnie, to przynajmniej wobec siebie. - To mówiąc, podszedł bliżej, kładąc jej ręce na ramionach. - Czy zdarza ci się kiedykolwiek zrobić coś dlatego, że masz na to ochotę, a nie dlatego, że tak wypada, że tak jest wygodniej, a może oszczędniej?

Ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnie pogardliwym naciskiem. W jego oczach widziała politowanie.

Poczuła silny ból w sercu. Ból taki sam jak wówczas, kiedy poczuła się przez niego zdradzona.

Nie zastanawiając się, podniosła rękę i z całej siły wymierzyła mu policzek. Po czym wrzuciła różowy kamyk do oceanu.

- Owszem - powiedziała spokojnie. - Czasem mi się zdarza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gwen była zmęczona, a płacz siedzącej w kąciku domu latarnika dziewczynki bynajmniej nie poprawiał jej samopoczucia.

Spędziła na przylądku Hazardzisty praktycznie cały dzień. Przyjechała przed dwunastą, a teraz zbliżał się zachód słońca. Wpadające przez okno światło rzucało długie, chłodne, fiołkowe cienie.

Myślała, że urwie się stąd po godzinie albo dwóch, gdy tylko zmyli czujność Czarownicy. Jednakże bawiła się nadspodziewanie dobrze. Spotkała Trvisa Rourke. No i Adama Kendalla.

Wyjątkowy traf!

W tej sytuacji postanowiła, rzecz jasna, zostać.

Została nawet dłużej niż Czarownica. Lacy była tak spięta i zdenerwowana, że Gwen nie spieszyło się spotkać ją sam na sam w domu. Towarzystwo macochy, nawet kiedy była w najlepszym humorze, nie należało do przyjemności, a cóż dopiero, gdy wpadła w zły nastrój. Istne skrzyżowanie Królowej Śniegu z Meduzą! Potrafiła samym spojrzeniem zmrozić człowieka do szpiku kości.

Ale chyba już pora się zbierać. Lepiej z dwojga złego narazić się na sam na sam z macochą, niż tkwić dalej w domu latarnika, zwłaszcza że Adam Kendall już sobie pojechał, Travis gdzieś zniknął, a w kącie mała dziewczynka zanosi się płaczem.

Gwen przyjrzała się małej. Była to czteroletnia Becky Jared, jedno z czworga wnucząt Silasa Jareda. Widać było, że kaprysi ze zmęczenia.

Gwen spojrzała z niechęcią na rodziców Becky .

Czy nie widzą, że ich dziecko jest u kresu sił? Państwo Jared byli zajęci otwieraniem kolejnej puszki farby do malowania płotu. Jakby świat miał się zawalić, jeżeli nie zdążą dziś dokończyć roboty. Czy nie wiedzą, że czteroletniej dziewczynki nie można trzymać przez cały dzień poza domem w takim upale?

- Becky? - zawołała Gwen do małej, postanawiając zostać jeszcze chwilę. ~  
Chcesz zobaczyć najbardziej odjazdową latarnię morską świata?

Płacz dziewczynki umilkł. Biedactwo przedstawiało żalospny widok; miało zapuchnięte oczka, a rude, spocone kędziory przykleiły się jej do policzków.

- Nie chcę....: powiedziała.

- Jak nie, tonie. - Gwen z udawaną obojętnością wzruszyła ramionami. - Tak tylko pomyślałam, że warto popatrzeć, bo czasami ze szczytu latarni można wypatrzeć Burzołapa. Ale jak nie chcesz, to nie ma sprawy.

Becky lekko się zakrztusiła. Marszcząc czołko, patrzyła na Gwen, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, co woli - nadal popłakiwać, czy też zobaczyć coś fajnego.

-A co to takiego ten Burzołap? - spytała. Gwen znacząco wywróciła oczy, wskazując małej wzrokiem rodziców.

- Morski wąż, głuptasku - szepnęła konspiracyjnie, zasłaniając ręką usta. - Nie słyszałaś o Burzołapie?

Czasami przypląwa do brzegu po zachodzie słońca i baraszkuje w cieśninie. Becky zerknęła przez okno na zachodnie niebo, poznaczone smugami lawendowo pomarańczowych odbłasków.

-Właśnie zachodzi - mruknęła.

-Wiem - dramatycznym szeptem przytaknęła Gwen.

Becky otarła łzy z oczu i wstała, nie zwracając uwagi na sypiące się z jej spódniczki na podłogę okruszki ciasta.

- Chcę go zobaczyć - oświadczyła.

Gwen pochwyciła spojrzenie taty Jareda, który z uśmiechem kiwnął głową, wymawiając bezgłośnie "dziękuję". Dziewczyna ukryła dezaprobatę, żeby nie psuć małej przyjemności. Bo też naprawdę, po co ci ludzie robią dzieci, jeżeli nie chcą się potem z nimi bawić?

Poczuła, że Becky ciągnie ją za koniec bluzki.

- Nie chcę, żebyś mnie niosła - powiedziała.

-W porządku. Zresztą, po co miałabym nosić taką dużą dziewczynkę - odparła Gwen, wyciągając do niej rękę.

Mała była wyraźnie zadowolona. Ująwszy dłoń swej towarzyszki, ruszyła schodami w górę, zadając jej po drodze jedno pytanie za drugim. Jak ten Burzołap wygląda? Czy jest bardzo stary?

Czy umie mówić? Czym się żywi? Czy ma rodzeństwo?

W chwili, gdy dotarli na szczyt wieży, Burzołap miał dwa metry długości i był pokryty nakrapianą niebieskimi plamkami szmaragdową łuską. Nosił druciane okulary i staroświecki kolorowy czepek do kąpielii. Był bardzo młodym morskim smokiem miał dopiero sto lat. Uwielbiał arbuzy i czekoladowe ciasteczka, i miał osiemnastu starszych braci. Słyszając to, Becky współczująco podniosła oczy do nieba.

W kwadrans później przyszedł po Becky jej ośmioletni brat. Ale usłyszawszy, jak Gwen opowiada o tym, jak Burzołap ratował swoją rodzinę z rąk okrutnego przywódcy Szarożądłowców, Tommy Jared usiadł sobie, żeby wysłuchać opowieści do końca. Po kolejnym kwadransie przybyła następna ekspedycja w postaci dziesięcioletnich bliźniaków, wtedy jednak Burzołap został akurat pojmany przez piratów, więc i oni dołączyli do zasłuchanego rodzeństwa.

Czas płynął, a czwórka małych Jaredów nadal wypatrywała z wieży, czy gdzieś na wodzie nie pojawi się kolorowy czepek Burzołapa, słuchając historii porwania morskiego węża przez tornado, które poniosło go aż na Ocean Indyjski. W pewnej chwili Gwen zdała sobie sprawę, że w drzwiach wieży stoi jeszcze jakaś osoba. Zaskoczona omiotła wzrokiem czworo małych Jaredów, po czym ... Zobaczyła Trvisa, który przypatrywał jej się z wesołym uśmiechem na twarzy. Musiał tutaj stać już dłuższą chwilę.

- Cześć! - powiedział. - Tom Jared wysłał mnie, żebym sprawdził, jaki to morski potwór porwał jego ukochane dzieci. Podobno posyłał dzieci kolejno na wieżę, ale żadne dotąd nie wróciło.

- Nie żaden potwór! - gorąco zaprotestowała Becky. - Wypatrujemy Burzołapa, słynnego węża morskiego.

-Ach, rozumiem - ucieszył się Travis. - Tacie spadnie kamień z serca. Lećcie mu o tym powiedzieć, bo bardzo się o was martwi.

Dziesięcioletni bliźniacy pierwsi zdali sobie sprawę, że wyleciało im z głowy, po co tu przyszli, zaczęli więc pospiesznie zapędzać młodsze rodzeństwo na schody. Becky naj dłużej opierała się ich namowom, i schodząc znów zaczęła popłakiwać.

- Kim ty właściwie jesteś? - zwrócił się Travis do Gwen po ich odejściu. - Prawdziwa Szecherezada!



Dzieciaki słuchały cię jak zaczarowane .

Gwen lekceważąco wrzuciła ramionami. Nie chciała, żeby dla zrobienia jej przyjemności opowiadał nie wiadomo co.

-Wielka rzecz, każde dziecko uwielbia historie o morskich wężach.

- Nie bądź taka skromna. Te bachory szalały przez cały dzień jak wcielone diabły, a przy tobie zrobiły się nagle jak baranki.

-Tere-fere - mruknęła zażenowana, trącając go biodrom. - Tak tylko mówisz, żeby mi się przypodobać. Żeby cię zabrała na przejażdżkę motorem.

- Niech mnie Bóg broni! - zaprotestował. - Nie mogę ryzykować jazdy z szaloną kobietą. Nie jestem ubezpieczony,

Mogłaby się z nim dalej przekomarzać, ale jakoś nie miała ochoty. Po odejściu dzieci poczuła się

nagle zmęczona. Zresztą nic dziwnego, w końcu ciężko pracowała przez cały dzień, czego zazwyczaj unikała jak zarazy.

Travis też poniechał żartów i przez dłuższą chwilę spoglądali w przyjaznym milczeniu na zatokę.

Słońce właśnie zapadało za horyzont, barwiąc powierzchnię wody purpurą, a w górze ukazały się pierwsze gwiazdy i pojawił się błydy sierp księżyca.

Gwen miała wrażenie, że Travis również jest zmęczony. Ostre słońce spaliło mu skórę na brąz i wybieliło jasne włosy. Z cichym westchnieniem oparł łokcie o parapet okna, jakby chciał dać odpocząć plecom.

Wyglądał w tej pozycji bardzo pociągająco, ale Gwen poczuła, że nie ma siły na erotyczne zaczepki.

Jednak wcale się tym nie zmartwiła. Było dziwnie miło po prostu stać tak razem, jak para przyjaciół, wypatrując, czy w dole nie przepłynie wąż morski.

-Wiesz co, Gwen, to wcale nie były żarty - odezwał się po chwili Travis. -

Masz naprawdę nadzwyczajne podejście do dzieci. Powinnaś zostać nauczycielką albo kimś w tym rodzaju.

Gwen przestąpiła z nogi na nogę. Spoglądała na gwiazdy, które roziskrzały się powoli na ciemniejącym niebie jak światła w Disneylandzie.

- Kiedyś miałam taki zamiar. Kiedy szłam do college'u - powiedziała. I natychmiast pożałowała swoich słów. Co ja gadam? Zostać nauczycielką, też coś! Przypomniała sobie, jak ojciec ją wyśmiał, kiedy mu o tym wspomniała. Zarazem jednak uświadomiła sobie ze zgrozą, że był to wówczas poważny zamiar.

Uczyć dzieci? Bój się Boga, Gwen, nie pleć głupstw! Wiesz, ile zarabiają nauczyciele? Nie po ,to cię kształcę, żebyś była byle kim.

- No więc czemu tego nie zrobiłaś?

- Po pierwsze, zawałiłam egzaminy i wylali mnie z college'u. A po drugie, ojciec dał mi jasno do zrozumienia, że zostając nędzną nauczycielką,

splamiłabym trwale honor rodziny.

-Ale tu przecież chodzi o twoje życie, a nie twojego ojca - oburzył się Travis. Gwen zaśmiała się gorzko.

- Może nie jego życie, niemniej to on płacił za moją naukę. A zresztą ...

-Ale przecież ... - zaczął Travis, marszcząc czoło. - O ile wiem, twój ojciec już nie ... To znaczy Adam mówił mi, że umarł kilka lat temu i ...

- No i co z tego? O co ci chodzi? Robisz mi jakieś przesłuchanie, czy co? -

Gwen nie bardzo wiedziała, dlaczego pytania Trávisa tak bardzo ją zirytowały.

- Powiedziałam tylko, że zdarzało mi się o tym myśleć. Tak samo jak przychodziło mi czasem do głowy, żeby zostać astronautą, górnikiem albo striptizerką. Wyobrażasz mnie sobie w okularach na nosie i "rozsądnych" pantoflach na płaskim obcasie?

Travis przyjął tę tyradę Z właściwą sobie dobroduszością.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo - przyznał. - Ale bardzo bym chciał ...

Naprawdę jest słodki, pomyślała, i parsknęła śmiechem.

- Uważaj, kochasiu. Chciałbyś, żebym została nauczycielką? Bardzo proszę, chętnie nauczę cię paru rzeczy.

- No dobrze, Burzołapie - powiedział, dając za wygraną. - Chodźmy stąd, bo ledwo trzymam się na nogach i marzę o gorącym prysznicu.

- Nie wątpię, panie profesorze - przytaknęła, a on z żartobliwą złością ścisnął jej rękę.

Gdybym miała mieć brata, pomyślała Gwen, chciałabym, żeby przypominał Trávisa. Takiego, co trochę pogdera, to czy tamto doradzi, umie być czuły i niczego nie wymaga.

A może z tym uczeniem ma jednak rację? Może.

Mało rzeczy lubiła na tym schrzanionym świecie, ale dzieciaki na pewno tak.

Kto wie, może ...

Gdyby jej życie potoczyło się inaczej, byłyby z niej na pewno dobra nauczycielka.

Ale dziś to już nie ma znaczenia. Za późno się nad tym zastanawiać. Drzwi Boston College są zamknięte dla relegowanej, dwudziestotrzyletniej, niesubordynowanej byłej studentki ze średnią oceną jeden z plusem. Nawet najsprytniejszy wąż morski tego nie zmieni.

Lacy obudziła się w znakomitym nastroju. Było to dziwne, zważywszy, jak marnie się czuła, idąc do łóżka: obolała na całym ciele od ciężkiej pracy i palących promieni słońca i niezadowolona, że w rozmowie z Adamem do tego stopnia straciła nad sobą panowanie, w dodatku w publicznym miejscu.

Jak mogła się tak zachować! A jeżeli ktoś ich zobaczył? W Pringle Island wszyscy się znali.

Wystarczyły zazwyczaj dwadzieścia cztery godziny, żeby ciekawa plotka obiegała całe miasto.

Odzyskanie twarzy będzie wymagało nie lada zachodu. Tymczasem wcale się tym nie przejmowała. Odwrotnie, czuła się jak nowo narodzona. A nawet zadowolona z siebie. Może psychologowie mają rację, twierdząc, że wyładowanie emocji przynosi dobroczynne skutki?

Spała długo i mocno. Przed pójściem do kuchni nastawiła aparaturę stereo. Zapragnęła posłuchać muzyki.

Nie, nie takiej muzyki. Rozgłośnia poświęcona muzyce poważnej nadawała akurat Requiem Mozarta, bardzo piękne, ale strasznie przygnębiające.

Wybrała stację z dawnymi piosenkami. O tak, znacznie lepiej. Może zagrają nawet "Plotka mi doniosła".

Normalnie nie jadła na śniadanie prawie nic. Dziś jednak wkroiła do kryształowego naczynia wszystkie owoce, jakie miała w domu: kiwi, jabłko, parę truskawek, mandarynkę, winogrona, jagody, po czym usiadła przy kuchennym blacie i, karmiąc Hamleta kawałkami sera, zabrała się do segregowania sobotniej poczty.

W radio śpiewał jakiś przepój Lionel Richie i Lacy zaczęła mu wtórować.

Wzięła do ręki plik reklam i z rozmachem cisnęła je do kosza.

- Jeden zero na moją korzyść - mruknęła pod nosem. Nie przerywając nucenia, wzięła do ust czerwone winogrono; i w dalszym ciągu przerycała pocztę. Może powinnam częściej dawać ludziom go pysku, pomyślała, parszkając na głos śmiechem. Dziwne, jak bardzo poprawiło jej to nastrój.

- Lacy?

W progu kuchni zobaczyła Gwen, która stała w szlafroku, z wyrazem osłupienia na zaspanej twarzy.

- Dzień dobry - powitała ją Lacy. - Masz ochotę coś zjeść? Jest mnóstwo owoców.

Gwen nie odpowiedziała od razu. Zaciągnęła pasek frotowego szlafroka, ziewnęła i przeczesała wyjątkowo, nawet jak na nią, wzburzone włosy. Ojciec wpadłby w furję, że ośmiela się schodzić na dół nie ubrana. Pewnie dlatego zawsze to robiła.

-Widzę. Co ... - Gwen potrząsnęła głową, jakby nie była pewna, czy nie śni. - Co się z tobą dzieje?

- Nic. Porządkuje pocztę. No i jem śniadanie odparła Lacy jakby nigdy nic. Obie wiedziały, że nie o to Gwen chodziło.

Dziewczyna wskazała głową drzwi salonu, skąd dochodziły dźwięki piosenki Arethy Franklin.

-To nie jest twój normalny repertuar.

- Nie wiem, jaki jest mój "normalny repertuar" - odrzekła Lacy, rzucając pasierbicy niewinne spojrzenie.

- Hm! - parsknęła Gwen. - Na przykład ta nudna sonata Beethovena.

Co ty możesz wiedzieć o moich zwyczajach, Gwen - Lacy o mały włos nie wypowiedziała swej myśli na głos - skoro prawie nigdy u mnie nie bywasz? Zachowała to jednak dla siebie. Nie będzie sobie psuć pięknego poranka użeraniem się z Gwen.

Zwłaszcza że Gwen miała w gruncie rzeczy rację. Lacy nie pamiętała, kiedy ostatni raz słuchała innej muzyki niż klasyczna.

- Przyszła mi dziś ochota na małą odmianę - odparła, nadal segregując pocztę.

- Ale zaraz wychodzę, więc jeśli ci się nie podoba, to proszę bardzo, zmień na coś innego.

- Nie, nie. - Gwen weszła ziewając do kuchni i wzięła z blatu ćwiartkę mandarynki. - Jest fajnie.

Niech będzie. - Podeszła do lodówki. - Chyba napiję się mleka. Może tobie też podać?

Zaskoczona Lacy aż podniosła głowę. Czy coś jest w powietrzu? Nie pamiętała, żeby Gwen kiedykolwiek cokolwiek jej zaproponowała. Czemu, po tylu latach milczącej wrogości, wybrała sobie właśnie dzisiejszy poranek na nieoczekiwane przyjazny gest? .

Tak, musi być coś w powietrzu. Kto wie, może to będzie pierwszy krok w kierunku ... w kierunku ... Lacy nawet w myślach bała się wypowiedzieć słowo "przyjaźń". Dawno temu zrezygnowała z prób nawiązania z Owen przyjaznych stosunków. Jednakże dziś wszystko odczuwała inaczej.

Zarówno w niej, jak wokół niej, wszystko wydawało się inne.

Była wczoraj wobec Adama szczerą; dała szczerą wyraz swojemu oburzeniu.

Co najwyraźniej dobrze jej zrobiło. Było trochę ryzykowne, ale dało jej poczucie wyzwolenia. Może i z Gwen należałoby zaryzykować szczerą rozmowę? Powiedzieć jej, że w głębi duszy zawsze pragnęła zawrzeć z nią ... jeśli nie "przyjaźń", to przynajmniej "rozejm"?

- Uwielbiam mleko - westchnęła Gwen, nalewając sobie pełną szklanekę. -

Wyłączyli mi prąd i od tygodnia nie: miałam w ustach mleka.

Lacy poczuła się, jakby jej sprawiono zimny prysznic. Wszystko jest jasne.

Jak mogła być tak naiwna?

Chwała Bogu, że nie zaczęła głupich wyznań o zawieraniu przyjaźni albo pokojowego porozumienia. Owen nie szuka jej przyjaźni. Przyjechała, bo skończyły się jej pieniądze i potrzebuje zaliczki przed następną wypłatą. Jeżeli przez chwilę była dla niej wyjątkowo uprzejma, to tylko ze strachu, że macocha może jej odmówić. Podczas ostatniej rozmowy na temat ekstra pieniędzy Lacy stanowczo zapowiedziała, że to ma być ostatni raz, i mówiła serio, z czego Owen zdawała sobie sprawę. Owen nie była głupia.

Była rozchukana i zbuntowana, ale na pewno nie głupia.

- Dziękuję, ale piłam już kawę - Lacy zdobyła się na odpowiedź, czując, jak rozplywa się jej osobliwa poranna euforia.

Dyskretnie zerknęła na zegarek, mając nadzieję, że Owen szybko przystąpi do rzeczy. Za dwadzieścia pięć minut miała zacząć oprowadzanie po szpitalu ważnych osobistości, a wiedziała z doświadczenia, że dyskusje z Gwen o pieniądze nigdy nie trwają krótko.

Gwen postawiła szklankę na kontuarze i usiadła na jednym z wysokich barowych stołków.

- N o tak - zaczęła lekkim na pozór tonem. - Na pewno się domyślasz, po co przyjechałam.

- Faktycznie - odparła Lacy, odkładając kolejną reklamę na stosik "do wyrzucenia". - Podejrzewam, że nie po to, żeby pobyć z rodziną.

- Z rodziną? - wykrzyknęła Gwen, parszkając mlekiem. Otarła usta wierzchem dłoni, przełknęła resztę mleka i z ironią zachichotała. - Ty i ja mamy być rodziną? Przypominamy raczej dwa nieszczęsne małe zwierzaki, które ojciec zostawił zatrzaśnięte w czymś w rodzaju finansowej klatki.

- Jesteś w klatce? Czy to nie przesada? - chłodno uśmiechnęła się Lacy. - W każdej chwili możesz wyjechać, kiedy tylko zechcesz.

- A no! - Sok z nadgryzionej mandarynki spływał Gwen po palcach. Maniery córki doprowadzały Malcolma do furii. Wiele lat temu Lacy próbowała mu to wyperswadować, tłumacząc, że ta niezdarność ma pewien szczególny urok, jak u małego psiaka, który nie może sobie poradzić ze zbyt dużymi łapkami.

- Pewnie, że mogę wyjechać - podjęła Gwen, ostentacyjnie oblizując palce, jakby chciała nawet teraz robić ojcu na złość ... - Ale na to trzeba pieniędzy, których nie mam. Więc pomyślałam, że ty, jako strażniczka powierniczego funduszu, pomożesz mi rozwiązać ten dylemat.

W głowie Lacy zaroilo się od pytań. N a przykład: co właściwie Gwen robi z pieniędzmi? Dlaczego nie weźmie się do pracy, skoro chce żyć na wysokiej stopie? Albo nie dostosuje swojego poziomu życia do swoich dochodów? Były to jednak pytania, które Gwen znała na pamięć. Od śmierci Malcolma słyszała je od Lacy chyba z tysiąc razy. I nigdy na żadne z nich nie umiała dać zadowolającej odpowiedzi. Zamiast tego wpadała w złość, krzyczała, że gwałci się jej prywatność, i tak się awanturowała, że Lacy dla świętego spokoju wypisywała kolejny czek. Miarka się jednak przebrała. Malcolm w swojej ostatniej woli postanowił tak a nie inaczej, ponieważ chciał, żeby zapisanych Gwen pieniędzy starczyło na długie lata. Prawnik zarządzający ich majątkiem ostrzegł niedawno Lacy, że jeżeli nie przestanie ulegać prośbom pasierbicy, ta przed ukończeniem trzydziestu lat roztrwoni wszystko, co posiada.

Lacy przyrzekła sobie, iż następnym razem nie ustąpi, choćby miało się dziać nie wiadomo co.

- N o słucham, kluczniczo. Uchyłisz mi wrót skarbcza? Wypiszesz czek, żebym mogła swobodnie odfrunąć? I żeby uwolnić się od mojej obecności? Lacy odłożyła ostatni rachunek na właściwy stosik, wygładziła jego brzegi, po czym podniosła wzrok na Gwen i spokojnym, ale zdecydowanym tonem oświadczyła:

- Nie. Nie wypiszę ci czeku.

- Co takiego? - krzyknęła Gwen.- Chyba zwariowałaś! Chcesz, żebym ci się plątała po domu?

-To jest również twój dom - z zimną krwią odrzekła Lacy. - Będę szczęśliwa, mogąc go z tobą dzielić, jak długo zechcesz.

-Ale ja nie chcę tu siedzieć! - Gwen odepchnęła od siebie szklanekę z takim rozmachem, że ta uderzyła z brzękiem o kryształowe naczynie, wychlapując mleko na kontuar. - I ty doskonale. o tym wiesz.

- Przepraszam cię, Gwen - rzekła Lacy, sięgając po ściereczkę, po czym zebrała z blatu rozlane mleko. Z radia płynęła piosenka o szczenięcej miłości, lecz Lacy nie odczuwała już radości. Ranek utracił cały swój urok. - Przepraszam, ale muszę jechać do pracy. Jeśli chcesz, możemy wrócić do sprawy po południu, ale nie licz, że zmienię zdanie. Tym razem będziesz musiała poczekać na regularną wypłatę.

-To niemożliwe. Nie możesz mi tego ...

- Daj spokój, Gwen. - Lacy dla uspokojenia nerwów wzięła głęboki oddech. - To tylko dwa tygodnie.

Może spróbujesz przez ten czas zastanowić się nad sobą. Ułożyć sobie budżet. Zrobić plany na przyszłość. Pomyśleć, co chcesz w życiu robić.

- Co chcę robić w życiu? Dobrze wiesz, czego chcę, moja droga macocholo! Chcę przyjemnie spędzić życie. Z prawdziwymi .ludźmi, którzy żyją naprawdę i mają w życiu prawdziwe sprawy.

Nie chcę pędzić egzystencji zmumifikowanych robotów, jakie mój ojciec i ty nazywaliście życiem.

- Jak chcesz - odparła Lacy, wstając ze stołka.

-Ale jeżeli na wejście do tego rajz trzeba gotówki, to będziesz musiała z tym poczekać dwa tygodnie. Do następnej wypłaty.

Gwen też się podniosła, burcząc ze złością pod nosem. Stały chwilę naprzeciw siebie po dwóch stronach kuchennego blatu .

-Wiesz, że ty jesteś niesamowita. Chodząca maszyna, wyzbyta wszelkich ludzkich cech. - Gwen zuchwale potrząsnęła swoją bujną czupryną, lecz w jej oczach błyszczały łyzy rozpacz. -, Może jedyne, co umiem, to trwonić pieniądze, ale przynajmniej wiem, że żyję. Wolałabym już nie wiem co, niż stać się taką zimną czarownicą jak ty.

Odwróciła się na pięcie, wypadła z kuchni i pędem wbiegła na schody. Po drodze wyłączyła w salonie radio.

Jeszcze przez chwilę słychać było wściekle tupanie stóp na piętrze, a potem zapadła cisza. Tykał tylko głucho kuchenny zegar, martwym głosem odmierzający czas.

Zrobiło się dziwnie samotnie. Cicho. Pusto. Lacy poczuła nagły ból w sercu. Zacisnęła zęby. To absurd. Epitety, jakimi obrzuciła ją dzisiaj Gwen, a nawet gorsze rzeczy, słyszała już od niej tysiące razy. A wczoraj podobnymi obelgami uraczył ją Adam Kendall.

To nic. Nie są w stanie jej dotknąć.

Zamrugła powiekami, po czym wyprostowała się, wzięła ze stołu filiżankę po kawie i, tak jak uczył ją Malcolm, przed wstawieniem do suszarki opłukała ją nad zlewem.

Chodząca maszyna. Proszę bardzo. Zimny robot.

Niech i tak będzie. Nic ją to nie obchodzi. Nic ją to nie obchodzi!

Kiedy jednak podniosła się znad suszarki i popatrzyła przez okno, zdała sobie ze strachem sprawę, że wcale nie jest jej to obojętne.

Adam wypił już dwie szkockie z wodą, i właśnie zastanawiał się nad trzecią. Gestem ręki przywołał blond piękność obsługującą graczy w golfa, którzy w hotelowym westybulu omawiali dzisiejsze wyniki. Kiedy stuknął palcem w szklanekę, panienska przyjęła to z pełnym zachwytem uśmiechem, jakby wykonał coś nadzwyczaj mądrego.

Sprytna sztuka, pomyślał kwaśno. Wie, że uśmiech pięknej kobiety to najlepszy balsam na zranioną męską ambicję. Pewnie napiwkami zarabia miesięcznie więcej niż większość ludzi w ciągu roku.

-Wiesz co, bracie? Zalenie się nie poprawi ci samopoczucia. - Travis z bezczelnym zadowoleniem rozsiadł się na krześle. - Dałem ci łupnia i musisz się z tym pogodzić.

- No dalej, napawaj się swoim zwycięstwem odparł Adam. - Bo niewiele ich będziesz miał, jeżeli nie zmienisz sposobu gry.

\_ Gadaj sobie, co chcesz. Zapis mówi co innego \_ odparował Travis, odchylając się do tyłu i dopijając czwarte piwo.

Adam zaśmiał się. On i Travis prowadzili takie rozmowy od niepamiętnych czasów. Raz wygrywał jeden, raz drugi.

W pierwszych latach w każdy wolny dzień chodzili grać na zachwaszczone, publiczne pole golfowe, po prostu żeby wyładować energię i zastanowić się, jak najlepiej zainwestować zarobione kosztem ciężkiego ryzyka pieniądze. Potem, kiedy zainwestowany kapitał zaczął przynosić krociowe zyski, awansowali do prywatnego sobotniego klubu.

Adam dobrze pamiętał ów przełomowy dzień przed trzema laty, kiedy zdali sobie sprawę, że ich pieniądze same się pomnażają, i że gdyby chcieli, mogliby sobie pozwolić na to, by grać w golfa w każdy dzień tygodnia. To był wspaniały moment obaj wybuchnęły wówczas śmiechem na myśl o tym, w jak magiczny sposób odmieniło się ich życie. Była to również chwila, w której Adam uświadomił sobie, że pewnego dnia wróci na stałe do Pringle Island.

- Szczerze mówiąc, miałem wrażenie, że byłeś dziś, jak by tu powiedzieć ... niezupełnie obecny myślami - zauważył Travis, zwracając się do przyjaciela z lekko już pijacką troską. - Jakbyś był zajęty ... innymi sprawami.

- Jakimi sprawami?

- Takimi jak Lacy Morgan.

W tym akurat momencie zjawiała się kelnerka, przynosząc zamówioną whisky. Z przesadną drobiazgowością ustawiała na stole szklanekę i układała serwetkę. Zadowolony z przerwy w rozmowie Adam, z wielkim entuzjazmem odpowiedział na jej kolejny promienny uśmiech.

- No i co? - niecierpliwie ,zagadnął Travis. Nie powiesz mi, co się stało? Czekałem przez cały dzień, a ty nic. Czy to prawda, co plotkują?

- Wątpię - odrzekł Adam. - Nie należy wierzyć plotkom. Jestem jednak w trochę niewygodnej sytuacji, ponieważ nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

- Powiedz to komu innemu - parsknął śmiechem Travis. - I przestań do mnie przemawiać tym ironicznym tonem wychowanka prywatnej szkoły. Jak by nie było, swojej fortuny nie odziedziczyłeś po mamie i tacie. Dorobiłeś się pieniędzy, pełzając z latarką w oleistym błocie, wykonując robotę, której inni bali się podjąć.

- Albo byli na to za mądrzy - wtrącił Adam. Boże, jacy my byliśmy głupi!

- Ja robiłem to z głupoty, ale ty - ciągnął Travis, wskazując Adama palcem - miałeś jasno określony cel. Chciałeś za wszelką cenę zrobić majątek po to, żeby wrócić do domu jako bohater, poślubić swoją ukochaną i żyć z nią długo i szczęśliwie.

- No właśnie, byliśmy głupi - powtórzył Adam, podnosząc szklanekę whisky. Travis trącił się z nim butelką piwa, po czym popadł w melancholijne zamyślenie. Zapewne oddał się rozpamiętywaniu co niebezpieczniejszych momentów w rafinerii. A przeżyli ich obaj niemało.

Jak choćby wybuch, po którym Adamowi została blizna pod okiem, a który jemu o mało nie rozszarpał lewej łydki.

Najwyższa pora, żeby zmienić temat, zanim Travis do reszty się rozrzewni i zacznie nudzić nie do wytrzymania. Adam pchnął ku niemu miseczkę z fistaszkami, i zagadnął:



-Ale wracając do rzeczy istotnych. Znalazłeś może trochę czasu, żeby się zorientować w tutejszym rynku nieruchomości, czy zajmowałeś się wyłącznie poprawianiem swoich umiejętności w grze w golfa?

Travis jak zwykle szybko otrząsnął się z melancholii. Adam poruszył właściwy temat. W dziedzinie handlu nieruchomościami Travis był prawdziwym geniuszem; rok w rok podwajał ich majątek, kupując i sprzedając domy i parcele. Do Pringle Island przyjechał oficjalnie po to, by pomóc Adamowi zainwestować pieniądze w kupno domu, chociaż obaj wiedzieli, że dla dobrej partii golfa wybrałby" się i bez tego na koniec świata.

- Owszem, zbadałem sytuację, ale nie znalazłem niczego, co mógłbym ci polecić. Mieszkańcy wyspy cholernie wysoko cenią swoje domy. Można by pomyśleć, że mają w ogrodach złoty piasek zamiast ziemi. W dodatku połowa tutejszych domostw należy od niepamiętnych czasów do tych samych rodzin. Ale nawet nowsze budowle kosztują dwa razy więcej niż są warte.

-Tylko dwa razy więcej? - Adam ze zdziwieniem podniósł jedną brew, doskonale naśladując ton i minę typowego synalka bogatej mamusi. - Ależ mój drogi, .na to wystarczy mi zlikwidować jeden pakiet akcji.

Travis aż się skrzywił.

- Nie cierpię, kiedy mówisz do mnie w ten sposób. Pewnie, że mógłbyś sobie pozwolić na zapłacenie podwójnej ceny. Chcę ci tylko powiedzieć, że tutaj nie warto inwestować. Ceny nieruchomości są nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do ich wartości, podobnie zresztą jak poczucie własnej wartości ich właścicieli.

-Ale ... - zaczął Adam, pocierając ręką podbródek.

- Zresztą - przerwał mu Travis - teraz chyba i tak zmienisz plany. Po tym, co się wczoraj wydarzyło koło latarni morskiej ... Ano właśnie ... - dodał. - Nie powiedziałaś mi, co tam naprawdę zaszło.

- Czulem, że sobie w końcu przypominasz - westchnął Adam. - Powiedz mi, co słyszałeś, a ja ci odpowiem, czy to prawda.

- No więc ... - zaczął Travis, wyraźnie speszony. Przez chwilę niepewnie obracał w rękach nie dopitą butelkę. - Słyszałem, że między tobą i Lacy doszło, hm ... - Popatrzył na przyjaciela. - Jak by to nazwano w snobistycznym towarzystwie?

- Nieporozumieniem? - z sarkastycznym uśmiechem podrzucił Adam.

-Właśnie. Coś w tym guście. Słyszałem, że doszło między wami do awantury. Wszystko miało się odbyć na samym cyplu. - Travis pochylił się nagle nad stołem, o mało nie strącając butelki, i ściągając na siebie zaniepokojone spojrzenie kelnerki. - Słyszałem, że się wściekła, i dała ci w twarz.

- Zgadza się - potwierdził Adam. - Tak zrobiła. Travis opadł na oparcie krzesła, wydając z siebie głębokie westchnienie.

- Przykro mi, stary. Liczyłeś ... no, że ona ... że wy... - Nagle przerwał, zdając sobie sprawę, że wkracza w rejony ściśle zastrzeżone. - Zresztą wiesz, co chcę powiedzieć. Bardzo żałuję.

- Nie ma czego żałować.

- Jak to? - zdziwił się Travis.

-A tak to, że pierwszy raz, odkąd tu przyjechałem, zachowała się w sposób dodający mi otuchy.

- Co ty wygadujesz? Dała ci po mordzie, i ty to nazywasz dodaniem otuchy? Ciekawe, co musiałaby zrobić, żeby odebrać ci otuchę?

- Okazywać obojętność. Nie reagować. - Adam odczekał chwilę, pamiętając o czterech butelkach piwa, które niewątpliwie lekko ograniczyły pojętność przyjaciela. - U kobiet pasja jest zawsze objawem bardziej obiecującym niż chłód.

-A, rozumiem - odparł Travis, któremu najwidoczniej rozjaśniło się w głowie.

- Rozumiem. \_

Potarł w zadumie policzek, jakby trochę utrudzony zgłębianiem tej mądrości. - No dobrze, a skoro już rozpałiłeś w niej pasję, to co zamierzasz dalej robić? Adam podniósł się, rzucając na stół suty napiwek.

-To proste - odparł. - Zamierzam kupić dom.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W każdą sobotę wokół Main Street, gdzie odbywał się targ, już o ósmej rano nie sposób było zaparkować samochodu. Dzisiaj, w dzień z dawna oczekiwanej wieloetapowej kolacji na świeżym powietrzu, którą Lacy urządzała dla swoich sponsorów, panował jeszcze większy tłok niż zazwyczaj. Wszystkie szanujące się kucharki od wczesnego rana wyległy na rynek, wykupując na wypródkę najlepsze wiktuały.

Lacy nawet nie próbowała zaparkować w pobliżu targowiska. Pojechała aż do antykwariatu "Pod Herbowym Pióropuszem" na końcu ulicy, i wróciła piechotą. Uwielbiała chodzić po mieście, zwłaszcza wczesnym rankiem, kiedy wiatr od morza niósł chłodny powiew, a hałas samochodów nie zagłuszał szumu fal uderzających o brzeg.

Zapowiadał się cudowny dzień - gorący, ale trochę wietrzny, z kłębiącymi się na niebie białymi cumulusami.

Miała nadzieję, że pogoda utrzyma się do wieczora, ponieważ kolacja rozpoczynała się na jednym końcu wyspy - punktem zbornym była promenada Seafood Stroll ze stołami zastawionymi owocami morza - skąd goście mieli przejść przez miasto, gdzie czekały ich po drodze kolejne kulinarne atrakcje. Na późny wieczór, jeżeli pogoda dopisze, zaplanowano finał na plaży piknik

z drinkami na kocach, przy dźwiękach lokalnej orkiestry, przygrywającej z wysokich wydm.

Na rynku panowało niesłychane ożywienie .. Mildred Pritchett i Elspeth Jared stały zacierzwione po dwóch stronach załadowanego świeżymi ziołami wozu, w postawie szykujących się do ostatecznego pojedynku kowbojów. Zaś bracia Pringle, przedstawiciele jednej z pierwszych rodzin miasta, ładowali melony i owoce cytrusowe do swoich worków z taką szybkością, jakby byli w centrum handlowym i wygrali promocyjny konkurs, pozwalający zwycięzcy przez pięć minut buszować po półkach, biorąc wszystko, co wpadnie mu w ręce.

Tilly też się zjawiała, chociaż już wcześniej zaopatrzyła się w owoce do stanowiącego jej specjalność kremowo-ptysiówego "łabędziego" deseru na dzisiejszą kolację, a innych rzeczy też nie musiała kupować. Przyszła na targ wyłącznie dla sportu.

W chwili, gdy Lacy do niej dotarła, Tilly zażarcie targowała się ze sprzedawcą o cenę gruszek.

Znajomi, dobrze znający Tilly od tej strony, udawali, że jej nie widzą, jednakże paru turystów stało koło straganu, z zaciekawieniem przysłuchując się rozgrywce. Widząc, jak starsza pani wyklóca się o każdego centa, nikt by się nie domyślił, że ma przed sobą jedną z najbogatszych mieszkanek wyspy.

- Proszę nie zwracać na to uwagi - zwróciła się Lacy, biorąc Tilly pod rękę. - Ta pani zapłaci tyle, ile pan żądał.

-Właśnie że nie - zachnęła się Tilly. - On chce po dolarze dziewięćdziesiąt za

...

- Proszę je zapakować - dodała Lacy, ostrzegawczo ściskając dłoń swej starszej przyjaciółki. Gdy mężczyzna zabrał się z obrażoną miną do pakowania gruszek do torby, powiedziała do niej z wyrzutem: - Przestań się z nim użerać. Dla ciebie to zabawa, a on z tego żyje.

Tilly zawahała się, niepewna czy ma się obrazić, czy nie, lecz zamiast tego parsknęła tak głośnym śmiechem, że peruka przekrzywiła się jej na głowie. Tilly jednym energicznym ruchem pchnęła ją na właściwe miejsce.

- Oj, to prawda, to prawda - oświadczyła, biorąc torbę z gruszkami i podając sprzedawcy pieniądze.

- Uwielbiam się targować. Szkoda, że mnie pan nie widział na bazarze w Maroku.

- Bardzo żałuję - chłodno odparł sprzedawca.

Lacy wyprowadziła Tilly z targu do pobliskiej kafejki, nim starsza pani zdążyła się wdać w kolejną awanturę.

- Siądźmy - powiedziała, podsuwając Tilly jedno z żelaznych krzeseł. - Założę się o cenę tych gruszek, że nie jadłaś dzisiaj śniadania.

Tilly zrobiła tak zawstydzoną minę, że Lacy prawie się roześmiała. Ale sprawa nie była zabawna.

Była poważna. Toteż Lacy powstrzymała uśmiech i, nie zważając na Tilly, która domagała się gofrów i croissantów Z czekoladą, zamówiła dla niej jaje. cznicę z razowymi grzankami.

Jednakże panujący dokoła gwar szybko rozweselił starszą panią. Widać było, że sezon turystyczny jest w pełni. Na krętej, eleganckiej głównej ulicy mia-  
steczka roilo się od spacerujących par, ulicznych artystów, szalejących na desce nastolatków. W dągu kwadransa kawiarnię minęła połowa znajomych Tilly, która z upodobaniem opowiadała każdemu, jak to bezlitosna Lacy odmawia jej ciastek.

Lacy wyłączyła się, gdyż wołała posłuchać ulicznych muzyków, którzy dwa domy dalej rozstawili prowizoryczną scenę. Zespół złożony z trzech zarośniętych blondynów zaopatrzonych w gitarę, przenośną klawiaturę i tamburyn śpiewał piosenki zespołu Beach Boys. Ulica rozbrzmiewała muzyką i śmiechem. Kilka par zaczęło tańczyć. Lacy obserwowała ich z uczuciem bliskim zazdrości. Byli tak spontaniczni, wolni od skrepowania, jakby nie przychodziło im do głowy, że mogą się ośmieszyć. Malcolm uznałby ich zachowanie za objaw braku godności. Ale na ulicy najwyraźniej nikt tak nie uważał. Przechodnie klaskali i śpiewali razem z muzykami, ciesząc się widowiskiem.

Do kręgu tańczących przyłączyła się nowa para.

Zaskoczona Lacy rozpoznała Gwen, jak zwykle fantazyjnie ubraną w jaskrawo pomarańczową plażową suknię, przepasaną cytrynowożółtą szarfą. Zaś jej partnerem był przemiły przyjaciel Adama, Travis Rourke, w równie egzotycznej, kolorowej hawajskiej koszuli. Tańczyli z niesłychanym wdziękiem. Byli tak pełni życia, tryskali zdrowiem i nie skrepowanym erotyzmem ...

Malcolm wpadłby w furję. Jego córka robi z siebie widowisko! Nonsens!

Lacy zdała sobie nagle z porażającą jasnością sprawę, jak małostkowa, pedantyczna i bezsensowna byłaby jego reakcja.

- Co ci jest, Lacy? - spytała Tilly, ujmując ją za łokieć. - Chyba się pogniewałaś o to, że nazwałam cię anty cukrowym komandem?

\_ Wcale nie - uśmiechnęła się Lacy. - Ja jestem anty cukrowym komandem.

- Coś mi się jednak nie podoba - zauważyła Tilly, uważnie przypatrując się młodej przyjaciółce. -Przyznaj się, co cię gryzie?

Lacy W milczeniu składała i wygładzała swoją serwetkę. Nie była pewna, do jakiego stopnia może się przed Tilly otworzyć. Czuła jednak, że musi z kimś porozmawiać, a tylko wobec Tilly mogła sobie pozwolić na jaką taką szczerłość.

- Sama nie wiem - rzekła z wahaniem. - Ale od paru dni jestem jakaś ...  
podminowana.

- Podminowana? Z powodu dzisiejszej imprezy? Nic się nie martw, kochanie,  
będzie wspaniale. Na pewno zdobędziesz pieniądze potrzebne na budowę  
nowego skrzydła szpitala, a nawet więcej.

Obiecuję.

- Nie, nie chodzi o dzisiejszą imprezę - odparła Lacy. - Ale w ogóle o  
wszystko. Czuję się, jakby ...

- Urwała, spoglądając na roześmiane tańczące pary, wykonujące  
unowocześnioną wersję twista.

Jak określić to, co odczuwa? A no właśnie. W tym rzecz. Odczuwa. Po raz  
pierwszy od tyłu, tyłu lat zaczęła coś odczuwać. - Czuję się wytrącona z  
równowagi - oznajmiła, mając nadzieję, iż to wyjaśnienie wystarczy. - Jakbym  
nagle przestała panować nad emocjami. W jednej chwili czuję się zadowolona,  
a potem ni stąd, ni zowąd robi mi się smutno. To zupełnie do mnie  
niepodobne. Wiesz przecież, że nigdy nie tracę panowania nad sobą. Pod  
żadnym pozorem. A tymczasem przedwczoraj ...

- Spoliczkowałaś Adama Kendalla?

Lacy westchnęła. Więc jednak ktoś to zobaczył.

- Już to do ciebie doszło, co?

- Oczywiście, moja droga - odparła Tilly z lekko ironicznym uśmiechem. -  
Żyjemy przecież na Pringle Island. Kelner podający mi tę paskudną jajecznicę  
też już o tym słyszał.

-A niech to! - zdenerwowała się Lacy, rzucając serwetkę na stół.

- No i co się stało? - Tilly najspokojniej w świecie upiła łyk kawy. - Nudzą  
się. Teraz przynajmniej mają o czym pogadać.

-Ale nie chcę, żeby gadali o mnie. A poza tym, to zupełnie nie w moim stylu.  
Ja nie wpadam w złość. Nie policzkuję mężczyzn.

- Najwidoczniej odstąpiłaś od swoich zwyczajów. - Tilly sprawiała wrażenie  
zadowolonej z siebie.

- Zresztą powiedz z ręką na sercu, czy Adam Kendall nie zasłużył sobie na to,  
co go spotkało?

- Nie - zaprzeczyła Lacy. - A zresztą, może. Sama nie wiem. - Spojrzała z  
rozpaczą na przyjaciółkę.

- No, posłuchaj! Zachowuję się jak jakaś nieopanowana histeryczka. Nie  
jestem sobą. Normalnie nie mam zwyczaju histeryzować.

Twarz Tilly złagodniała. Czułym gestem dotknęła policzka Lacy.

- Nie martw się, dziecinko - rzekła. - To dlatego, że zaczynasz budzić się ze  
snu. Nic dziwnego, że czujesz się trochę zagubiona.

- Zaczynam się budzić? - Lacy wyprostowała się na krześle, dziwnie zbita z  
tropu słowami Tilly, które jednak zdawały się trafiać w sedno.

-Tak, moja Śpiąca Królewno. Budzisz się ze snu. - Tilly ujęła dłoń Lacy, tuląc ją w swoich chłodnych, suchych rękach. - Twoje rany długo się goiły. Bo też były bardzo głębokie. Utraciłaś Adama. Straciłaś dziecko.

.- Tilly, nie! - wyszeptwała Lacy, bojąc się, że zaraz się rozplacze. Odkąd to weszło jej w zwyczaj ronić łzy na każde zawołanie? Od dziesięciu lat jej oczy nie splamiły się łzami, Aż do niedawna.

-Wiele przeżyłaś. Nic dziwnego, że zamknęłaś się w sobie jak larwa w kokonie, aby rany mogły się zagoić. Ale odzyskałaś już siły na tyle, że możesz go odrzucić. Chyba możesz się już obudzić i wyjść ze swojego kokonu na świat.

Lacy popatrzyła na Tilly w milczeniu.

-A jeżeli nie chcę z niego wyjść? - powiedziała, ściskając ją za rękę. - Jeżeli wolę pozostać w nim i nie budzić się?

Tilly pochyliła się i ucałowała ją w policzek.

- Chyba nie masz wyboru. Narkoza przestaje działać. Odzywa się głos życia. Będziesz musiała mu odpowiedzieć.

Nagle na ich stolik padł czyjś cień. Lacy domyśliła się, kto to, nie podnosząc głowy. Odkąd ujrzała Travisa, wiedziała podświadomie, iż Adam musi być w pobliżu.

-Witam, Adamie! - zawołała Tilly, w jednej chwili porzucając powagę i przyjmując lekki, żartobliwie zaczepny ton. - Świetnie się składa! Lacy też marzy, żeby zatańczyć. Zabieraj ją, a ja tymczasem skorzystam z okazji i zamówię sobie coś przyzwoitego do zjedzenia .

-Tilly! - Lacy trąciła ją pod stołem w kolano.

Nie była w stanie przerzucać się tak łatwo z nastroju w nastrój. Czyż cała ich poprzednia rozmowa nie krążyła pośrednio wokół osoby Adama? Czyż nie chodziło w niej o to, że jego pojawienie się zakłóciło spokój jej egzystencji? Ale czy tak naprawdę była gotowa przyznać, nawet przed sobą, że jej przebudzenie zbiegło się z jego powrotem?

- Dzień dobry paniom! - powitał je Adam. - W lekko podniesionym kąciku jego warg zdawał się czaić uśmiech. - Chętnie bym spełnił każde twoje życzenie, Tilly, ale boję się, że na to, aby tańczyć na ulicy, trzeba mieć autentyczną ochotę. Inaczej nie warto.

- No to udaj, że masz ochotę, bo umrę z głodu - z niezadowoleniem mruknęła Tilly.

Adam posłusznie zwrócił się do Lacy:

- Może cię to zdziwi, ale czuję nagłą ochotę na twista. Czy mogę cię prosić? Co najbardziej ją zaskoczyło, to własna niekontrolowana reakcja; z jakiegoś niepojętego powodu miała ochotę odpowiedzieć "tak".

Czyste wariactwo! To właśnie miała na myśli, mówiąc Tilly, że jest podminowana. Jak można być tak narwaną? Parę dni temu publicznie dała temu mężczyźnie w twarz, a teraz miałyby pójść z nim w tany?

Okazałyby się schizofreniczką. Plotkarze nie posiadaliby się z uciechy.

- Raczej nie - odparła, przybierając uprzejmy ton. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie jej ochota tańczyć na ulicy, to na pewno nie z Adamem. - Ale dziękuję, za zaproszenie.

- Boże, ratuj! Anty cukrowa policja nigdy nie schodzi z posterunku - pożałowała się Tilly. - Ale dziękuję za dobre chęci, Adamie. Dobrze przynajmniej, że cię nie spoliczkowała.

Sploniona Lacy spiorunowała Tilly wzrokiem, częściowo po to, by nie musieć spojrzeć Adamowi w twarz. Co za podłość, żeby o tym wspominać! Lacy chciała w jakimś momencie przeprosić Adama za to, co się stało, ale niech Tilly sobie nie wyobraża, że zmusi ją do tego swoimi machinacjami!

- Póki co - uśmiechnął się Adam. - Ale mamy dopiero początek dnia.

\_ Poza tym Lacy ma inne sprawy na głowie \_ pojednawczo dodała Tilly. -

Dziś wieczorem odbywa się ostatnia wielka impreza, kończąca kampanię zbierania pieniędzy na budowę nowego oddziału położniczego. Nie wiem, czy słyszałeś? U dział po pięćset dolarów od łebka, ale co to dziś dla ciebie znaczy? Zresztą warto się wykosztować, bo to jedyna okazja do spróbowania moich słynnych ptysiowych łabędzi.

\_ Owszem, wykupiłem już bilet - odparł. - Za namową Jennifer Lansing.

Podobno to także jedyna

okazja do spróbowania jej słynnego kurczaka.

\_ Bardzo jesteś łatwowierny, mój drogi - zauważyła złośliwie Tilly.

Mam tego dosyć, pomyślała Lacy i wstała. Zrobiła to niestety tak gwałtownie, że przewróciła szklankę z sokiem pomarańczowym. Sok rozlał się po stole i zaczął skapywać na jej własne, śnieżnobiałe tenisówki. Widocznie po obudzeniu zrobiłam się równie niezdarą jak moja pasierbica, stwierdziła.

- Muszę już iść, Tilly - oświadczyła, wycierając pospiesznie rozlany sok.

Niech go diabli, pomyślała w duchu, choć na dobrą sprawę o to akurat nie mogła Adama winić. - Mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia przed wieczorem.

- Może i ja mógłbym się na coś przydać? - spytał Adam, pochylając w bok głowy. Poranne słońce podkreślało jego kości policzkowe i zapalało w oczach szafirowe błyski.

- Nie - odparła szybko, czując ku swemu przerażeniu, jak bardzo te jego szafirowe oczy wzmagają jej zmieszanie. - Dziękuję, ale nie. Powinam już iść. Jest tyle drobiazków ... Muszę mnóstwo zrobić rzeczy ...

- N o to leć, na litość boską. Adam odprowadzi mnie do samochodu. - Tilly dobrodusznie poklepała Lacy po ramieniu, po czym z niewinnym uśmiechem zwróciła się do Adama: - Nie martw się o nią. Późno się obudziła i ma mnóstwo zaległości.

Lacy patrzyła ze zgrozą na wyjętą z pieca blachę, odgarniając watowaną rękawicą kosmyk z czoła.

Tyle rzędów pięknie uformowanych z ciasta znaków zapytania, które tak pieczolowicie ułożyła zaledwie dwadzieścia minut temu. Wszystkie spaliły się na węgiel.

W nowocześnie urządzonej kuchni Tilly unosił się ostry zapach spalenizny. Lacy spojrzała na zegar - za piętnaście siódma. Goście zaczną się schodzić za godzinę i kwadrans. Usiądą w jadalni Tilly przy pięknie zastawionym stole i, ze srebrnymi łyżeczkami w rękach, zaczną się wpatrywać w puste talerzyki z francuskiej porcelany, czekając, aż jedna z trzech usługujących do stołu, ubranych w koronkowe czepeczki panienek położy na każdym talerzyku legendarną specjalność Tilly wielkiego ptysia w kształcie łabędzia.

Niestety, panienki nie będą miały co nakładać. Zostały tylko zwęglone resztki łabędzich szyj, które leżały przed nią na blasze.

Do kuchni zajrzała Agnes, jedna z trzech pracujących w szpitalnej kuchni panienek, które zgłosiły się na ochotnika, by pomagać Tilly przy dzisiejszym przyjęciu. Pociągnęła nosem.

\_ Hm. Proszę pani? Pani Barnhardt kazała pani przekazać, że jej piec lubi się czasem przegrzewać.

\_ Rzeczywiście - przyznała markotnie Lacy. - Właśnie widzę. Zmartwiona Agnes załamała ręce.

\_ A to ci dopiero! Pójdę chyba powiedzieć pani Barnhardt, co się stało. Pan doktor jeszcze u niej jest, ale chyba ...

\_ Nie - zaprotestowała Lacy. - Nie. Nic jej nie mów. Nie można jej denerwować. - Znów spojrzała na zegar. Za dwanaście siódma. - Mamy czas. Zostało dosyć ciasta. Zacznę wszystko od początku. Wysypała zawartość brytfanny do plastikowego worka na śmieci. - Bądź tak miła i wynieś to do kubła w ogrodzie. A kuchnia może zdąży się wywietrzyć przed przyjściem gości.

Agnes wzięła worek i pobiegła na dwór. Lacy wyjęła z lodówki zapasowe ciasto. Tilly na szczęście przygotowała je z zapasem. Lacy nie ośmieliłaby się zastąpić słynnego ciasta Tilly amatorskim wytworem własnych rąk.

Starła się skoncentrować na tym, co robi, zauważyła jednak, biorąc torbę do formowania ciasta, że trzęsą się jej ręce. Była zdenerwowana. Powinna być nie tu, ale na górze, przy Tilly. Słuchać, co lekarz ma do powiedzenia. A tymczasem musi tkwić w kuchni, przygotowując te idiotyczne ciastka. .



Och Tilly, Tilly, ty niezośny uparciuchu! Jak mogłaś tak niemądrze postąpić? Po południu zadzwoniła do Lacy przerażona Agnes. Tilly zemdląła. Lacy od razu się domyśliła, co się stało. Tilly, po odzyskaniu przytomności, potwierdziła ten domysł. Chcąc podczas pieczenia ciastek próbować, czy są dobre, wstrzyknęła sobie dodatkową dawkę insuliny.

Sądziła, że insulina bezpiecznie zneutralizuje nadmierną ilość cukru. Nie miała racji. Po zejściu do kuchni upadła nieprzytomna na podłogę. Stało się to dwie godziny temu. Natychmiast wezwano lekarza, Tilly odzyskała przytomność, była osłabiona, ale w pełni świadoma. Niemniej Lacy niepokoiła się o nią, pomyślała, że odwoła przyjęcie, jednak Tilly nie chciała o tym słyszeć. Wpadła w wielkie podniecenie i w rezultacie Lacy zgodziła się samodzielnie upiec ciastka.

Nie mogła się skoncentrować. Dopiero za trzecią próbą zdołała dopasować rurkę do wyciskania masy. W końcu jednak nowa porcja łabędzich szyjek była gotowa. Zredukowała temperaturę o pięćdziesiąt stopni, wstawiła blachę do piekarnika. Następnie zajęła się łabędzimi korpusami, których setka, na razie bez głów, stała, niby na wyspie, na rzeźnickim pieńku pośrodku kuchni.

Skrzydła. Trzeba dorobić skrzydła. Niestety, już przy trzynastej parze półksiężyców nóż obsunął się, trafiając Lacy w czubek wskazującego palca. \_ Uaa! - Rzuciwszy nóż, podniosła i obejrzała skaleczony palec. Cięcie było niedługie, lecz głębokie.

Rana szybko napływała krwią. Cofnęła rękę, żeby nie pobrudzić łabędzich skrzydeł.

Włożyła palec pod kran i puściła wodę, spoglądając jednocześnie niespokojnie na zegar. Pięć po siódmej. Jak ten czas leci. I jaka katastrofa może się jeszcze wydarzyć?

- Proszę pani? - Agnes znów stała w drzwiach kuchni, jeszcze bardziej onieśmielona niż poprzednio.

- Proszę pani, nie wiem, co robić. Przyszedł jakiś pan Kendall. Mówi, że pani Barnhardt dzwoniła do niego i kazała mu przyjść. Ale pani mówiła, że bym nikogo do niej nie wpuszczała, więc ...

- Przyszedłem nie do pani Barnhardt - odezwał się za plecami Agnes męski, zdecydowany głos \_ tylko do pani Morgan.

-Aha! - Agnes zrobiła mu przejście, patrząc z cielecym zachwytem na wchodzącego do kuchni Adama. Jeszcze bardziej się rozanieliła, kiedy uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu.

- Dziękuję - powiedział. - Przyszedłem pomóc pani Morgan. Damy sobie radę. Był już w wizytowym stroju, "co najwidoczniej bynajmniej go nie krępowało. Wszedłszy do kuchni, zdjął marynarkę, którą powiesił na oparciu krzesła, po czym rozluźnił krawat i zabrał się do podwijania rękawów białej koszuli.

Zwróciło jej uwagę, że nosi ubrania równie kosztowne, jak kiedyś Malcolm. Spostrzegła jednak, iż w przeciwieństwie do jej męża, któremu ubranie zdawało się przydawać znaczenia, a on sztywno je celebrował, u Adama odzienie stanowiło jedynie drugorzędną ozdobę jego osoby. Było jasne, że prezentowałyby się równie okazałe w wystrzępionych dżinsach, a nawet z gołą bez niczego. Zdała sobie sprawę, iż nadal stoi przy zlewku, trzymając palec pod strumieniem wody, i patrzy na niego tak samo oglupiałym wzrokiem jak poprzednio Agnes. Musi się z tego otrząsnąć.

- Posłuchaj, Adamie - odezwała się. - Nie wiem, po co Tilly ...

W tym momencie Adam szybkim ruchem porwał leżącą obok niej grubą rękawicę, włożył ją na prawą rękę, otworzył drzwiczki piekarnika i wyciągnął blachę z łabędzimi szyjkami. Dosłownie w ostatnim momencie! Były pięknie zarumienione. Gdyby piekły się chwilę dłużej, miałyby kolejną blachę zwęglonego ciasta.

- Och, dziękuję -... wybąkała. - Całkiem zapomniałam. Skaleczyłam się w palec, o tutaj, i ...

- Rzeczywiście. Zaraz się tym zajmimy. - Odstawił blachę na stół, oderwał kilka kawałków papierowego ręcznika i ujął jej rękę, która zaczęła tymczasem na nowo krwawić.

Patrząc, jak Adam owija jej palec ręcznikiem, tamując krew, Lacy zdała sobie sprawę, jak żaloszny musi przedstawiać widok, i czekała na jego cięty komentarz. Ciastka się przypalają, a noże tną palce? Ładny przykład tak wychwalanej przez całe miasto sprawności "niezrównanej pani domu"!

- Posłuchaj, Adamie - powtórzyła, nie czując się na siłach znieść jego sarkazmu. - Nie wiem, po co Tilly cię tutaj wezwała, ale w tej chwili naprawdę nie jestem w stanie tobą się zajmować. Jestem, jak widzisz, w trudnej sytuacji. Musiałam się w ostatniej chwili zabrać do pieczenia ciastek, nie mam w tym wprawy, jestem już spóźniona, a w dodatku niepokoję się o Tilly. Naprawdę nie mam siły znieść na dokładkę twoich przytyków.

- Czy poląłeś palec wodą utlenioną? - zapytał, zdejmując prowizoryczny opatrunek i oglądając ranę, jakby w ogóle Lacy nie słyszał.

-Tak - odparła, wyrывая rękę. - Nie słyszałeś, co powiedziałam? Idź sobie i zostaw mnie.

- Przyszedłem, żeby ci pomóc - oświadczył, odrzucając zmięty ręcznik. - Tylko po to. Tilly uważała, że mogę ci się przydać. .

Cóż mogła na to powiedzieć? Że sama jego obecność, nawet gdyby się z niej nie naśmiewał, utrudnia jej koncentrację?

Dla zyskania na czasie zabrała się do szukania opatrunku. Po chwili, stojąc plecami do Adama, spróbowała innej strategii. .

-To bardzo miło z jej strony, że się o mnie zatroszczyła, ale ... - Na szczęście znalazła pudełko z opatrunkami. - To bardzo miło, ale ja tutaj piekę ciastka, przygotowuję krem i tak dalej. Nie sądzę, żebyś się znał na takich rzeczach. - Bo jestem mężczyzną? Czy nie jesteś zbyt staroświecka? - Nie, nie dlatego - odparła. - Znam wielu mężczyzn, którzy świetnie znają się na kuchni. Wiem, że ty też musiałeś gotować sobie i ojcu. Ale teraz ... Jesteś bardziej zadowolony na golfowych kortach, w modnych miejscowościach letniskowych, i pewnie w damskich sypialniach. Częściej zagładasz do biuletynów giełdowych niż do kuchni. Nie pasujesz do tego, co tutaj robisz. Jesteś za wspaniały, za męski. Nie chcę cię tutaj. - Coś ci powiem - odezwał się Adam. - W rafinerii nie było ani jednej kobiety. Nie mieliśmy kucharek, sprzątaczek, żon ani przyjaciółek. Była tylko gromada zwariowanych facetów, którzy sami musieli sobie ze wszystkim poradzić. I jakoś sobie radziliśmy. Ja, na przykład, stałem się bardzo dobrym kucharzem. - Popatrzył na zegar. - Ale dziś jestem przede wszystkim twoim pomocnikiem - dodał rzeczowo. - Ominie cię kolacja - zwróciła mu uwagę Lacy. - Nie będziesz żałował, że nie spróbowałeś słynnych kurcząt Jennifer Lansing? - Jakoś to przeżyję - roześmiał się, zdejmując krawat i rzucając go na marynarkę. Miał figlarną minę, całkiem jak za dawnych czasów. - Ale do dzieła, Lacy. Zostało tylko pół godziny na wypełnienie kremem stu łabędzi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wolontariusze odprowadzali samochody gości na parking, dzięki czemu Lacy, mimo spóźnionej pory, mogła podjechać pod samą plażę, by wziąć udział w ostatniej części swojej charytatywnej imprezy. Idąc zbudowanym na wydmach drewnianym pomostem, cieszyła się, że pogoda nie zrobiła jej zawodu. Orzeźwiający wiatr kołysał chińskimi lampionami, niebo było czyste, a romantyczne światło księżycy rzucało niebieskie błyski na piaszczysty odcinek plaży, na którym zgromadzili się goście. Orkiestra grała spokojne melodie. Nic dziwnego. Po kolacji złożonej z kremu z mały, nadziewanych liści winogron, puree z dyni i sałatki z homara, nie mówiąc już o przyprószonych cukrem pudrem ptysiowych łabędzi na deser - goście byli zbyt ocieźali, by puścić się w szybki taniec. Mimo niepokoju o Tilly, Lacy była zadowolona, że tu przyjechała. Impreza, której przygotowanie kosztowało ją tyle pracy, spełniła najśmielsze oczekiwania. Tilly zasnęła w domu pod opieką wynajętej pielęgniarki, przyszła więc wreszcie pora na chwilę wytchnienia.

Wbrew nadziejom Lacy, która chciała zejść nie zauważona na plażę i wmieszać się w tłum, czekający na jej pojawienie się wolontariusze, ludzie, którym nie mniej niż jej zależało na rozbudowie położniczego oddziału szpitala w miasteczku, uciszyli orkiestrę i powitali swoją przywódczynię hucznymi brawami. Zażenowana Lacy schyliła głowę, licząc na to, że aplauz nie będzie trwał długo.

- Przemówienie! Przemówienie!

Lacy nie lubiła przemawiać, wiedziała jednak, że musi się zdobyć na parę słów podziękowania ludziom,

którzy tyle się natrudzili, aby jej projekt mógł dojść do skutku.

- Witam wszystkich - powiedziała z promiennym uśmiechem, pokonując zmęczenie. - Jestem przekonana, że mam dziś przed sobą najlepiej nakarmione grono ludzi w całej Nowej Anglii. - Przez tłum przeszedł potwierdzający szmer zadowolenia. - Jak również o tym, iż nikt z zebranych tu osób nie ośmielił się stanąć rano na wadze.

Odpowiedziały jej wesołe śmiechy. Parę osób z lubością poklepało się po żołądku.

- Ale to nie moja zasługa. Podziękujmy tym, którzy przygotowali nam te wszystkie wspaniałości.

Jednak najserdeczniej chciałabym podziękować hojnym przyjaciołom, którzy tak wspaniałomyślnie wsparli nasze przedsięwzięcie.

Rozległy się wiwaty. Zadowoleni kucharze kłaniali się, rozsyłając uśmiechy.

- Życzę wszystkim dobrej zabawy. Zasłużyliście na to. Zostańcie jak najdłużej. Kto wie, może uda się zrzucić choć parę kalorii.

Lacy dała znak orkiestrze, która na cześć przyszlých małych pacjentów oddziału położniczego zaczęła grać specjalnie opracowaną wersję Kołysanki Brahmsa. Ta ponadczasowa melodia głęboko ją poruszyła. Poczwała łyzy w oczach, ale je powstrzymała. Nie ma prawa osobistymi smutkami zakłócać radosnej chwili.

Wmieszała się w tłum, dziękując każdemu z osobna. Zaczęły się tańce.

Światło księżycy kusiło, by wziąć kogoś w ramiona. Teddy Kilgore sunął niemal stopiony z Gwen w jedno. Silas Jared uroczyście prowadził swoją synową w walcu. Dwie najstarsze siostry Pringle tańczyły razem. Nieco dalej, na samym skraju morza, Jennifer Lansing przytulała policzek do twarzy Adama. Lacy odwróciła się do nich tyłem. Przydałby się kieliszek szampana.

- Lacy? Mam nadzieję, że nie jesteś zajęta! Marzę, żeby z tobą zatańczyć! Travis Rourke był tak uroczy, tak miło uśmiechnięty, że nie potrafiła mu odmówić. I wcale nie chciała. W końcu jest kobietą. Światło księżycy działało na nią równie mocno jak na innych.

Otoczył ją swymi silnymi ramionami, w których poczuła się wygodnie i bezpiecznie. Tańczył jak anioł, z niezrównanym wdziękiem i energią. Uśmiechnęła się na myśl o jego porannym, spontanicznym twiście z Gwen na ulicy.

- Czemu się śmiejesz? - zagadnął. - Zrobiłem coś głupiego?

-Ależ skąd - uspokoiła go. - Myślałam właśnie tym, jak świetnie tańczysz. Widziałam was dziś rano z Gwen na rynku.

-A tak. Uhm! Co za nadwyzajna osoba! Prawdziwy pistolet. - Zreflektował się. - Tobie nie muszę tego mówić. Wspominała, że między nią a tobą ... Jak by się tu wyrazić? Pewnie czasami wołałabyś, żeby nie była aż takim pistoletem, no nie?

Widząc w świetle księżycy jego miłą, rozbudowaną twarz, pomyślała, że chyba nie ma co przed nim udawać. Zresztą, Gwen ze swoim niewyparzoną językiem pewnie i tak przy pierwszym spotkaniu powiedziała mu o ich wzajemnych stosunkach wszystko, co było do powiedzenia.

- No cóż - przyznała. - Rzeczywiście wołałabym, żeby ten pistolet nie był stale naładowany i wymierzony w moją głowę.

-A wiesz, co jest najzabawniejsze? - odparł z przekornym uśmiechem. - Ze ona myśli to samo o tobie.

- O mnie? - zdumiała się Lacy. - Nie chce mi się w to wierzyć.

- Zresztą mogę się mylić. Ale mając sześć starszych sióstr od najwcześniejszych lat miałem sposobność poznawać Z bliska kobietą psychikę: Mogę się nazwać swego rodzaju feminologiem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. - Roześmiał się, trochę zażenowany. - Powiem ci więcej. Gwen do złudzenia przypomina mi jedną z moich sióstr.

-To ciekawe - powiedziała, wyobrażając sobie dom Rourke'ów. Mogła się założyć, że siostry uwielbiały swego czarującego małego braciszka.

-Aha. - Z upodobaniem okręcił Lacy wokół siebie. - Ma na imię Moira. Od małego była inna. Nie chciała być ani lekarzem, ani prawnikiem, ani indiańskim wodzem. Żyłą we własnym świecie, a gdy trochę podrosła, zaczęła farbować włosy na fioletowo, wkładać sobie kółka w brwi, i wyprawiać różne dziwne rzeczy. Zrobiła się okropnie drażliwa. Uważała, że wszyscy ją potępiają.

Przez parę lat trudno było się z nią dogadać.

-A jak jest teraz?

- Prowadzi własną galerię sztuki, ma męża, który jest ważniakiem w Greenpeace, i trzy małe córeczki, które kiedyś dadzą jej, mam nadzieję, tak samo popalić jak ona dawała nam, bo inaczej musiałbym chyba przestać wierzyć w boską sprawiedliwość.

-A farbuje jeszcze włosy na fioletowo?

- Od czasu do czasu - zaśmiał się Travis. - Jest w końcu Moirą. I bardzo dobrze, bo uwielbiamy ją za to, jaka jest. Musiała się po prostu nauczyć kochać samą siebie.

Lacy przez chwilę rozważała w milczeniu jego słowa. Może coś w tym jest? Gwen straciła matkę we wczesnym dzieciństwie, a dorastanie pod opieką Malcolma nie mogło w nikim rozwinąć poczucia własnej wartości. Później zaś w domu zjawiała się macocha zaledwie pięć lat od niej starsza, która na domiar złego nie miała pojęcia, jak postępować z nieszczęśliwą, dorastającą dziewczynką.

- Dziękuję - rzekła. - Chyba rozumiem, co chciałeś mi ...

Poczuła czyjąś rękę na ramieniu i obejrzała się.

Za nią stała Gwen.

- Odbijany! - Pasierbica wyglądała zachwycająco. Miała na sobie jasnozielony sarong, a przewiązane błękitną szarfą pyszne, jasne włosy spływały jej na ramiona niby wodospad. Ale jej oczy były zimne jak lód. - Przepraszam cię, Lacy, nie możesz monopolizować najprzystojniejszych facetów tylko dlatego, że jesteś tu szefową.

Lacy uwolniła się pospiesznie z ramion Trávisa, pamiętając o zbuntowanej Moirze, która nauczyła się jednak cenić samą siebie.

- Masz chyba rację - przyznała, uśmiechając się mile do pasierbicy. - Teraz twoja kolej. - Odchodząc, odwróciła się jeszcze i ..powiedziała: - Aha. Słyszałam, że znalazłeś czas, żeby pomóc. Jennifer piec kurczaki. To bardzo miło z twojej strony. Wielkie dzięki!

Gwen skrzywiła się, jakby pochwała nie poszła jej w smak.

- Nie ma za co - wycedziła, a zwracając się do Trávisa dodała: - No to tańczysz ze mną czy nie?

Adamowi z największym trudem udało się wreszcie uwolnić od Jennifer.

Kobieta od pierwszej chwili przyczepiła się do niego jak rzep. Dopiero kiedy manewrując w tańcu, podprowadził ją w sąsiedztwo Howarda Whiteheada, który uchodził za najbogatszego mieszkańca wyspy i interesował się historią miasta, Jennifer połknęła przynętę i Adam pomiędzy tańcami zdołał ją delikatnie przekazać milionerowi.

Teraz, z kieliszkiem szampana w rękę, wrócił na drewniany chodnik, skąd mógł podziwiać uderzające o brzeg białogrzywe fale i słuchać szeptu wiatru wśród wysokich trzciny.

Widział też Lacy, jak tańczy z Travisem, który najwyraźniej wychodził z siebie, żeby ją zabawić.

Chyba jednak niezbyt mu się to udawało, bo uśmiech Lacy był nadal konwencjonalnie układny, jakby z komputera. Taki uśmiech, jaki miała zawsze na zawołanie.

Ale nawet on sprawiał, że Adamowi krew szybciej krążyła w żyłach. Jednym długim haustem opróżnił kieliszek. Była tak piękna! Chyba piękniejsza niż kiedykolwiek. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Był kiedyś przekonany, że Lacy zostanie jego żoną. Co prawda rozstali się w gniewie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego musi koniecznie wyjechać. On jednak nie wziął sobie tego do serca. Wierzył, że Lacy będzie na niego czekać. Byli sobie przeznaczeni. Na tym budował wszystkie swoje plany i wokół tego snuł marzenia.

W dniu, w którym się dowiedział, że już na niego nie czeka, że wyszła za innego, upił się z wściekłości, i pił tak długo, aż wściekłość ustąpiła miejsca tępemu użalaniu się nad swoim losem.

Travis musiał mieć z nim krzyż pański. W końcu odebrał mu butelkę i oświadczył:

- Co ty mi tu gadasz o jakimś aniele? - oświadczył. - Chyba pomieszało ci się w głowie. Na następny wolny dzień muszę ci znaleźć dziewczynę, bo od tej abstynencji zaczynasz dostawać majaków.

Ale on nie majaczył. Była jak anioł. Płomienna i spłoniona Lacy Mayfair potrafiła rzucić go na kolana jednym nieśmiałym spojrzeniem swoich szaroniebieskich oczu. Dostojna i opanowana Lacy Morgan najwidoczniej też potrafiła tego dokonać.

Tak, nadal ma na jej punkcie bzika. Przyjechał do Pringle Island, żeby sprawę zakończyć i wyrównać rachunki. Był tak pewny siebie, przekonany, że wiarołomna kobieta, która złamała mu serce, raz na zawsze straciła nad nim władzę.

Straciła nad nim władzę? Wolne żarty. Marzenia o białych koronkach; złotych obrączkach i obietnicach typu "nie opuszczę cię aż do śmierci" niewątpliwie umarły. Ale marzenia o namiętnych nocach, dotyku rozgorączkowanych ciał, o seksie aż do upadłego, były równie żywe jak za dawnych czasów.

Przenikały go aż do trzewi.

Był już zdecydowany odbić Lacy Travisowi, kiedy na pomoście usłyszał czyjeś kroki. Obejrzał się.

W kierunku plaży nadchodził ubrany w garnitur mężczyzna w średnim wieku.

- Dobry wieczór panu - uprzejmie odezwał się nieznajomy. - Czy mógłby mi pan pomóc odszukać panią Morgan? Mam do niej ważną sprawę.

Adam zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

Trzydzieści parę lat, krótko ostrzyżony. Niezły garnitur, chociaż znacznie poniżej markowych ciuchów, jakie nosili bawiący się na plaży goście snobistycznej gali. Przyzwoity, ciężko pracujący gość. Ale z lekka nachmurzony. Jakby przynosił złą wiadomość. Nagle Adama olśniło.

- Czy mam przyjemność z panem Frennickiem? - zapytał.

- Tak, to ja - odparł tamten, wyraźnie zaskoczony. - A więc został pan wprowadzony w sprawę?

Bardzo przepraszam, ale sądziłem, że pani Morgan nikogo w nią nie wtajemniczyła. My chyba się nie znamy?

- Nie. Ale zostałem dopuszczony do tajemnicy, właśnie dziś. Przez panią Barnhardt, która jest moją starą znajomą. Nazywam się Adam Kendall.

- Bardzo mi miło. - Frennick uściśnął mu dłoń.

- Niemniej, jeśli pan pozwoli, wolałbym przekazać wiadomość bezpośrednio pani Morgan.

- Oczywiście. Jest tu gdzieś. - Kiedy jednak się obejrzał, Lacy już nie tańczyła z Travisem.

Zastąpiła ją Gwen: - Widziałem ją przed chwilą.

W tym momencie Gwen podniosła wzrok i mrużąc oczy, spojrzała na stojących na pomoście mężczyzn. Jej twarz spochmurniała nagle jak gradowa chmura. Zaczęła coś gorączkowo tłumaczyć Travisowi, po czym, uniósłszy dla wygody kraj długiej szaty, ruszyła pospiesznie w ich kierunku.

- Pan Frennick! No proszę! - wykrzyknęła z płonącymi oczami, wchodząc po stopniach na drewniany pomost. - Pan mnie pewnie nie poznaje, ale ja świetnie pana pamiętam i wiem, kim pan jest i czym się zajmuje. Wtykaniem nosa w nie swoje sprawy. Mój ojciec często pana zatrudniał. A teraz, jak się domyślam, jest pan na usługach mojej przeklętej macochy. Otóż chcę panu oświadczyć, że jeżeli nie przestanie pan mnie śledzić, to będzie pan miał ...

- Uspokój się, Gwen - przerwał jej Adam, widząc, że przybysz ze zdumienia zaniemówił. - Pan Frennick wcale cię nie śledzi. Przyjechał tu, bo ma sprawę do Lacy.

- Domyślam się! - Gwen wpatrywała się w przybysza płonącym wzrokiem, jakby chciała go spojrzeniem zmusić do ucieczki. - Przyjechał, żeby złożyć jej raport. No powiedz, ile brudów udało ci się wykopać? Wy kryleś, że wypisałam w sklepie czek bez pokrycia?

- Ależ panno Morgan - wybąkał kompletnie zdetonowany mężczyzna. - Zapewniam panią, że ja ...

Tymczasem jednak Lacy, czujna gospodyni wieczoru, zdążyła zauważyć, co się dzieje na pomoście i przybyła na ratunek.



- Proszę cię Gwen, nie podnoś głosu - powiedziała stanowczo, podając jednocześnie panu Frennickowi dłoń na powitanie. - Dobry wieczór panu. Przepraszam za zachowanie mojej pasierbicy.

Skąd ci przyszło do głowy, Gwen, że pan Frennick ma coś wspólnego z tobą?

-To, co robię, nie dotyczy pani - potwierdził mężczyzna, odzyskując w obecności Lacy przytomność umysłu. - Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem. Pracowałem dla pani ojca. I tak samo, zgodnie z moimi uprawnieniami, podjąłem się pracy na zamówienie pani macochy. Pracy, która nie ma nic wspólnego z pani osobą.

- Oczywiście musi pan tak mówić - odcięła się Gwen, lecz Adam dostrzegł w jej oczach błysk niepewności.

- Pan Frennick mówi prawdę - potwierdziła Lacy, zwracając się do Gwen. - Ta sprawa w najmniejszym stopniu nie dotyczy ciebie, Gwen. Masz na to moje słowo.

-Twoje słowo! - wykrzyknęła Gwen, dodając pod nosem coś niezrozumiałego.

- No dobrze. Czego w takim razie dotyczy?

Adam był ciekaw, jak Lacy poradzi sobie z tym wyzwaniem. Ale nie musiał się niepokoić. Opanowana i wymowna pani Morgan miała na wszystko odpowiedź.

-To sprawa osobista, moja droga - odparła, ujmując pasierbicę za łokieć. -

Bardzo cię przepraszam, ale tak, jak byłoby rzeczą niewłaściwą, gdybym ja zaczęła się wtrącać w twoje osobiste sprawy, tak i ty nie masz prawa wtrącać się w moje.

W pierwszej chwili Adamowi wydawało się, że Gwen nie zechce ustąpić. Nie żeby podejrzewała Lacy o kłamstwo. Wbrew jej niegrzecznym pomrukom słowo Lacy najwyraźniej miało dla Gwen swoją wagę. Jednakże trudno jej było przyznać się do błędu. Na całe szczęście koło pomostu pojawił się Teddy Kilgore.

- Gwen! - zawołał. - Grają naszą melodię. Chodź zatańczyć!

Gwen nie była głupia. Zrozumiała, że ma okazję wyjść z opresji z twarzą.

Niemniej rzuciła Lacy na odchodnym spojrzenie przepełnione jadem.

Ta jednak zignorowała je, traktując jako głupstwo niewarte uwagi.

- Dziękuję ci - zwróciła się do Adama - ale, jeżeli pozwolisz, chciałabym teraz porozmawiać z panem Frennickiem.

- Zostanę z wami - odparł Adam. - Też chcę usłyszeć, co pan ma do powiedzenia.

Twarz Lacy zdradzała irytację. Najwidoczniej zastanawiała się, jak ma z kolei pozbyć się jego.

-Wszystko w porządku, Lacy - uspokoił ją. - Wiem o dziecku Tilly.

- Jak to? - Mimo opanowania, nie potrafiła całkiem ukryć zaskoczenia. - Skąd wiesz?

-Tilly powiedziała mi dzisiaj wieczorem, kiedy poszedłem zobaczyć, jak się czuje. Bardzo się tym gryzła, może dlatego, że zasłabła. Wszystko mi opowiedziała: o tym, że sześćdziesiąt dwa lata temu zaszła w ciążę i oddała dziecko do adopcji i że wynajęła prywatnego detektywa, a ty namawiałaś ją, aby jak najszybciej rozpocząć poszukiwanie córki. Chciała się mnie poradzić.

-Ach tak! - Lacy popatrzyła na detektywa. Ale to ja ...

-Tilly najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, że poszukiwania zostały już podjęte - ciągnął Adam, okazując zdziwienie. - Coś musiała pomylić. Ale skoro pan Frennick zadał sobie tyle trudu, żeby szukać cię aż tutaj w środku nocy, to musi mieć ważną wiadomość. Chciałbym ją usłyszeć. Lacy zrozumiała, że Adam nie zamierza zostawić ich samych. Nie okazała jednak niezadowolenia.

- Proszę więc, panie Frennick - zwróciła się do detektywa. - Skoro pani Barnhardt zwierzyła się panu Kendallowi, może pan przy nim mówić. Czy udało się panu odnaleźć córkę Tilly?

-W pewnym sensie tak - odparł smutnym tonem. - Nosila nazwisko Caroline Scott. Jeszcze dwa lata temu pracowała w Bostonie jako pielęgniarka.

-A co się stało dwa lata temu? - wtrąciła nagle zaniepokojona Lacy.

- Dwa lata temu zmarła.

Niosąc wieczorowe pantofelki w rękę, Lacy uszła wilgotnym skrajem plaży co najmniej ćwierć mili, zanim Adam zdołał ją dogonić. Pogrążona we własnych smutnych rozmyślaniach szła przed siebie, ślepa na otaczający ją świat i głucha na wszelkie dźwięki, w tym także kroki za jej plecami.

Toteż zdziwiła się, gdy chwycił ją i przytrzymał za ramię, zmuszając do zwolnienia kroku, a potem do zatrzymania się.

-To ja, Lacy. Porozmawiajmy - odezwał się łagodnie.

- Nie chcę rozmawiać - odparła, nie odwracając '6Się. Nie potrafiła zapanować nad swoją twarzą.

Chcę być sama.

- Sześćdziesiąt dwa lata to szmat czasu. Tilly musiała brać taką możliwość pod uwagę. Ty też.

- Oczywiście. - Nie była jednak tego pewna. Los nie powinien być tak okrutny, myślała. Po sześćdziesięciu latach tęsknoty i wyrzutów sumienia Tilly należała się szansa zadośćuczynienia. A teraz ma się dowiedzieć, że nigdy nie zobaczy swojej córki, że niczego jej nie wyjaśni ...

Jakaż jest naiwna! Popatrzyła na morze, dziś jakby jeszcze potężniejsze niż zazwyczaj, bezlitośnie uderzające spiętrzonymi falami o brzeg, równie

obojętne na radości bawiącego się na plaży towarzystwa, jak na dławiący jej serce smutek. Słyszała, że bezmiar morza przynosi ludziom ukojenie, uświadamiając im istnienie czegoś odwiecznego, większego niż ich codzienne sprawy.

Ale dziś sprawiał jedynie, że czuła się słaba i bezradna.

-Tilly jest twarda - próbował pocieszyć ją Adam: - Upora się z tym.

-Wiem - szepnęła przez ściśnięte gardło. - Wiem.

To prawda. Sama wiedziała, co to znaczy być twardą. Umieć znosić rzeczy, których niepodobna zmienić. Tego właśnie chciała Tilly oszczędzić. Chciała, żeby jej historia skończyła się jak w bajce - radością, pojednaniem i wybaczeniem. Chciała jej dać szansę obsypania córki pocałunkami i pieszczotami, które nosiła w sobie przez tyle lat. Od dnia, kiedy wydała na świat dziecko, które natychmiast jej odebrano.

Lacy wiedziała, jak to jest, kiedy zamknięta na dnie serca, nie znajdując ujścia miłość pęcznieje i rozsadza duszę, doprowadzając do szaleństwa.

- Nie mogę jej tego powiedzieć. - Zaczęła nagle mówić szybko, jakby się bała, że głos odmówi jej posłuszeństwa. - Dlatego rozpocząłam śledztwo w tajemnicy. Na wypadek, gdyby wyszło na jaw coś złego. Gdyby się okazało, że córka żyje, ale nie chce jej widzieć ... albo jeszcze gorzej. Gdyby nie ... Słowa płątały się. Lacy opasała się mocno rękami, jakby bała się, że coś ją rozsadzi.

- Lacy! - Adam chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą ku sobie. Ujrawszy w świetle księżycy jej twarz, jęknął cicho. - Nie płacz.

- Ja nie płaczę - zaprzeczyła gniewnie, nie zważając na dwie smugi łez, które w powiewach wiatru dziwnie chłodziły jej policzki. - Wcale nie płaczę. Na próżno ocierał palcami jej wilgotne oczy i policzki. Nowe łzy wciąż płynęły.

- Nie rozumiem, co się ze mną dzieje - powiedziała martwym głosem. - Ja nigdy nie płaczę ...

-Wiem - zapewnił ją cicho, delikatnym ruchem raz po raz osuszając jej twarz.

- Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze ...

Naprawdę? Czy jeszcze kiedykolwiek będzie dobrze? Nie wierzyła w to, a jednak dźwięk głosu Adama dziwnie koił jej duszę. Mimo woli pochylała głowę, przytulając twarz do jego czułych rąk, które niosły nieokreśloną ulgę. Bardzo powoli, wiedziony czułym instynktem, dotknął ustami jej czoła, potem skroni, przesunął wargi po przymkniętych powiekach, dotknął drżącego kącika jej ust.

A potem, jakby ten sam instynkt doprowadził go do nieuchronnego celu, pocałował ją. Poczowała ciepło jego ciała i napierające, gorące wargi, szukające, domagające się jakiejś prawdy, którą tylko jej usta mogły ujawnić. .

Czuła na ustach słony smak łez, morskiej bryzy.

I smak ust Adama.

Adam. Szepcząc imię Adama, przeczesala palcami jego włosy, powiodła nimi w dół po policzkach, wyczuwając gorączkowe pulsowanie żył na skroniach, i na koniec opuściła mu ręce na ramiona.

Ogarnęła ją nagle słabość i mocniej oparła ręce na jego ramionach.

- Lacy - wyszeptał, odrywając się od jej wilgotnych ust, które drżały przez chwilę spragnione, aż wreszcie sama przycisnęła je do jego warg.

Poczuła przeszywający oboje dreszcz. Zatopili się w pocałunku. Wszystko w niej zadrgało, wyzwalając ukryte gdzieś w głębi wspomnienie dawnych doznań,

Och, jak dobrze to pamiętała! A to tylko początek.

Potem przychodzi więcej; obezwładniające, szaleńcze pożądanie, i rozkosz.

A potem ból. Ból i cierpienie.

Nie tylko zwykły ból wstydu, rozczarowania, upokorzenia. Nie, po całkowitym oddaniu przychodzi wyrafinowane, wewnętrzne cierpienia serca wydanego na tortury. Przychodzi odrzucenie, i stajesz się na powrót bezradnym, zgubionym dzieckiem. Przychodzi zmieniająca serce w lód samotność przerażająca pustka.

Nie. Lekko się odsunęła. Nigdy więcej. Nie, żeby się bała. Po prostu nie mogła. Nie miała sił.

Wyzwoliła się stopniowo z ramion Adama, nie zważając na prymitywne wołanie własnego ciała.

- Dlaczego? - usłyszała jego schrypnięty głos. Co się stało?

- Muszę wracać - odparła, robiąc kolejny krok do tyłu, aż jej stopy ugrzęzły w wilgotnym piasku, a fala obmyła kraj jej sukni. Mimo to przybrała godną pozę, kryjąc się za nią jak za obronną tarczą.

-Wiem, że starałeś się mnie pocieszyć, i jestem ci za to wdzięczna - powiedziała uprzejmie, wypowiadając układne słowa ustami jeszcze nabrzmiałymi od pocałunku. - Ale doszłam już do siebie. A teraz muszę wracać do gości. Pewnie zastanawiają się, co się ze mną stało.

Wiatr, jakby na ten sygnał, przyniósł odległe, odrealnione echo muzyki, a potem czyjś rozbawiony okrzyk i wesołe śmiechy.

Adam zdawał się nic nie słyszeć.

-To nie było pocieszenie, Lacy. To był seks. A w każdym razie wstęp do seksu. Dobrze wiesz, co się między nami stało.

Lacy pozwoliła sobie na lekki śmieszek, tak delikatny, że jego dźwięk prawie utonął w szumie napływającej fali.

- Och, nie sądzę, żebyśmy się dalej posunęli odrzekła i wskazując błyskające w oddali lampiony, dodała: - Nie jest to właściwe miejsce ani pora na ...

frywolne igraszki. Byłam niemądra. Muszę cię przeprosić. Nie powinnam była cię całować. Nie wiem, o czym myślałam, robiąc coś takiego.

-W ogóle nie myślałaś! - Był zły, poznała to po głosie. Po tylu latach nieomylnie odczytywała wszystkie niuanse jego nastrojów. - Czulaś. Pamiętasz, Lacy, co to jest? Powinnaś sobie częściej przypominać.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lacy usiłowała skupić uwagę na tekście broszury reklamującej nowy oddział szpitala. Jeżeli broszura nie będzie dziś gotowa, spóźnią się z wysyłką, co byłoby niedobre, ponieważ do zebrania wyznaczonej sumy brakowało jeszcze około pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

W tej chwili przygotowanie broszury powinno być dla niej ważniejsze niż wiadomość, jaką przywiózł pan Frennick. A już na pewno ważniejsze niż Adam Kendall i sprzeczne uczucia, jakie nią targwały w związku z tym głupim pocałunkiem. Musi o tym wszystkim na razie zapomnieć.

- Myślę, że tutaj powinno być więcej pustego miejsca - zwróciła się do Kary Karlin, która omawiała broszurę ze specem od reklamy.

-Tak uważasz? - zmartwiła się Kara. - Ojej! Będzie kłopot.

Lacy obejrzała ze wszystkich stron składaną na trzy części ulotkę. Fotografie uszczęśliwionych matek i tryskających zdrowiem maluchów były świetne. Trafiały w sedno i wzruszały. Tylko ta czcionka ... - Chyba nie taki wielki. Jak myślisz, czy tę część tekstu dałoby się zapisać w formie listy wypunktowanej, zamiast akapitów? Byłby bardziej czytelny.

Kara zajrzała do swego egzemplarza.

- Z całą pewnością - odparła. - Mam jeszcze jedno pytanie. Czy twoim zdaniem broszura powinna zawierać formularz, który osoba pragnąca przekazać pieniądze mogłaby wyciąć i odesłać na nasz adres?

-To nie zawsze zdaje egzamin. Zbyt wiele formularzy idzie do kosza. - Lacy wiedziała jednak, co skłoniło Karę do wysunięcia propozycji, i tonem usprawiedliwienia dodała: - Wiem, ile cię to kosztuje, ale nic nie zastąpi osobistej rozmowy.

-Wiem - westchnęła Kara. - Ale nie cierpię tego. Jestem taka nieprzekonująca.

-Ale robisz postępy. A propos, czy pan Seville już się zadeklarował?

Kara spieszyła się. Przez chwilę niepewnie składała i rozkładała broszurę.

- Jeszcze nie. Trochę mnie to niepokoi. Był z żoną na sobotniej imprezie, a na plaży słyszałam, jak pani Seville wyraża się nieprzyjemnie o Gwen. - Tu Kara rzuciła Lacy przepaszające spojrzenie. -Znasz Seville'ów, wiesz, jacy są sztywni i nadeści, a Gwen, no cóż ... tańczyła tak jak to ona. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś sama zadzwoniła i trochę ich udobruchała.

- Uważasz, że lepiej się poczują po rozmowie z osobą równie sztywną i nadętą jak oni?

-Ależ skąd! Chciałam tylko powiedzieć, że masz tyle godności, jesteś taka zrównoważona i rzeczowa ...

- I sztywna - przekornie dokończyła Lacy. - Nie przejmuj się, Kara. Wiem, co chciałaś powiedzieć.

Zadzwoń do nich. A ty spróbuj tymczasem doprowadzić broszurę do porządku. Chciałabym zakończyć wysyłkę w piątek.

Kara, wychodząc energicznie z pokoju, zderzyła się w drzwiach z Tilly, która wpadła jak burza.

- Uważaj, na litość boską, jak chodzisz! - odpowiedziała zirytowana starsza pani na przeprosiny Kary, poprawiając przekrzywioną perukę.

-Tilly, co ty tu robisz? - oburzyła się Lacy. Przecież przyrzekałeś nie ruszać się z łóżka.

Tilly, swoim zwyczajem, lekceważąco machnęła ręką.

- Nie pora teraz na wylegiwanie się w łóżku.

Zresztą czuję się świetnie. A stało się nieszczęście.

Kara stanęła zaciekawiona, całym swoim emocjonalnym jestestwem spragniona wieści o każdej katastrofie.

Tilly jednak, która wolała rozmawiać bez świadków, zmierzyła ją tak surowym wzrokiem, że biedna Kara wycofała się pospiesznie z pokoju, mamrocząc kolejne przeprosiny. Lacy spokojnie odłożyła broszurę do teczki spraw "na jutro". - Słucham cię - rzekła do Tilly, zwracając się ku niej na obrotowym fotelu. - Od dziesięciu minut nie zdarzyło się żadne nieszczęście. Zaczynało robić się nudno.

- Myślisz, że przesadzam - odparła Tilly, dramatycznym gestem opadając na kanapę. - Odejdzie ci ochota do kpinek, kiedy usłyszysz, z czym przychodzę.

- Proszę, strzelaj! Powiedz mi, co się stało, a potem odwiozę cię do domu.

- Jak pamiętasz, Howard Whitehead przyrzekł nam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Lacy skinęła głową. Howard Whitehead był nieprzyzwoicie bogatym flirciarzem, mającym nieodpartą słabość do młodych kobiet. Tilly powiedziała kiedyś z przekąsem, iż zgodził się wspomóc budowę poporodowego oddziału szpitala po to, żeby móc z niego w przyszłości regularnie korzystać.

Co było niesprawiedliwe, bo Howard Whitehead autentycznie kochał swoje rodzinne miasto i dlatego zgodził się być jednym z głównych sponsorów rozbudowy szpitala.

Ale gdyby miał cofnąć obietnicę? Lacy pierwszy raz od czasu rozpoczęcia kampanii zbierania pieniędzy poczuła się niepewnie.

- Nie mów mi ... - zaczęła, przymykając oczy i odchylając się z fotelem do tyłu. - Nie mów mi, żeśmy go straciły.

- Nie, dziecko, nie myśmy go straciły - zawołała Tilly, wymachując groźnie palcem. - To ty go straciłaś! - Ja? - Lacy ze zdumienia szperko otworzyła oczy. - Jakim cudem? Od tygodnia nawet go nie widziałam. .

- Otóż właśnie. - Tilly zrzuciła pantofle, przysunęła sobie krzesło i oparła na nim stopy. Burczała przy tym pod nosem z takim oburzeniem, iż Lacy zaczęła podejrzewać, że Tilly w istocie świetnie się bawi. - Stary rozpustnik poczuł się dotknięty, bo podczas sobotniej imprezy kompletnie go zignorowałaś.

Podobno nie przysłaś nawet powiedzieć mu dzień dobry, a w połowie tańców po prostu znikłaś.

-A to ci dopiero - jęknęła Lacy.

- I co ty na to? Przyznajesz się?

- Do czego? Do tego, że zapomniałam się przywitać z Howardem Whiteheadem?

- Nie wykręcaj się, spryciaro! Czy to prawda, że uciekłaś z przyjęcia?

- Uhm - mruknęła Lacy, udając, że próbuje sobie przypomnieć. - Tak. Chyba tak. Poczulałam się zmęczona. Chciałam być przez chwilę sama.

Tilly przyjrzała się jej uważnie. - Sama z Adamem Kendallem? A więc do tego zmierzała.

- No wiesz, Tilly! - Lacy uderzyła niecierpliwie ręką o stół. - Skoro wiesz, że byłam z Adamem, to dlaczego nie powiesz wprost?

- Chciałam się przekonać, czy mi o tym opowiesz.

- Niczego ci nie opowiem - odburknęła Lacy.

Wybrała w swoim notatniku literę "W", odszukała numer i zaczęła go wybierać. - Więc daj spokój z tym śledztwem.

- Do kogo dzwonisz?

Lacy umyślnie stanęła bokiem do Tilly, na wprost wiszącego na ścianie dużego plakatu w kwiaty, żeby nie widzieć inkwizytorskiego spojrzenia przyjaciółki. Telefon zaczął dzwonić. Jeden sygnał, drugi.

-Tu Lacy Morgan do pana Howarda Whiteheada. Chciałabym zaprosić pana na kolację i porozmawiać o darowiźnie na szpital.

- Dobra robota - pochwaliła ją Tilly. - Byle nie w piątek. Piątkowy wieczór masz zajęty.

- Czyżby? - wycedziła Lacy przez zęby, przytrzymując podbródkiem słuchawkę i spoglądając bokiem na Tilly.

Tilly opuściła wzrok i zaczęła układać wokół siebie spódnicę Z taką uwagą, jakby to była sprawa życia i śmierci.

-Tak. Zaprosiłam Adama na kolację. D mnie w domu. O siódmej.

Powiedziałam mu, że ty też będziesz.

- Jak mogłaś coś ... - W tym samym momencie Howard Whitehead odebrał wreszcie telefon, więc nie przestając mierzyć przyjaciółki piorunującym spojrzeniem, zaczęła mówić do słuchawki, iż jest niepokieszona, że podczas przyjęcia nie miała okazji z nim porozmawiać, ale marzy o tym, by zaprosić go na kolację i opowiedzieć, jak przebiega zbiórka pieniędzy na szpital, i czy miałyby czas spotkać się z nią w tym celu któregoś z najbliższych dni.

- Byle nie w piątek - przypomniała Tilly.

- Naprawdę? To cudownie! - odparła Lacy, patrząc uparcie na Tilly.

- Byle nie w piątek - milcząco poruszając ustami, ponownie upomniała ją Tilly.

-Ależ tak. Znakomicie - powtórzyła najsłodszy głosem. - Piątek będzie idealny.

Za oknami szalał dobrze znany mieszkańcom Pringle Island letni monsun. O czwartej po południu niebo pociemniało, jakby to była północ, a szyby spływały buriem deszczem.

W hotelowym apartamencie Adam usiłował umieścić golfową piłkę w przewróconym na bok koszu na śmieci. Travis siedział przy biurku przed otwartym komputerem, zajęty na zmianę to sprawdzaniem aktualnego stanu ich wspólnych aktywów, to studiowaniem listy wystawionych na sprzedaż nieruchomości.

Normalnie dochodziliby o tej porze do piętnastego dołka. Adam chybił z bliskiej odległości, co w chwilach rozdrażnienia często mu się zdarzało. Dusił się w zamkniętym pomieszczeniu.

- Co się, cholera, na tym świecie dzieje! - Adam strzelił jeszcze raz, i znowu chybił. Szlag by to trafił! Dobił piłkę kijem, aż kosz się zakotłosał. - We wczorajszych wiadomościach facet od pogody zapewniał, że o deszczu nie ma mowy.

Travis, nie podnosząc wzroku znak komputera, postukał w klawiaturę.

-A no - mruknął pod nosem. - Takie i są te ich prognozy.

-To nie w porządku. - Adam wyprostował się i popatrzył w okno. - Co za pogoda!

- Co powiesz na to? - Travis przerzucił papiery.

-Willa z 1853 roku, świeżo odrestaurowana, z czterema sypialniami; osiem tysięcy metrów terenu nad cieśniną. - Pochylił się nad ogłoszeniem. - Kontr. Drz. Kons. Co to za diabeł?

- W języku fachowym oznacza to "o wiele za drogo" - rzucił Adam, nadal wyglądając przez okno. -Nie. Cieśnina odpada. Wolałbym otwarte morze. Zresztą, co bym robił z czterema sypialniami?

-To samo co z jedną, tylko cztery razy częściej - zaśmiał się Travis.



- Stanowczo mnie przeceniasz, stary. Jak zwykle. - Adam machnął w powietrzu kijem, celując w stojącą pod oknem wyjątkowo brzydką donicę.

- Fakt - przytaknął Travis, zaglądając z kolei do komputera. - O cholera! Właśnie straciliśmy dziesięć kawałków. A mówiłem, żeby sprzedać akcje tej firmy farmaceutycznej.

Nie doczekawszy się reakcji ze strony przyjaciela, rozparł się w krzesło, kładąc nogi na stole.

- No dobrze. O co chodzi? Gadaj, co cię gryzie. Przedstawiłem ci chyba ze dwadzieścia najatrakcyjniejszych posiadłości do kupienia, a ty na wszystko mówisz nie. Chodzi o ten piątek?

Adam zbliżył się do okna, wymachując od niechcienia kijem. Nie ma na czym oprzeć oczu. Świat rozplątywał się w deszczu jak obraz oglądany w zniekształcającym lustrze w wesołym miasteczku.

Trzeba coś Travisowi odpowiedzieć. Tylko co?

Przecież on sam nie wie, czego chce. Trzęsie go cholera, to fakt. Gdyby choć sam wiedział, dlaczego jest taki wściekły. .

Chodzi o ten piątek? Czyżby rzeczywiście chodziło tylko o to? Czy naprawdę ciska się po hotelowym

pokoju jak zamknięte w klatce zwierzę, wściekając się i marudząc, ponieważ Tilly zadzwoniła, że Lacy nie może przyjść na kolację?

To niemożliwe. Nie zgłupiał do tego stopnia.

- Nie - oznajmił, trącając okienne kotary kijem takim gestem, jakby się przymierzał do strzyżenia żywopłotu nożycami. Piętnaście lat temu często strzygł tutejsze żywopłoty. I trawniki. Pewnie strzygł trawniki co najmniej w połowie posiadłości, które Travis przed chwilą usiłował mu wcisnąć.

-Wcale nie chodzi "o ten piątek", jak raczyłeś to określić. Mam w nosie, dokąd pani Morgan wybiera się na kolację.

- Doprawdy? - Travis ze złośliwym uśmiechem przekrzywił na bok głowę. - Więc o co chodzi?

Sytuacja na Bliskim Wschodzie spędza ci sen z powiek?

Adam zaklął pod nosem. Jak tu zachować twarz, mając do czynienia z facetem, który zna człowieka na wylot? Travis wyglądał tak jak zwykle - nastroszone jasne włosy opadające na kołnierz nie odprasowanej, krzykliwie kolorowej koszuli, figlarne błyski w oczach, które wiedziały swoje. O wiele za dużo. Uff! Czy ma do końca życia cierpieć z powodu swoich nieopatrznych pijackich wyznań?

Ostatni raz zamachnął się kijem. Niestety, nie wymierzył dokładnie ciosu i zamiast w powietrze, trafił w paskudną donicę, która z trzaskiem rozpadła się na kilkanaście kawałków.

- No, pięknie! - wycedził ze złością. - Wprost cudownie!

- Nie przejmuj się. Mnie też się nie podobała - pocieszył go Travis.

Adam w rozmachem wepchnął kit do worka, od-o szedł od okna, omijając skorupy, i przysiadł na oparciu kanapy. .

- Masz rację - przyznał takim tonem, jakby śledztwo Trávisa w sprawie kolacji wyczerpało go do cna. - Rzeczywiście' trochę mnie to zirykowało. - Co ty mówisz? Naprawdę?

- Najgorsze, że wszystko jest u niej takie przemyślane. Howard Whitehead ma co najmniej sześćdziesiątkę na karku. Stary lubieżnik. Ale ponieważ ma więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny w tej przeklętej mieścinie, więc ... - Urwał, zdając sobie sprawę, że zanadto się obnażył. Travis zajrzał, jak gdyby nigdy nic, do komputera.

- Hej! - zawołał. - Zarobiliśmy dwadzieścia kawałków. Mówiłem, żeby nie sprzedawać akcji tej cholерnej firmy farmaceutycznej.

- Nie truj o jakiejś firmie farmaceutycznej - zezłościł się Adam. - Sam zacząłeś, więc bądź tak dobry i spróbuj przez trzydzieści sekund trzymać się tematu.

-Ależ proszę bardzo, mogę trzymać się tematu - potulnie odparł Travis, najwyraźniej pękając w duchu ze śmiechu. - Ale czy naprawdę uważasz, że Whitehead ma więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny w mieście? Ty i ja też nie mamy się czego powstydić. Mieścimy się mniej więcej w tym samym przedziale. Nie musisz żałować swojego portfela, jeśli rozumiesz, do czego zmierzam.

- Niezupełnie. - Adam przyjrzał mu się niepewnie. - Sugerujesz, żebym kupił sobie randkę z Lacy?

Travis z westchnieniem wzruszył ramionami, dając przyjacielowi do zrozumienia, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Zaczynasz działać mi na nerwy. Sugeruję, żebyś spróbował raz na zawsze dojść ze swoją damą do

ładu, zanim trzeba cię będzie zabrać do czubków, a nas wszystkich razem z tobą. - Wskazując

rozbitą donicę, dodał: - Na dłuższą metę tak wyjdzie taniej.

W godzinę później Adam wszedł do gabinetu Lacy w ociekającym wodą płaszczu i rzucił na biurko czek opiewający na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Lacy wstała na jego widok, uznała jednak, iż będzie bezpieczniej nie wychodzić z za biurka. W eleganckim popielatym kostiumie, z włosami spiętymi w ciasny węzeł i małymi brylancikami w uszach wyglądała pięknie i wyniośle. Starannie ukrywając zaskoczenie, rzuciła okiem na czek, po czym podniosła na Adama pytający wzrok.

- Podwajam stawkę - oświadczył prosto z mostu. - Daję dwa razy więcej niż Whitehead.

Nie dotknęła czeku. Patrzyła mu prosto w twarz.

Jej oczy pociemniały, a twarz pobladła.

- Coś mi mówi - zaczęła chłodnym, uprzejmym tonem - że w zamian za tak hojny dar będziesz oczekiwał czegoś więcej niż zwykłego w takich razach dziękczynnego listu.

-Tak jest. Nie mylisz się.

- List będzie pięknie wykaligrafowany na czerpanym papierze. Można go oprawić w ramki i powiesić na ścianie.

- Mam ich już pod dostatkiem. - Odgarnąwszy z czoła mokre włosy, mierzył ją nieustępliwym spojrzeniem.

- Możemy też zaproponować stałą przepustkę dla specjalnych gości. Albo dożywotnie zaproszenie na lunch do szpitalnej restauracji raz na tydzień.

Pokręcił głową.

-To za mało.

Nadal nie brała czeku do ręki. Stała wyprostowana jak posąg. Jej palce spoczywały lekko na krawędzi stołu, ale napięte ramiona pozwalały odgadnąć, ile ją kosztuje ten pozorny spokój.

Patrzyła na niego z uprzejmym uśmiechem, jak na cennego, chociaż trudnego i wymagającego dobroczyńcę.

Którym w istocie był.

-W takim razie sam musisz mi powiedzieć - odezwała się lekko drżącym głosem - czego oczekujesz w zamian za tak wspaniałomyślną darowiznę.

- Zaproszenia na kolację - oświadczył. - W piątek. Z tobą.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

O siódmej wieczorem w piątek było jeszcze jasno. Wzdłuż głównej ulicy kwitnęły w okiennych

skrzynkach kwiaty płały się w słońcu, a kamienie brukowanej jezdni pobłyskiwały w jego niskich promieniach.

Tilly w ostatniej chwili odwołała kolację, tłumacząc się złym stanem zdrowia, obstawała jednak, by Lacy i Adam poszli do restauracji. Sama zamówiła im stolik w "Tawernie za Horyzontem", położonej na końcu Main Street eleganckiej restauracji, której okna wychodziły na przystań jachtową. Lacy milcząco spiorunowała Tilly wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

Przyjechali trochę za wcześnie, więc szli wolno, bez pośpiechu. Niewiele do siebie mówili, choć od czasu do czasu musieli odpowiadać na ukłony znajomych. Do wszystkich zdążyła już dotrzeć wiadomość, że Lacy Morgan spoliczkowała przystojnego przybysza. Z oczu każdej osoby, z którą wymieniali po drodze banalne grzeczności, wycierała niezdrówą ciekawość. Było to okropnie krępujące, niemniej oboje milczeli, czekając, kto pierwszy się załamię.

Jakie to dziwne, myślała Lacy. Oglądanie wystaw na głównej ulicy stanowiło kiedyś ich ulubioną rozrywkę. Chodzili od sklepu do sklepu, trzymając się za ręce i wybierali jedno dla drugiego kosztowne "prezenty". "Chcesz ten naszyjnik?", pytał Adam, stając za plecami Lacy i obejmując ją w pasie lewą ręką, podczas gdy palce drugiej kreśliły na jej szyi półokrągły zarys naszyjnika.

"Mogłabyś go nosić zamiast nocnej koszuli".

Dziś mijali bez słowa pyszniące się na wystawach brylantowe brosze i suknie z aksamitu, kosztowne kije golfowe i wysadzone szafirami spinki do mankietów, miniaturki jachtów i kryształowe wazon. Ciekawe, czy Adam też już wie, że są to tylko bezwartościowe śmieci?

Znaleźli się wreszcie przed odsuniętą nieco od ulicy restauracją, do której prowadziła kręta alejka, gęsto wysadzana stokrotkami, malwami i peoniami o intensywnie różowej barwie.

Bywała tutaj setki razy. Wiedziała, że zupa z małży jest przepyszna, a paszтет rybny zaledwie znośny. Ze kierownik sali ma na imię Marvin i cierpi na artretyczne bóle w prawym kolanie. I że damska toaleta wymaga odmalowania.

Nagle poczuła, iż chyba nie zdoła dziś wejść do dobrze znanego wnętrza. Z nieoczekiwaną siłą wróciło wspomnienie niemal nabożnego podziwu, w jaki dziesięć lat temu wprawiał ich oboje tajemniczy wykwint ukrytej dyskretnie przed oczami zwykłych śmiertelników restauracji.

Symbolizującej wszystko, czym Adam pragnął ją obdarzyć, i czego nie mógł jej dać.

Zawsze obiecywał, że pewnego dnia będzie mógł ją tutaj zaprosić. Popatrzyła ukosem na przystojny profil Adama. Czy jeszcze pamięta?

- Pan Kendall! Co za przyjemność!

Widać po przyjeździe zdążył już odwiedzić restaurację. Marvin krzątał się wokół niego z atencją, jaką normalnie rezerwował wyłącznie dla członków rodziny Pringle lub przyjezdnych dygnitarzy.

- I pani Morgan! Serdecznie witamy! Zaprowadził ich do stolika na tarasie, skąd rozciągał się widok na przystań, w której kilkanaście jachtów kołysało się sennie w promieniach zachodzącego słońca. Lacy zerknęła bokiem na Adama. Przyjmowano ich isticie po królewsku.

Kiedy już się usadowili i zamówili drinki, Adam zwrócił się do niej i uprzejmym tonem zagadnął:

- Jesteśmy na miejscu. Czy za konwersację należy się coś ekstra?

-Ależ skąd znowu - odparła równie uprzejmym tonem. - O czym chciałbyś rozmawiać?

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego się zgodziłaś?

Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że podrzesz czek na kawałki i rzucisz mi je w twarz powiedział, patrząc na nią z zaciekawieniem.

- Naprawdę tak myślałeś? - Podniosła kieliszek wina do ust. - Po co? Co bym w ten sposób osiągnęła?

I tak mnie obraziłeś. Gdybym odmówiła przyjęcia czeku, oznaczałoby to, że w dodatku obraziłeś mnie za darmo.

Adam zmarszczył brwi.

- Dlaczego interpretujesz to jako obrazę, a nie, na przykład, komplement? Ostatecznie rzadko mi się zdarza płacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za przyjemność spędzenia wieczoru w czymś towarzystwie.

-Ale ja za moje towarzystwo nie biorę pieniędzy, o czym dobrze wiesz. Sugerowanie, że jest inaczej, można chyba uznać za nieco uwłaczające, nie sądzisz?

Z uznaniem pokiwał głową.

- Bystra jesteś, nie ma co! Pewnie dzięki temu, że nie dopuszczasz, aby emocje niepotrzebnie mąciły ci umysł. Nie mam racji?

-Tak. - Lacy odstawiła kieliszek. - Co mi zresztą wypominasz nie pierwszy raz. Myślę, że omówiliśmy już tę sprawę wystarczająco dokładnie. Nie sądzisz? Więc może zaproponujesz dla odmiany inny temat.

- Bardzo proszę. - Zapraszającym gestem rozłożył ręce. - Teraz twoja kolej.

- Może w takim razie porozmawiamy o szpitalu? Ponieważ dzięki twojej dotacji przekroczyliśmy planowany fundusz rozbudowy, zarząd szpitala zastanawia się, czy dodatkowe pieniądze przeznaczyć na kupno nowocześniejszych armatur łazienkowych, czy też na zainstalowanie większej liczby telewizorów w poczekalniach.

- Ja bym głosował za nowszą armaturą - powiedział z udaną powagą. - To chyba ważniejsze. Wyposażenie medyczne jest już, jak rozumiem, w pełni sfinansowane?

- Oczywiście. To sprawa pierwszej wagi. Twoja dotacja jest miłym dodatkiem, bardzo cennym, choć nie niezbędnym.

- Czuję się zdegradowany.

Widziała jednak, że nie tylko nie czuje się dotknięty, ale wręcz doskonale się bawi. I bardzo dobrze, pomyślała, w końcu coś mu się należy za tak hojny dar. Niemniej miała kłopot ze znalezieniem kolejnego bezpiecznego tematu.

Wobec jego pojednawczego tonu trudno było nadal okazywać urazę. W dodatku sytuacja zaczynała, o zgrozo, sprawiać jej przyjemność. Toteż poczuła ulgę, kiedy do stolika podszedł Marvin, przynosząc butelkę wina.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - zwrócił się Marvin do Lacy, napełniając jej kieliszek - ale panna Morgan, która jest u nas ze znajomym i

właśnie kończą kolację, powiedziała mi, że pani ureguluje ich rachunek. - Marvin mówił przepraszającym, zbolałym tonem. - Chciałem się tylko upewnić, czy nie ma pani nic przeciwko temu. Lacy, nie okazując zaskoczenia, zlustrowała wzrokiem główną salę restauracji. Przy jednym ze środkowych stolików rzeczywiście siedziała Owen w towarzystwie Teddy'ego. Owen, ubrana w niebieskie obciste spodnie i długą, różową górę z naszywanego łożkami szyfonu, wesoło pomachała macosze ręką. Zawstydzony Teddy siedział z nosem wbitym w talerz.

- Oczywiście, że nie - odparła Lacy, powściągliwie odpowiadając na pozdrowienie. - Proszę to dopisać do naszego rachunku.

Adam, po odejściu Marvina, jeszcze raz uważnie na nią popatrzył.

-Widzę, że bycie matką to nieprosta sprawa ... - powiedział.

Poczuła, że blednie. Krew odpłynęła jej z twarzy. Przestała nad sobą panować.

- O czym mówisz?

- O matkowaniu - powtórzył, spoglądając w kierunku stolika, przy którym Gwen siedziała z Teddym. - Co prawda tylko pasierbicy, ale jednak. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć, zwłaszcza gdy panienka jest, jak by tu powiedzieć, dosyć rozbrykana.

Lacy, uspokojona, popatrzyła na Gwen tak, jakby patrzyła na nią oczami Adama. I zobaczyła śliczną, pełną życia, samowolną i upartą istotę. Choć jednocześnie bezbronną i bezradną jak dziecko. Adam ma rację, pomyślała. Jest rozbrykana i nie dba o swoje bezpieczeństwo, ale przynajmniej żyje. Cieszy się życiem.

-Wiele się nad nią zastanawiałam - przyznała. - I dochodzę do wniosku, że nie najlepiej wywiązałam się ze swojej roli.

-Tak sądzisz?

-Tak. Gwen nie chciała mnie zaakceptować jako matki. Miała trzynaście lat. Wchodziła w najtrudniejszy okres dojrzewania. Sama myśl o macosze zaledwie pięć lat starszej od niej była dla niej upokarzająca. Kompletnie się przede mną zamknęła.

Zamilkła, ponieważ kelner zaczął podawać jedzenie. Czekał, aż skończy, poczuła się trochę zawstydzona swoim zwierzeniem. Dlaczego obecność Adama skłania ją do tak nietypowych zachowań?

Miała nadzieję, że rozmowa zmieni tor, nim ona powie naprawdę za dużo. Nic z tego. Adam, posmakowawszy fileta mignon, który był specjalnością restauracji, wrócił do poprzedniego tematu.

- Pewnie robiła, co mogła, żeby ci dokuczyć. Co zresztą u trzynastolatki można zrozumieć. A potem nie udało się tego zmienić? - Sprawiał wrażenie, jakby naprawdę chciał się o niej czegoś dowiedzieć, a nie tylko ją osądzić.

- Nie. W pewnym sensie było coraz gorzej. Malcolm wysłał Gwen do szkoły z internatem, bo chciał mieć spokój w domu. - Lacy bez przekonania grzebała w talerzu. Nie miała apetytu. - Gwen nigdy mi tego nie wybaczyła. Uważała, że to ja wykluczyłam ją z rodziny.

Upiła łyk wina i popatrzyła w zadumie na morze, które w promieniach zachodzącego słońca przybrało kolor truskawkowych lodów. Na tle różowego nieba maszty jachtów wyglądały jak narysowane czarną kredką wykrzykniki.

- Dziś wiem, chociaż wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy, jak bardzo ją zawiodłam. Powinnam była przeciwstawić się Malcolmowi. Przekonać go, że musimy zostać razem i wspólnie rozwiązać nasze problemy.

-Ty miałabyś się przeciwstawić Malcolmowi? Miałaś osiemnaście lat. Znałem dorosłych mężczyzn, którzy drżeli, kiedy Malcolm wpadał w złość. Adam z namysłem przełknął kęs jedzenia.

- Oczywiście był zawsze zwariowany na twoim punkcie. Może potrafiłabyś ... Rozmowa przybierała niebezpieczny obrót. Malcolm od samego początku, jeszcze w czasach, gdy jako pomocnica sprzedawczyni pracowała w jednym z jego licznych sklepów, okazywał żywe zainteresowanie jej losem, czym budził złość zazdrosnego o swe wyłączne prawo do niej, kilkunastoletniego Adama. "Ten stary dziwkarz lepi się do ciebie jak mucha do miodu", powiedział kiedyś, zaborczym ruchem przygarniając ją do siebie. "Niech lepiej trzyma się z dala od mojej dziewczyny".

- Może bym potrafiła - przyznała. - Ale nie miałam odwagi. Byłam ... - Rozmowa przybierała coraz bardziej ryzykowny obrót. Musi uważnie dobierać słowa. - Byłam zanadto zajęta sobą. Nie uświadamiałam sobie, jak ciężko Gwen musi to wszystko przeżywać. Jednakże, żeby być sprawiedliwą, jak miała to sobie uświadomić? Skoro sama była oniemiała z bólu po nieszczęściach, jakie ją spotkały? Żyła z chwili na chwilę, jak bezrozumna istota, ledwo świadoma tego, co się wokół dzieje. Zaledwie starczało jej sił, by egzystować.

Kiedy wydobyła się wreszcie z koszmaru, ona i Gwen były sobie obce. Gorzej. Niechęć Gwen przerodziła się niemal w nienawiść. Stały się wrogami, zachowującymi wobec siebie pozory uprzejmości.

Zaś testament Malcolma zniweczył nawet owe pozory.

Z przykrych wspomnień wyrwał ją bzycający dźwięk, dobywający się z bocznej kieszeni kostiumu.

Wyjęła telefon komórkowy i stwierdziwszy, że dzwonią ze szpitala, przyłożyła otwarty aparat do ucha. Głównie słuchała, prawie się nie odzywając. Po dłuższej chwili zatrzasnęła telefon i spojrzała na Adama.

- Przykro mi, ale muszę natychmiast jechać do szpitala. Zdarzyła się mała katastrofa.

- Mam nadzieję, że nic poważnego - powiedział zatroskanym tonem.  
- Nie, nic naprawdę strasznego się nie stało. Burza w szklance wody. W jednej z nowo dobudowanych sal wybuchł niewielki pożar. Pewnie ktoś z pracowników poszedł na papierosa i zaproszył ogień. - Odłożywszy nóż i widelec na talerz, podniosła się z krzesła.  
- Natychmiast go ugaszono, ale dziennikarze już się zwiedzieli i chcą usłyszeć oficjalny komentarz. A to, niestety, należy do moich obowiązków.  
- Zawiozę cię - oświadczył, kładąc na stole kilka banknotów.  
- Naprawdę, nie trzeba. - Wskazując wzrokiem ledwo napoczęty befsztyk na jego talerzu, dodała:

- Powinieneś skończyć kolację. Złapię taksówkę.  
- Nie ma mowy - odparł stanowczo. - Nawet uwzględniając inflację, za pięćdziesiąt tysięcy dolarów należy mi się coś więcej niż dwa kęsy befsztyka i porcja sałaty.

Szkoda czasu na dyskusje. Jeżeli się nie pośpieszy, Kara Karlin gotowa stanąć przed kamerą telewizyjnego reportera i w rezultacie tego mieszkańcy Pringle Island pójdą spać przeświadczeni, że szpital spłonął do fundamentów. A poza tym... szkoda, żeby ich randka skończyła się tak szybko.

- Zgoda. Będę wdzięczna za podwiezienie.

W parę minut później siedzieli w jego wynajętym mercedesie, pędząc główną ulicą, gdzie po chwili ich oczom ukazał się przedziwny widok. Na samym środku jezdni wyraźnie podchmielona

Gwen usiłowała iść po wąskiej żółtej linii oddzielającej dwa pasma ruchu, a Teddy szarpał ją za rękaw, błagając pewnie, żeby wróciła na chodnik.

Lacy westchnęła. Miała poczucie, że ponosi przynajmniej część winy za buntownicze zapędy Gwen. Gdyby w swoim czasie umiała zapomnieć na chwilę o własnych smutkach i poświęcić pasierbicy trochę czasu i uwagi, zrobiłaby dziewczynie wielką przysługę.

Adam odgadł jej myśli.

- Nie rób sobie przesadnych wyrzutów - odezwał się, wymijając parę zwariowanych młodych ludzi, a następnie skręcając w kierunku szpitala. - Jeszcze raz powtórzę: miałeś zaledwie osiemnaście lat.

Byłaś niewiele starsza od niej.

Bardzo wspaniałomyślna ocena. Jeśli nie będzie uważać, gotowa go jeszcze polubić. Jego towarzystwo było dziwnie niebezpieczne. Choć zarazem dziwnie miłe.

- Nie powiem, żebym robiła sobie z jej powodu ciągłe wyrzuty, ale i nie czuję się całkiem wolna od winy. Popadanie w jedną albo drugą skrajność, zarówno bicie się w piersi, jak i udawanie niewiniątka, niczego moim zdaniem nie wyjaśnia ani nie rozwiązuje.

Długą chwilę jechał przed siebie, nic nie mówiąc.



Milczenie było tak naładowane ukrytym napięciem, że Lacy siłą się powstrzymywała, by nie powiedzieć obojętnie czego, byle je przerwać. Skoncentrowała więc wzrok na srebrzystej wstędze drogi, próbując dojść do ładu ze swymi myślami.

W końcu stanęli na czerwonym świetle i Adam wreszcie się odezwał:

- Czy nie za wiele od siebie wymagasz, Lacy? Czy rzeczywiście potrafisz odepchnąć od siebie wszelkie ludzkie słabości? Czy jesteś naprawdę aż tak chłodna i opanowana, jak ci się wydaje? Patrzył na nią badawczym wzrokiem. Miała ochotę skurczyć się na siedzeniu. - Czy tylko narzuciłaś sobie taki sposób bycia?

Wytrzymała jego wzrok, uderzona trafnością pytania. Sama nie wiedząc dlaczego, zapagnęła dać na nie szczerą odpowiedź.

- Jeżeli wystarczająco długo coś sobie narzucasz, znika różnica między tym, co naturalne, a tym, co narzucone.

Wszystko wskazywało na to, że w piątkowy wieczór na Pringle Island nie wydarzyło się nic interesującego.

Niewielki ogień zaproszony przez nieuważnego palacza ściągnął do szpitala wszystkich miejscowych dziennikarzy.

Adam asystował przy dwóch pierwszych wywiadach, podziwiając zręczność, z jaką Lacy radziła sobie z reporterami telewizji i wpatrując się z lubością w jej piękną twarz, oświetloną reflektorami.

Kiedy jednak przyszła kolej na wysłanników gazet, zdecydowanych dotrzeć za wszelką cenę do prawdy o skandalicznym zaniedbaniu, wyruszył na poszukiwanie szpitalnego automatu.

Zobaczył, że maszyna jest do połowy opróżniona i wspomniał z żalem swój nie dojezdzony befszytk. Serowe chrupki, przypominające soloną tekturę z pomarańczowym plastikiem w środku, stanowiły nader nędzny substytut kawałka uczciwego, przyzwoicie upieczonego mięsiwa.

Przełknąwszy na sucho dwie chrupki, zateęsknił za porzuconą w restauracji butelką przyjemnego chardonnay. Na koniec zawędrował do biura Lacy, usiadł na kanapie i cierpliwie - no, dość cierpliwie - czekał na nią, przeglądając kolorowe ulotki, z których można by wyciągnąć wniosek, że budowa nowoczesnego oddziału położniczego na Pringle Island to największe wydarzenie od czasu wynalezienia lodówek.

Lacy pojawiła się po upływie godziny. Wyglądała olśniewająco w swej srebrzystej, wieczorowej sukni z głębokim dekoltem, w naszyjniku z drobnych kryształów górskich. On w każdym razie uznał, że muszą to być kryształy górskie. Malcolm nie był chyba milionerem?

- Strasznie cię przepraszam - powiedziała, wchodząc do pokoju i zrzucając z nóg pantofle. Nie przypuszczałam, że będzie ich aż tylu.

- Nic nie szkodzi - odparł, choć na dobrą sprawę przesiedział tutaj mnóstwo czasu, czekając na jej powrót. Cóż by to mogło oznaczać? Wolał się nad tym nie zastanawiać. Mężczyzna, który dla jednej, w dodatku nie dojeżdżonej kolacji poświęca pięćdziesiąt tysięcy dolarów, musi mieć źle w głowie.

- Przestudiowałem twoje broszury. Brzmią tak przekonująco, że mam ochotę wypisać następny czek.

- O to w nich mniej więcej chodzi - zaśmiała się, z ulgą siadając koło niego na kanapie. Odrzuciła głowę na oparcie i przymknęła powieki. - Na biurku jest długopis. Możesz z niego skorzystać.

- O, nie! - zaprotestował.

Na próżno usiłował oderwać od niej oczy. Zbyt jednak długo karmił się marzeniami, by oprzeć się pokusie porównania ich z rzeczywistością. Biała szyja, łagodnie zarysowane policzki, gładkie, sklezione czoło. No i te pełne, zmysłowe wargi, podkreślone teraz luksusową szminką w kolorze brzoskwini.

- Jeszcze mi się nie odwdzięczyłaś za pierwszy czek ...

Z wolna podniosła powieki, zdając sobie sprawę, że Adam od dłuższej chwili jej się przygląda. Ciekaw był, co wyczytała w jego oczach, bo na twarzy Lacy odmalowało się nagłe napięcie. Usiadła prosto na kanapie.

- Może więc powiesz jasno, czego ode mnie oczekujesz.

Adam uprzejmie się uśmiechnął.

- Z tego, co przeczytałem, wynika, że część istniejących sal przerabia się na użytek nowego oddziału poporodowego. Chętnie bym je obejrzał.

Oprowadzisz mnie?

Lacy przyjrzała mu się podejrzliwie, jakby wietrzyła podstęp, on jednak zrobił tak niewinną minę i starał się nadać swoim oczom tak anielski wyraz, że w końcu roześmiała się. Zaczyna tajać, pomyślał, dziwiąc się zarazem, dlaczego ten fakt sprawia mu aż tak wielką przyjemność.

- No dobrze - zgodziła się. - Ale pójdę boso. Nie czuję nóg.

- Boso? - wykrzyknął z udanym zgorzeniem. Nieskazitelnie elegancka pani Morgan chodząca boso po swoim królestwie? Ukazująca poddanym bose stopy? Tego jeszcze nie było. Czy mam z powrotem wezwać dziennikarzy?

- Głupstwa gadasz - rzuciła, podnosząc się z cichym westchnieniem z kanapy.

- Nowe skrzydło jest zupełnie puste. Nikt mnie nie zobaczy.

Poszli więc mrocznymi korytarzami, a górskie kryształły na jej szyi migotały w niebieskawych, przyćmionych światłach umieszczonych nad drzwiami.

Zgodnie z zapowiedzią Lacy, w lśniących czystością, sterylnych salach panowała niesamowita pustka i cisza.

Minąwszy ostatni zakręt korytarza, znaleźli się w części budynku, w której panował zaskakujący bałagan. Po kątach stały drabiny, wisiały plastikowe osłony, leżały deski, narzędzia i pędzle.

- Budowa w toku - oznajmiła Lacy z uśmiechem. Mimo że byli sami, instynktownie ściszyła głos.

-Ale jest tu jeden już wykończony pokój, który pokazujemy naszym głównym sponsorom, żeby zrobić na nich wrażenie.

- Mam nadzieję, że ja też zaliczam się do tej kategorii - rzekł z udaną skromnością.

Chociaż właśnie się odwracała i widział tylko zarys jej policzka, był pewien, że wywołał uśmiech na jej twarzy.

-Tak jest, proszę pana. Pan też się do niej zalicza. Otworzyła jedno z drzwi wychodzących na korytarz.

Zapaliła górne światło, a następnie małą, osłoniętą abażurem lampkę stojącą przy łóżku, które w niczym nie przypominało typowych szpitalnych mebli.

-Tak wygląda jedna z porodowych sal. W cięższych przypadkach kobiety będą rodziły tutaj, gdzie znajdują się również wszystkie medyczne urządzenia.

- Przyjemnie - powiedział z uznaniem i usiadł na brzegu łóżka. Zasłane cienką, lnianą pościelą, z nie za miękkim, wygodnym materacem, wyglądało nader zachęcająco. Z drugiej strony łóżka stała kołyska. Kiedy pchnął ją wyciągniętą ręką, zaczęła się lekko kołysać. - Zupełnie jak w domu.

- O to nam chodziło - odparła, z widocznym zadowoleniem rozglądając się po pokoju. - Wiele kobiet, które tu trafiają, będzie przeżywało bardzo trudne chwile, pełne lęku i niepokoju. Będą to kobiety zagrożone przedwczesnym porodem albo innymi komplikacjami. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Urwała na chwilę i głęboko odetchnęła.

- Nie jesteśmy cudotwórcami. Ale chcemy móc zrobić dla tych kobiet wszystko, co tylko jest możliwe.

Rozejrzawszy się po pokoju za jej przykładem, musiał przyznać, iż jej duma jest w pełni uzasadniona. Pokój był przytulny i ładnie urządzone, wolny od odstraszałającej atmosfery szpitala. W przeciwległym końcu umieszczono wygodną leżankę dla bliskiej osoby, na której mogła ona odpocząć, a nawet spędzić noc, gdyby zaszła taka potrzeba. Zauważył przy tym, iż wśród domowego umeblowania rozmieszczono najnowocześniejszą medyczną aparaturę. Pokój miał nie tylko zapewnić pacjentkom dobre samopoczucie, lecz także zrobić wrażenie na bogatych dobroczyńcach. Był lekarskim gabinetem, przeznaczonym do ratowania ludzkiego życia.

- Dokonałaś wielkiej rzeczy, Lacy - przyznał szczerze. - To niezwykle miejsce. Na pewno zdołacie tu dokonać niejednego cudu.

Jednakże Lacy zdawała się go nie słuchać. Krążyła niespokojnie po pokoju, dotykając napotkanych po drodze przedmiotów. Raz przesunęła zegarek na nocnym stoliku, to znów naprostowała abażur lampy.

- Dzięki - powiedziała dziwnie stłumionym głosem. - Mam nadzieję, że tak będzie.

Stała teraz blisko niego i w skupieniu wyglądała koronkową falbanę wokół kołyski. Potem przesunęła dłonią po niemowlęcej pościeli z taką czułością, iż poczuł się zażenowany, jakby swoją obecnością naruszył prywatność jej najskrytszych myśli.

Nagle spostrzegł, że Lacy ma łzy w oczach, a jej zaciśnięte usta drżą konwulsyjnie, jak od tłumionego bólu.

I na moment minione dziesięć lat przestało istnieć. Jej cierpienie, niezależnie od tego, co je spowodowało, stało się jego cierpieniem. Nie mógł na nie spokojnie patrzeć. Nie zastanawiając się, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

-Lacy - powiedział w nagłym, nieopanowanym przyływie uczuć. - Lacy, tak bardzo za tobą tęskniłem.

Przez te wszystkie lata. Wiedziałaś o tym; prawda? Umierałem z tęsknoty. Spojrzała na niego i dwie łzy stoczyły się po jej policzkach. Ale w oczach miała nadal nieobecny wyraz, jakby znajdowała się w jej tylko znanym, zamkniętym świecie.

-Ja też tęskniłam za tobą. - Z przejmującym smutkiem dotknęła jego twarzy. - Tęskniłam tak bardzo, że umarłam z tęsknoty.

Serce ścisnęło mu się w piersiach.

-Nie, Lacy, nie mów tak - wyszeptał żarliwie, przyciągając ją ku sobie. - Nie umarłaś. Potrafię przywrócić cię życiu. Tylko mi pozwól.

Jego mocny uścisk sprawił, że straciła równowagę i osunęła się na łóżko. Nie zaprotestowała, kiedy objął jej nieruchome ciało i przytulił do piersi.

-Pozwól mi, proszę. Pozwól wskazać sobie powrotną drogę.

Nie bardzo wiedział, co zamierza zrobić. Czy sądził, że seks ją uleczy? Ze godziny łagodnych i czułych miłosnych pieszczot w tym niesamowicie cichym szpitalnym pokoju roztopią lodową pokrywę, pod którą ukrywała się przez tyle lat?

Być może był na tyle szalony. Długie lata tęsknoty za jej ciałem sprawiły, że był gotów lekkomyślnie ulec pożądaniu.

Nim jednak zdążył jako tako pozbierać myśli, jej ciałem wstrząsnęły spazmatyczne dreszcze.

-Adam - szepnęła ochryplym głosem, usiłując wydostać się z jego ramion.

On jednak jeszcze mocniej przygarnął ją do siebie, czując hamowane z całej siły, coraz silniejsze łkanie.

-Nie broń się, Lacy - szepnął. -To ci przyniesie ulgę. Nie musisz się opanowywać.

Jeszcze chwilę próbowała się opierać, aż nagle pękła jakaś potężna tama i Lacy wybuchnęła nieopanowanym, rozpaczliwym, bezradnym szlochem. Tulił ją do siebie z całej siły do przemoczonej koszuli, odgarniał z twarzy zwilgotniałe włosy, szeptał czułe słowa.

Nie tego się spodziewał. A jednak, może tak właśnie jest dobrze ...

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wychodząc na wielki hotelowy basen o łącie olimpijskich rozmiarach, Gwen zdjęła zapinane na guziki, żółte koronkowe wdzianko i zawiadziackim ruchem przerzuciła je przez ramię. W nowym kostiumie kąpielowym wyglądała wystrzałowo. Niech Travis ma okazję w pełni to docenić.

Tymczasem nieznośny facet nawet nie patrzył w jej stronę. Mimo że spóźniła się zaledwie dziesięć minut, Travis siedział już w wodzie i obwoził po basenie siedzącą na dziecinnym pontonie małą dziewczuszkę. Wypuściwszy z płuc uwydatniającą biust dawkę powietrza, patrzyła spode łba w jego kierunku. Przywykła, by poświęcano jej nieco więcej uwagi.

.Ale wyglądał fajnie. Mokre, odgarnięte do tyłu włosy uwydatniały szlachetny kształt głowy, a nagie, opalone na brąz ramiona były wprost do zjedzenia. Gwen doszła do wniosku, że woli swoje uwodzicielskie zabiegi skupić na Travisie. Nie miała ochoty tracić czasu i energii na zgłębianie dziwnych i podejrzanych stosunków łączących Adama z Lacy. W dodatku Adam był wprawdzie chodzącym męskim seksem, ale trudno było go rozgryźć. Z Travisem miała o wiele łatwiejszy kontakt.

Prędzej czy później chyba mu daruje, że nie poświęcił jej wystrzałowemu kostiumowi należytej uwagi.

- Rekin wbija zęby w tratwę. Wlecz cię na pełne morze! - wołał Travis, komicznie porykując (odkąd to rekiny zaczęły ryczeć?) i wzbijając nogami fontanny wody ku niesłychanej uciesze małej, może sześciolletniej dziewczynki, noszącej jeszcze napompowane skrzydełka na rękach. Uraza Gwen wyparowała. Odłożywszy wdzianko, żółty ręcznik kąpielowy i opasły romans na najbliższy leżak, podeszła do basenu i przykucnęła na krawędzi.

- Hej! Panie Rekinie? Poznaje mnie pan? Czy to ze mną był pan umówiony na randkę? Travis obejrzał się i uśmiechnął szeroko.

- Och! Rekin zobaczył nową ofiarę! Jesteś cudem uratowana! - krzyknął do dziewczynki, odpychając jej ponton z takim rozmachem, że się cały zachybotał, pobudzając dziecko do kolejnego wybuchu śmiechu.

Potem dotarł do brzegu basenu i chwycił Gwen obiema rękami w pasie.

- Pójdź, moja śliczna. Zamieszkaż z rekinem w wodzie jako jego królowa.

- Nie chcę być rekinem - zaprotestowała Gwen.

- Za męczące. Rekiny nie śpią.

Zrobił obrażoną minę.

- Musimy zostać rekinami. Tak chce DiDi, a jesteśmy dziś jej oficjalnymi obrońcami, bo bracia strasznie jej dokuczają z powodu tych skrzydełek do pływania. Gwen skierowała wzrok na małą, która wiosłowała z całej siły, by uciec przed trzema wyrostkami, którzy ochlapując młodszą dziewczynkę wodą, głośno się z niej naśmiewali.

-To ta twoja DiDi? - spytała Gwen.

-Tak, to ona - odparł Travis. - I jej braciszkanie. Wołają na nią DruDuDu, DumDum albo Draka-Gapa. Są okropnie nieznośni, choć trudno mieć do nich pretensję. Jeden ma jedenaście, drugi dwanaście, a trzeci trzynaście lat.

- Ciekawe, jak zawarłeś z nią znajomość? - spytała Gwen.

- Z DiDi? Parę minut temu, czekając na ciebie - wyjaśnił i przekornie wyszczerzył zęby.

-Ach, więc to moja wina? - zawołała oburzona. Niemniej ... jeszcze raz popatrzyła na DiDi.

Biedna mała była bliska łez. Mokre włoski przywarły jej do zaczerwienionych z wysiłku policzków. Gwen zmierzyła wzrokiem trzech małych, rozwrzeszczanych dzikusów. I, jak przewidywał Travis, połknęła haczyk. Wzięła głęboki oddech.

-W porządku. Odsuń się, rekinie. Ja to załatwię.

-To mówiąc, dumnym krokiem podeszła do chłopców. - Hej! Ty!

Chłopcy oniemieli na widok wspaniałej blondyny w oszalamiającym bikini.

Gwen zaśmiała się w duchu na myśl, że jej wystrzałowy kostium jednak na coś się przydaje. Trzynastolatek zaczerwienił się po białka oczu. Pewnie ma w swoim pokoju plakat ze zdjęciem gwiazdy filmowej w podobnym stroju.

- Ja? - spytał niepewnie.

-Tak, ty - odparła przyjaźnie. - Szukam kogoś, kto pokaże mojemu kumpłowi, jak skakać z dużej trampoliny. Jak tylko cię zobaczyłam, zaraz pomyślałam, że na pewno potrafisz. - Uśmiechnęła się zalotnie. - Mam rację, no nie? Chyba się nie boisz?

Dzieciak przestraszył się nie na żarty. Wyraźnie pobladł. Ale młodsi bracia chichotali z uciechy, zachęcając go kuksańcami do podjęcia wyzwania. W rezultacie mały terrorysta nie odważył się przyznać, że umiera ze strachu.

- Pewnie, że nie - oświadczył, oganiając się ze złością od braci. - Zamknijcie się. Dam sobie radę.

Ale skończyło się kompromitacją. Owszem, doszedł na koniec trampoliny, kiedy jednak spojrzął w dół i zobaczył pod sobą dziesięciometrową przepaść, po prostu znieruchomiał. Stał długo jak skamieniały, nie mogąc ruszyć ręką

ani nogą, nie reagując na zachęcające pokrzykiwania braci. W końcu zrezygnował i zlął na dół, czerwony ze wstydu.

Nie minęły dwie minuty, a cała trójka wycofała się jak niepyszna z basenu, zostawiając swą małą siostrzyczkę w spokoju, pod wyrozumiałym okiem rodziców, którzy przez cały czas siedzieli obok pogrążeni w lekturze, najwidoczniej nieświadomi rozgrywającego się dramatu.

Gwen z zadowoloną miną wróciła do Trávisa, który wyskoczył tymczasem z basenu i wycierał się ręcznikiem.

-Aleś go załatwiła! - powiedział z uznaniem. - Złośliwa z ciebie sztuka!

-To takie zagranie, którego nauczyłam się w internacie - odparła skromnie. -

Zasada jest taka: kiedy zawężmie się na ciebie banda sadystów, wybierz najgorszego z nich i postaraj się zrobić z niego pośmiewisko. Od razu się od ciebie odczepią.

Travis gwizdnął z podziwem.

- Gdzie był ten twój internat? W Alcatraz?

-W podobnym miejscu. - Gwen usadowiła się na leżaku w sposób maksymalnie eksponujący jej wdzięki. - Ojcu było obojętne, gdzie mnie posyła. Zależało mu tylko, żebym nie kręciła się po domu, kiedy będzie próbował rozgrzać swoją oziębłą zoneczkę.

- Masz na myśli Lacy? - zapytał Travis, układając się na sąsiednim leżaku.

-Tak, ją. Piękną Damę na Włościach. Ona też wolała pozbyć się niepotrzebnego bękart. Zwłaszcza że bękart dobrze wiedział, jaka z niej fałszowana dama. Stała za ladą w jednym z supermarketów ojca, zanim zaczęła udawać wielką panią.

Travis tym razem nawet się nie uśmiechnął.

-To trochę małostkowe z twojej strony. - powiedział spokojnie. - A poza tym nigdy bym nie przypuścił, że jesteś snobką.

Delikatna przygana bardzo ją dotknęła. Co było dziwne, bo normalnie obrażanie całego świata dawało Gwen poczucie sukcesu.

Ale z Travisem było inaczej. Nie traktował jej jak seksownej dziewczyny do poderwania ani jak szalonej diablicy, ani jak dziecka, które zeszło na złą drogę i przynosi wstyd rodzinie. Nie wkładał jej do żadnej szufladki: przyjmował taką, jaką była. A przy tym najwidoczniej ją lubił. Nie chciała, żeby przestał ją lubić.

- Masz rację - przyznała. - Tak mi się tylko powiedziało. To, że była biedna, nic mnie nie obchodzi.

I wcale nie uważam, że wyszła za ojca dla pieniędzy. Z tego, co odziedziczyła, prawie nic na siebie nie wydaje. Chodzi tylko o to ...

Umilkła na chwilę. Tego, co chciała teraz powiedzieć Travisowi, nikomu jeszcze w życiu nie mówiła.

Nawet sobie. Sama nie wiedziała, skąd jej się to nagle wzięło.

- Chodzi o to, że. byłoby przyjemniej mieć w domu przyjazną duszę. Rozumiesz? - Zapatrzyła się przed siebie. - Chciałabym, żeby mi okazywała trochę sympatii. Ale ona nigdy mnie nie lubiła. I nigdy nie polubi. Dopiero teraz spojrziała na Travisa, który patrzył na nią ze zrozumieniem, ale bez cienia czułości.

-To chyba tyle - rzuciła niedbale. - Banalna historia. Tak w życiu bywa, no nie? Chciałam tylko, żebyś wiedział, że pieniądze nie mają z tym nic wspólnego.

- Zgoda. Wyjaśnienie przyjęte - odparł życzliwie. - Ale powiedz mi co innego. Naprawdę chcesz zostać, nauczycielką?

- Że co? - zdziwiła się, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Pytałem, czy chcesz zostać nauczycielką. Kierownik klubu sportowego szuka kogoś do prowadzenia szkółki pływania dla dzieci. Powiedziałem, że świetnie się do tego nadajesz. Umówiłem cię z nim dziś o trzeciej ..

Gwen aż usiadła na leżaku, zdejmując ciemne okulary, żeby móc go w widoczny sposób zmiażdżyć wzrokiem.

-Wiesz, ty jesteś bezczelny. Wydaje ci się, że możesz mi układać życie? Pozwól sobie powiedzieć, że w gruncie rzeczy nic o mnie nie wiesz.

Travis padł plackiem na leżak, zanosząc się od śmiechu.

- Oho, wiem, i to bardzo dużo. Jesteś kubek jak Moira, z małym dodatkiem Kelly i pewną domieszką Ellyn.

- O czym ty, do diabła, gadasz?

- O tym, żebyś przestała się wściekać i poszła trzeciej na rozmowę. Bo uważam, moja droga awanturnico, że jesteś stworzona do tego, żeby być nauczycielką. Lacy siedziała koło łóżka Tilly, przekopując się przez plik katalogów w poszukiwaniu chromowanych kurków do umywalek.

Była pierwsza po południu w sobotę. Tilly uparła się, że musi wiedzieć, jakie typy nowoczesnych armatur są do kupienia, ponieważ zarząd szpitala, którego była członkiem, miał w poniedziałek podjąć w tej sprawie ostateczną decyzję.

Gdyby Lacy nie przyniosła jej katalogów do domu, Tilly niechybnie powłokłaby się do szpitala, chociaż nie miała na to jeszcze sił.

Wobec tego Lacy musiała przyjechać i wtaszczyć na górę po schodach stos katalogów.

Co za nieznośny uparciuch z tej Tilly Barnhardt, myślała Lacy, podając jej otwarty katalog. Choć, Z drugiej strony, pewnie właśnie dzięki temu jest stale na chodzie. W ciągu osiemdziesięciu sześciu lat życia niezłomny upór pozwalał jej pokonywać niezliczone przeciwności losu. Może pozwoli jej dać sobie radę ze smutną wiadomością.

- Do czego się tak uśmiechasz? - zagadnęła Tilly, mierząc ją znad okularów badawczym spojrzeniem. - I w ogóle, co z sobą zrobiłaś? Jesteś jakaś inna.

Jakbyś ... odmłodziła. Poweselała. -Tilly zrobiła tajemniczą minę. - Poczekaj,



może sama znajdę odpowiedź. Ma to może coś wspólnego z wczorajszą kolacją?

- Głupstwa opowiadasz - zaprotestowała Lacy, zagłębiając się z powrotem w katalogi. - Wyglądam tak samo jak zawsze. Coś ci się wydaje. Chcesz sobie wmówić, że twoje swatanie sprawi cud.

-A nie sprawiło?

- Nie - odparła krótko Lacy, starając się nadać swojej twarzy nieprzenikniony wyraz. - Nie było żadnego cudu.

-Więc dlaczego tak wyglądasz?

- Jak wyglądam? - To się nie mieści w głowie! Skąd Tilly może wiedzieć, że wczoraj wieczorem coś się wydarzyło? Nie mogła przecież żadną miarą odgadnąć, że Lacy przez całą godzinę wypłakiwała się w ramionach Adama. Jak właściwie do tego doszło? Od tylu już lat nie była w stanie opłakiwać utraconego dziecka. Aż nagle wczoraj, w tamtym pokoju, w obecności Adama, coś w niej pękło i łzy popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. A on był tak czuły i wyrozumiały. O nic nie pytał.

Bez słowa pozwolił jej się wypłakać. Niczego nie musiała mu wyjaśniać. I rzecz dziwna, kiedy łzy się wyczerpały, odczuła ulgę. Odmłodniała.

Dosłownie, jakby z jej ramion spadł wielki ciężar.

Tilly przez cały czas obserwowała przyjaciółkę spod oka.

-Wyglądasz, jakbyś przejaśniała - oświadczyła na koniec. - Może todziwaczne określenie, ale tak właśnie wyglądasz. Jak niebo po burzy.

Lacy poczuła, że się czerwieni. Tilly była niebezpiecznie bliska prawdy.

- Matyldo Hortensjo Barnhardt, jeżeli natychmiast nie przestaniesz ...

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Adam z pękiem żółtych stokrotek w ręku.

-Czy nie przeszkadzam?

Tilly krzyknęła radośnie i wyciągnęła ręce po swoje ulubione kwiaty.

-Ani trochę! Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Spójrz na Lacy i powiedz szczerze: czy nie wygląda dziś, jakby pojaśniała?

Adam popatrzył ze zdziwieniem na Lacy, która, kompletnie skonfundowana, zasłoniła twarz rękami.

-Tak, rzeczywiście - przytaknął na wszelki wypadek, najwyraźniej niewiele rozumiejąc. - Po prostu błyszczysz. Jakby była świeżo wymyta i wypucowana. Czy to miałem powiedzieć?

- Ech, kpiny sobie robisz - prychnęła Tilly i, wręczając Lacy bukiet, dodała:

- Bądź tak miła, kochanie, i pójdz wstawić je do wody.

Co to, to nie, ty szachrajko, pomyślała Lacy, częstując Tilly miażdżącym spojrzeniem. Chce się mnie pozbyć z pokoju, żeby swobodnie pociągnąć Adama za język na temat wczorajszego wieczoru.

- Poproszę pielęgniarkę, żeby się nimi zajęła powiedziała słodkim tonem. - Ja muszę jeszcze posegregować katalogi.

Zawołano więc pielęgniarkę, która zabrała stokrotki, po czym Lacy siadła z katalogami w drugim końcu pokoju, żeby Tilly i Adam mogli się sobą swobodnie nacieszyć, ale jednocześnie uniemożliwiając przyjaciółce zadawanie kłopotliwych pytań.

Zarazem bardzo silnie odczuwała fizyczną obecność Adama. Był dziś ubrany swobodniej niż zwykle - przyszedł w wyblakłych dżinsach - i ten niegdyś znajomy widok wywołał w jej pamięci falę obrazów Z przeszłości.

Tym razem nie broniła im dostępu. W każdym razie niektórym, Uchyliła na próbę bramę swojej pamięci, dopuszczając do siebie parę wspomnień.

Tamtego dnia, kiedy w sklepie Morgana kupił dziesięć paczek gumy do żucia, płacąc za każdą gumę osobno, żeby móc jak najdłużej z nią rozmawiać.

Albo wspomnienie dnia, kiedy poszła po niego na budowę. Koledzy z pracy zaczęli gwizdać na jej widok, a kilku wręcz próbowało ją podrywać. Jeden z nich, widząc nachmurzoną minę Adama, zapytał, udając niewiniątko: "Co ci się nie podoba, stary? Może to twoja dziewczyna?", na co Adam oświadczyło krótko i wężłowato: "Tak, to moja dziewczyna. Powiedz to innym".

I wspomnienie dnia, kiedy kochali się w samochodzie i ...

Nie, to nie! Zatrzasnęła na powrót uchylone drzwi pamięci. Jeszcze za wcześniej.

Nagle zdała sobie sprawę, że Adam coś do niej mówi. Szybko podniosła głowę, czując, że w tej chwili rzeczywiście wygląda inaczej niż zwykle,

- Co, mówiłeś? Przepraszam, zamyśliłam się.

- Pytałem, czy będziesz tak miła i odprowadzisz mnie do samochodu?

Lacy zerknęła na Tilly, która siedziała na łóżku z paskudnie zadowoloną, chytrą miną. Do złudzenia przypominała kota, któremu udało się upolować kanarka. Lacy miała wręcz wrażenie, że z kącików jej warg wystają resztki żółtych piórek.

- Z miłą chęcią - odparła, starając się nie zważać nie tylko na Tilly, ale i na bicie własnego serca.

Podsunęła Tilly stojący na nocnym stoliku dzwonek. Zadzwoń na pielęgniarkę, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Ale ja, oczywiście, zaraz wracam.

- Oczywiście - z obłudnym zadowoleniem przytaknęła Tilly.

Adam odezwał się dopiero po wyjściu z budynku, gdy już zbliżali się do samochodu. Lacy nie wiedziała, jak przerwać milczenie i też nic nie mówiła, ale sama obecność Adama sprawiała jej przyjemność.

Mój Boże! - myślała. Co się ze mną dzieje? Czy to możliwe, żebym znów zaczęła tracić dla niego głowę?

Na skraju podjazdu Adam wreszcie przystanął i zwrócił się do niej ze słowami:

- Zadzwoił do mnie Frennick. Dowiedział się czegoś nowego.

- Frennick? - powtórzyła, nie bardzo rozumiejąc. - Mój Frennick?

- Teraz także mój. Po tym jak przyniósł wiadomość, że córka Tilly nie żyje, poprosiłem, żeby dalej prowadził śledztwo. I coś odkrył. Jeżeli nie jesteś zbyt zajęta, chciałbym zawieźć cię jutro do Bostonu. - Co mógł odkryć? - Lacy z trudem zbierała myśli. - Po co chcesz jechać do Bostonu?

Przecież córka Tilly nie żyje. A może to nieprawda?

- Nie, to prawda - stwierdził Adam. - Córka Tilly rzeczywiście nie żyje.

Okazuje się jednak... ciągnął, ujmując dłoń Lacy - że żyje jej wnuczka.

Według relacji detektywa, wnuczka Tilly miała obecnie trzydzieści dwa lata i była świeżo po rozwodzie ze znanym bostońskim adwokatem, którego przyłapała in flagranti Z przystojną asystentką.

Wszelako Claire Scott Tyndale nie znalazła się po rozwodzie bez perspektyw i środków do życia. Pracowała jako reporterka dla jednej Z bostońskich stacji telewizyjnych, mieszkała w unowocześnionym domu z czerwonej cegły nieopodal Faneuil Hall, jeździła srebrzystym BMW, była energiczną przewodniczącą miejscowego oddziału Wyborczej Ligi Kobiet, a niedawno wzięła do domu springer spaniela imieniem Winston.

A ponadto, jeśli wierzyć Frennickowi - jest w zaawansowanej ciąży.

Jednakże wszystkie te niewątpliwie szczegółowe informacje zebrane przez detektywa nie osłabiły zaskoczenia Lacy na widok wspaniałej kobiety, która otworzyła im drzwi domu z czerwonej cegły w centrum Bostonu.

- Czym mogę służyć? - Claire Tyndale mierzyła ich niecierpliwym spojrzeniem wielkich piwnych oczu, tak podobnych do oczu Tilly Barnhardt, że Lacy na moment zaniemówiła. Claire obejrzała Lacy i Adama od stóp do głów. - Nie wyglądacie państwo na sprzedawców. I bardzo dobrze, bo niczego nie potrzebuję.

- Nie, nie chcemy pani niczego sprzedać - upewnił ją Adam z uśmiechem.

Twarz Claire momentalnie złagodniała. - Nazywam się Adam Kendall, a ta pani to Lacy Morgan. Jesteśmy przyjaciółmi Tilly Barnhardt, która jest pani krewną ze strony matki. Czy jej nazwisko coś pani mówi? Claire zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek słyszała to nazwisko.

Przepraszam, ale jak miałyby być ze mną spokrewniona?

- Przez pani matkę - wtrąciła Lacy. - Ale to dosyć skomplikowana sprawa. I bardzo osobista. Czy moglibyśmy wejść na chwilę i porozmawiać? Albo zaprosić panią gdzieś na kawę, gdyby tak było pani wygodniej?

Na wyrazistej twarzy Claire odmalowało się wahanie, kiedy uważnie badała ich twarze, ich ubranie, pewnie także sposób mówienia, a nawet zaparkowany przy krawężniku samochód, zastanawiając się zapewne, czy nie są jakąś nową odmianą rabusiów.

Lacy potulnie poddała się oględzinom. Będąc na miejscu Claire, postąpiłaby dokładnie tak samo.

Adam był za tym, żeby przed przyjazdem zadzwonić i uprzedzić Claire, o co im chodzi. Lacy wolała jednak zobaczyć ją wpierw na własne oczy i ocenić, jaką jest osobą, nim zdecydują się wyjawić jej tajemnicę Tilly. Na wypadek, gdyby okazała się inna.

Ale jakże mogłaby być inna? Była przecież wnuczką Tilly. Jej wielkie piwne oczy błyszczały inteligencją, a twarz wyrażała bezpretensjonalny przyjazny stosunek do świata.

- No, no! - odezwała się wreszcie, otwierając szerzej drzwi, by wpuścić ich do środka. - Jesteście państwo bardzo tajemniczy. - Odsunęła nogą z drogi zaciekawionego szczeniaka. - Proszę wybaczyć bałagan w domu, ale podczas weekendów daję sobie urlop od porządków.

W środku rzeczywiście panował bałagan, jakiego można się spodziewać w domu ciężko pracującej dziennikarki, która nie oczekiwała przybycia gości. Wielki stos gazet leżał w kącie pokoju, do którego ich wprowadziła, wokół kubka z nie dopitą kawą pełno było okruchów razowego chleba, a na ekranie stojącego w głębi telewizora klęczała kobieta w ciąży, wykrzykując zachęcająco: "Wyżej, i wytrzymać! I jeszcze raz! Do dzieła, moje panie! To wcale nie takie trudne!" Claire złapała pilota i nacisnęła przycisk, unicestwiając kobietę z ekranu.

- Przepraszam, to ćwiczenia przedporodowe. Trochę upokarzające, ale podobno łagodzą bóle, więc codziennie ćwiczę.' - Z lekkim uśmiechem w kierunku Lacy poklepała się po brzuchu. - Ja i Spencer źle znosimy ból. Lacy odwzajemniła uśmiech. Wciąż nie mogła się oswoić z widokiem oczu Tilly wyzierających z młodej, urodziwej twarzy. Nawet w tej chwili, ubrana niedbale w luźną ciążową bluzę, z włosami związanymi na karku, Claire wyglądała urzekająco. Lacy uświadomiła sobie nagle, jak śliczna musiała być Tilly za młodu.

Zebrawszy zalegające kanapę gazety, Claire poprosiła, by usiedli. Sama usadowiła się na skórzanym fotelu obok, a czarno-biały spaniel natychmiast wskoczył jej na kolana.

-Wynoś się, mój drogi - powiedziała wesoło. - Ten podolek jest już zajęty. Claire rzuciła okiem na stojący obok w szklanym wazonie bukiet stokrotek i odruchowo wyciągnęła zwiędły kwiatek.

- N o więc, czy możecie mi państwo wyjaśnić, co to za sprawa? - zapytała.

Stokrotki. Lacy poczuła, że się rozkleja. Dała Adamowi oczami znać, żeby to on wytłumaczył, z czym przychodzą. Będąc mniej niż ona zaangażowany emocjonalnie, z pewnością lepiej wyłoży sprawę, nie wdając się w sentymentalne dygresje, na przykład na temat upodobania do stokrotek. I rzeczywiście opowiedział wszystko w sposób rzeczowy, logiczny i dokładny. Kiedy skończył, Lacy wstrzymała oddech.

Claire też musiała słuchać z zapartym tchem; bo gdy umilkł, westchnęła głęboko.

- Uff! - mruknęła pod nosem.

Zapadła cisza. Claire w zamyśleniu patrzyła w okno, okręcając zwiędły kwiatek wokół palca. Najwyraźniej potrzebowała chwili, by oswoić się z tym, co usłyszała. Lacy czekała cierpliwie. Ostatecznie była tylko przyjaciółką Tilly, a Claire to krew z jej krwi i kość z jej kości. Decyzja należy do niej.

- Szkoda, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy - odezwała się wreszcie Claire, zwracając ku nim twarz, z której zniknęła wcześniejsza niefrasobliwość. Jej podobieństwo do Tilly stało się teraz znacznie mniej uderzające. Tilly nie miewała aż tak surowego wyrazu twarzy, nawet gdy najbardziej się starała.

- Od dawna o tym marzyła - wtrąciła Lacy. - Często się zastanawiała.

- Zastanawiała się? Moja matka przez cały rok próbowała odnaleźć swoją biologiczną matkę. Głos Claire stał się o ton ostrzejszy. - Nikt z was o tym nie wiedział? Umieściła nawet ogłoszenie w Internecie. Szukała pomocy w najrozmaitszych grupach ludzi poszukujących rodziców, ale nigdy nie otrzymała najmniejszego odzewu. - Tilly ma osiemdziesiąt sześć lat - broniła jej Lacy. - Nie ma nawet komputera, a poza tym ... Claire wstała z fotela i wrzuciła zwiędłą stokrotkę do kosza.

- Nie wiem, czy pani przyjaciółka potrafi sobie wyobrazić, co przeżywa adoptowane dziecko ile musi wycierpieć, żyjąc ze świadomością, że zostało odrzucone przez własną matkę.

- Oczywiście, że ...

- Nie sądzę - przerwała Claire. - Gdyby tak było, nie mogłaby tego zrobić - ciągnęła, dotykając ręką brzucha. - Oddać własne dziecko ...

- To były zupełnie inne czasy - szybko wtrąciła Lacy. - Musi pani zrozumieć, że sześćdziesiąt lat temu ...

- Niczego nie muszę - ucięła Claire. - Ale rozumiem. Rozumiem, że niektórzy ludzie nie traktują swoich obowiązków względem innych zbyt poważnie. - Nadal, jakby mimo woli, trzymała dłoń na wypukłości brzucha. - Właśnie pozbyłam się męża, który należał do tej kategorii samolubnych istot, pozbawionych poczucia odpowiedzialności. Powiem szczerze, że na przyszłość nie mam zamiaru zadawać się z tego typu ludźmi.

Lacy miała ochotę zaprotestować. Tilly samolubna i pozbawiona poczucia odpowiedzialności?

Miała ochotę wytłumaczyć tej kobiecie, jaka Tilly jest naprawdę. Sprawić, by spojrzała na Tilly jej oczami. I podzieliła jej uczucia. Ale jak znaleźć magiczne słowa, zdolne obalić mur urazy, którą Claire nosiła w sercu?

- Rozumiemy, co pani czuje - odezwał się Adam uprzejmie, wstając z kanapy.  
- Nie mamy najmniejszego zamiaru namawiać pani do czegokolwiek wbrew jej chęciom. Chcieliśmy jedynie poinformować panią, że jej babka żyje i że zrobiła wysiłek, aby panią odnaleźć. - Podając Claire wizytówkę, dokończył: - Co pani z tą wiadomością zrobi, to wyłącznie pani sprawa.

Lacy wiedziała, że Adam ma rację, że nie mają innego wyboru, jak tylko się wycofać. Claire solidaryzowała się z matką, która wiele wycierpiała z powodu swego odrzucenia. Nie wzruszy Claire, mówiąc, że Tilly też cierpi. Wnuczka uzna pewnie, że sama na to zasłużyła.

Niemniej tak bardzo chciała bronić Tilly, przypomnieć Claire, że jej babka jest w zaawansowanym wieku, że jej choroba robi postępy, opowiedzieć, jaka jest dzielna, kochająca, lojalna. Chciała jej powiedzieć, ile radości dałaby jej świadomość, że Claire będzie miała dziecko, że ma się narodzić jej prawnuczka ...

Zaskoczyło ją, że tak bardzo to przeżywa. Od kiedy to potrzebazachowywania rezerwy zaczęła jej ciążyć? Dawniej bez trudu umiała w każdej sytuacji zachować spokój.

- Lacy? - Adam czekał na nią, stojąc w drzwiach. - Powinniśmy już jechać. Inaczej spóźnimy się na prom.

Nie mogła jednak odejść, nie podejmując ostatniej próby. Toteż wbrew temu, co mówił rozsądek, podeszła do młodej kobiety i ujęła jej chłodne, oporne dłonie.

- Nie wiem, jak powinna pani postąpić - rzekła.

-Wiem, jak trudno jest wybaczyć tym, którzy nas skrzywdzili. Czasami bywa to niewykonalne. Ale Tilly jest stara i poważnie chora. Nie będzie żyć wiecznie. Jeżeli zbyt długo będzie pani chować wobec niej urazę, może być za późno na to, żeby zmienić zdanie. I wtedy może się okazać, że najtrudniej jest wybaczyć samej sobie.

Podczas powrotnej przeprawy promem świeciło słońce, a morze było spokojne. W późne niedzielne popołudnie większość turystów zmierzała w odwrotnym kierunku - wracając z cichej i sielskiej wyspy do wielkiego miasta, gdzie nazajutrz czekał ich nowy dzień pracy. Toteż Adam i Lacy mieli prom niemal wyłącznie dla siebie. Stali przy burcie, wpatrzni w stalowoszare wody Atlantyku przed masywnym dziobem promu. Ale choć Pringle Island

była zaledwie ciemną kreską na widnokregu, Lacy wiedziała, że wkrótce dobiegą do lądu i jej sam na sam z Adamem nieuchronnie dobiegnie końca. Po wizycie u Claire poszli do restauracji na lunch.

Czas płynął im szybko. Lacy prawie już nie pamiętała, że Adam potrafi być tak atrakcyjnym towarzyszem. Rozmawiali o samochodach, polityce, teatrze, o Pakistanie. No i oczywiście, o Claire.

W trakcie rozmowy nie było, o dziwo, momentów skrepowania czy napięcia, jak gdyby zła przeszłość nie istniała. Kiedy Adam spojrział na zegarek i powiedział, że trzeba jechać, jeżeli chcą zdążyć na prom, Lacy zrobiło się żal. - To był piękny dzień - powiedziała. Trzymając ręce na balustradzie, odrzuciła głowę do tyłu, pozwalając, by przesycony solą prąd powietrza rozwiewał jej włosy. - Było mi bardzo przyjemnie. I wiesz co? - zagadnęła, spoglądając na Adama. - Mimo wszystko nie tracę nadziei co do Claire.

- Naprawdę? - uśmiechnął się. - Kiedy wychodziliśmy, miałaś strapioną minę. - To prawda. Ale zmieniłam zdanie. Są do siebie tak bardzo podobne, nie uważasz? Na razie czuje się rozgoryczona, i trudno jej się dziwić, ale wierzę, że siła pokrewieństwa zwycięży. Przyjrzałeś się jej? Te same oczy, ten sam uparty zarys podbródka. I pies. Wiesz, jak Tilly kocha zwierzęta. No i stokrotki! Kiedy zobaczyłam te kwiaty ... - Urwała, bojąc się, by nie posądził jej o sentymentalizm. - U znałam to za dobry znak.

- Myślisz, że przeważy DNA? - uśmiechnął się.

- Myślę, że przeważy miłość. - Popatrzyła na morze. - To się czasami zdarza. Ze zmierzwionymi na wietrze włosami tak bardzo przypominał jej w tej chwili dawnego Adama, że miała ochotę wyciągnąć ręce i go objąć.

- Może - odparł z wahaniem. - Czasami. Zwróciwszy twarz ku niej, zatopił wzrok w jej oczach. Po chwili odgarnął pasmo włosów z jej policzka i powoli, dając jej czas do namysłu, gdyby chciała zaprotestować, zbliżył usta do jej warg, składając na nich pocałunek. Był to pocałunek delikatny i niedługi, ale i tak poczuła dreszcz przenikający całe ciało. A gdy Adam oderwał się od niej, przesunęła palcami po wargach, które jeszcze lekko drżały.

- Co to miało być? - spytała.

- Nie bardzo wiem - odparł z uśmiechem. - Nie gniewasz się?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie - odrzekła. - To nie miało żadnego sensu, ale nie gniewam się.

Przez długą chwilę stali, nic do siebie nie mówiąc, obserwując, jak wydłużony cypel lądu stopniowo się przybliży, rosnąc powoli w oczach. Prom zaczął wytracać szybkość.

- Chcę cię przeprosić za piątkowy wieczór - odezwała się nagle.

Od początku chciała mu to powiedzieć, ale w ciągu dnia nie było po temu okazji. Jak gdyby zawarli milczącą umowę, że dzień upłynie w pogodnym nastroju, którego nie chciała zakłócać.

- Daj spokój - obruszył się. - Nie masz za co przepraszać.

- No, ale żeby tak się rozkleić! Sama nie rozumiem, co we mnie wstąpiło. Widocznie to z przemęczenia.

- Oczywiście, że z przemęczenia. Do tego niepokój o Tilly. Akcja zbiórki pieniędzy na szpital też musiała cię kosztować wiele nerwów. Lacy poczuła się okropnie na wspomnienie swej kampanii.

-To też ciąży mi na sercu. Dawno powinnam ci podziękować za tak niezwykle hojny dar, ale czułam się okropnie skrepowana. Za dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że ... są między nami nie dopowiedziane sprawy, że to one skłoniły cię do ofiarowania pieniędzy i że nie powinnam była ich przyjmować. Ale ponieważ zawiadomiłam już o niej zarząd fundacji, nie bardzo wiem, w jaki sposób ...

-Ależ Lacy, daj spokój - zaprotestował. - Dobrze się stało. Jestem zadowolony, że wypisałem ten czek.

-Ale postąpiłam niewłaściwie, dopuszczając do tego, żeby osobiste sprawy miały wpływ na sprawy czysto zawodowe.

- No dobrze, ale skoro ja uważam, że moje pieniądze poszły na właściwy cel, to po co się zadręczasz?

Przecież sama mi mówiłaś, że jesteś uodporniona na niepotrzebne skrupuły.

- Niby tak, ale ... - Lacy bezradnie spuściła głowę. - Wydawało mi się również, że mam dość siły na to, żeby coś takiego jak w piątek nie mogło mi się zdarzyć. Albo to ... co stało się na plaży. Czy ten pocałunek przed chwilą ... - Obracała pierścionek na palcu, jakby ją uwierał. - Wszystko to razem zaczyna mnie przerażać. Boję się, że przestaję być sobą.

-A dla mnie dopiero stajesz się sobą - odparł cicho. - Dopiero teraz zaczynam rozpoznawać dawną Lacy.

Musiała mocniej uchwycić się balustrady, kiedy prom zachybotał się na cumach. Wzburzona zderzeniem woda zakołysała statkiem i Lacy przymknęła oczy, by opanować nagły zawrót głowy.

- Masz rację - przyznała cicho. Po cóż ma się dłużej wypierać. - I właśnie to najbardziej mnie przeraża.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Teraz, gdy żmudna zbiórka pieniędzy na budowę nowego oddziału szpitala dobiegła końca, cała wyspa zdawała cieszyć się osiągniętym sukcesem.



Może zresztą przyczyną ogólnego podniecenia była zbliżająca się rodzinna galowa zabawa, którą zarząd szpitala postanowił urządzić dla uczczenia pomyślnego zakończenia akcji. Zabawa miała się odbyć w parku rozrywki z 1924 roku, który został niedawno odnowiony staraniem miejscowego Towarzystwa Historycznego. Park miał być otwarty dla publiczności po raz pierwszy od pół wieku. Ludzie, którzy od miesięcy nie reagowali na apele Lacy o pieniądze na szpital, zaczęli nagle dzwonić, proponując pomoc w zorganizowaniu i zaopatrzeniu stoisk albo rozwieszaniu afiszów w mieście. Trzy ekipy radiowe i dwie stacje telewizyjne zapowiedziały nagranie reportaży z imprezy.

Wykwintny magazyn dziecięcej odzieży z Main Street objął ją swym patronatem, a za jego przykładem poszło Miejskie Stowarzyszenie Pediatrów, sklep z zabawkami, a nawet prowadzona przez Tinę Seville elitarna szkoła dla dzieci w wieku przedszkolnym, której świadectwo ukończenia kosztuje więcej niż niejeden licencjacki dyplom.

Toteż kiedy zadzwonił kolejny telefon, Lacy spodziewała się usłyszeć głos następnego reportera albo nowego sponsora. Szkoda, że wcześniej nie okazywali tyle zainteresowania, kiedy każdy dolar liczył się na wagę złota. Ujęła słuchawkę w dwa palce. Przygotowywała faszerowane jajka na imprezę i ręce miała umazane majonezem. Ale dzwonił nie reporter, tylko Adam.

- Cześć, Lacy - odezwał się .

Na sam dźwięk jego głosu poczuła łaskotanie w czubkach uszu. Nie rozmawiali z sobą od pięciu dni, od wycieczki do Bostonu. Zabawne! Obywała się bez niego przez dziesięć lat, a teraz pięć dni wydawało się wiecznością.

To przez ten króciutki pocałunek na promie. Nie mogła o nim zapomnieć, wspominając nagły dreszcz, jaki wówczas przeniknął jej ciało. Pragnęła, by Adam znowu ją pocałował.

- Cześć - odpowiedziała głosem nastolatki.

Co się z nią u diabła dzieje? Nie jest już dziewczynką. Ma dwadzieścia osiem lat i jest stateczną wdową. Jak tak dalej pójdzie, zacznie się ubierać w minispódniczki a la Lolita, wiązać włosy w mysie ogonki i flirtować z wyrostkami, jak nie przymierzając, Mary Lou Geiger z budki z hamburgerami.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć, w czym mógłbym ci pomóc przed sobotą. - Był uśmiechnięty, poznała to po głosie. Wyobraziła sobie jego twarz z jednym kącikiem ust uniesionym nieco wyżej i siecią wesołych zmarszczek przecinających policzek.

- Dziękuję, ale daję sobie radę - odparła. - Nie zdarzyła się, odpukać, żadna katastrofa.

- Nie trzeba upiec ląbędzy z ciasta? Choć ostrzegam, że wypieki to nie moja specjalność.

-Tak, słyszałam. - Lacy oblizła wskazujący palec, by móc wygodniej trzymać słuchawkę. - Ale tym razem przygotowujemy znacznie prostsze jedzenie. I prawie wszystko dostaniemy z miasta.

- No dobrze. Ale mam jeszcze inną sprawę. Chcę cię prosić o przysługę.

- Chętnie służę. - Wzięła łyżkę i zaczęła napełniać foremki jajeczną masą. Była to tajemnica przekazana jej przez Tilly, pozwalająca nadawać przysmakowi dowolne kształty. - Jestem ci winna rewanż.

Czego sobie życzysz?

- Chcę umówić się na randkę.

Lacy zaśmiała się w odpowiedzi, ale z wrażenia tak mocno potrząsnęła łyżką, że złota masa rozprysła się po stole.

Szybko zaczęła ją zbierać.

- Mówisz, głuptasie, jakbyś potrzebował pomocy w znalezieniu sobie partnerki. Jennifer Lansing od tygodni czeka cała wysztafirowana, żeby rzucić ci się w ramiona. Słyszałam też, że Zeńska Liga Młodzieżowa od pewnego czasu wybrała sobie hotel Cartwrighta za miejsce spotkań. Podobno wzrosła też liczba zapalonych golfistek. .

- Oj, Lacy! - zgromił ją wesołym głosem. - Nie musisz mi nikogo raić. Chcę umówić się z tobą.

- Och! - Z trudem stłumiła radosny śmiech. Nie powinna okazywać zadowolenia. Powinna powiedzieć "nie". Nie, nie, nie. - Kiedy? - powiedziała na głos.

-W sobotę.

- Przecież będę tam siedzieć przez cały dzień - odparła, chcąc zyskać na czasie. - Łatwo mnie znajdziesz.

-To za mało. Chcę się z tobą umówić. Nie ma nic smutniejszego jak chodzenie w pojedynkę po parku rozrywki. Kto będzie mi bił brawo, kiedy na strzelnicy zestrzelę wszystkie kaczki? Kto mnie pocieszy, kiedy nie trafię kółkiem w butelkę? Kto będzie mnie trzymał za rękę na diabelskim kole?

Lacy parsknęła śmiechem.

- Dobrze wiesz, że będzie na odwrót. Mam lęk wysokości.

- Owszem, wiem. I dlatego chcę się z tobą umówić. Jeśli pamięć mnie nie myli, trzymanie cię za rękę na diabelskim kole należało do moich najprzyjemniejszych obowiązków.

Zakręciło jej się w głowie od karuzelowych wspomnień: kolorowych świateł, wirujących wierzchołków drzew, pędu powietrza, ciepłych ramion. Powiedź nie, szeptała ta jej rozważna cząstka.

Zwycajnie otwórz usta i powiedz "nie".

- Zgoda - odparła. - Ale diabelskiego koła nie obiecuję.

Kiedy odkładała słuchawkę, trzasnęły wejściowe drzwi. Nie było to zwykłe trzaśnięcie niedbale zamykanych drzwi, lecz celowo wywołana eksplozja, od której zatrzęsł się cały dom.

Przysła Gwen. Przechodząc przez hol, rzuciła w głąb kuchni ponure, wściekle spojrzenie, po czym odwróciła się na pięcie, krzyknęła coś niezrozumiale, z głośnym tupotem nóg wbiegła na schody, wpadła do swego pokoju i z nie mniejszym hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi. Lacy spokojnie napełniła jajeczną masą kolejną foremkę. I jeszcze jedną. Znała wybuchy Gwen i nauczyła się na nie reagować. Przychodziły, a potem mijały. Gwen nigdy nie mówiła, co było ich przyczyną, a Lacy nigdy jej nie wypytywała. Jednak po paru chwilach ręka Lacy zawisała nieruchomo w powietrzu. Popatrzyła za okno. Poczula się niewyraźnie.

Z dawna wypróbowane role agresywnej pasierbicy i obojętnej macochy ni stąd, ni zowąd zaczęły jej doskwierać. Pierwszy raz uświadomiła sobie, że to, co się między nimi dzieje, bynajmniej nie jest jej obojętne. Wmawiała sobie tylko, iż tak jest - częściowo ze strachu, częściowo z niepewności, a także dlatego, że nie miała pojęcia, jak być matką zbuntowanej nastolatki. Łatwiej było odgrywać rolę obcej osoby.

Ale przecież nie były dla siebie obcymi osobami.

Stanowiły może kalekę, ale jednak rodzinę. A czy można sobie wyobrazić, żeby jakakolwiek

rodzina zachowała się obojętnie wobec tak widomych objawów rozpacz i gniewu, jakie chwilę temu zademonstrowała Gwen?

Oopowiedź sama się narzucała.

Tak, rodzina, jaką stworzył Malcolm.

Lecz Lacy nie należy do tego gatunku ludzi. Biedna Gwen też nie.

Lacy odłożyła kuchenne utensylia i wytarła ręce.

Gwen potrzebuje jej pomocy. Może niekoniecznie jej, ale tak się składa, że tylko ona jest w pobliżu. Trzaskanie drzwiami jest tego oczywistym sygnałem. Gwen zapewne przez całe życie trzaskała drzwiami z rozpaczliwej potrzeby wyrażenia uczuć, dla których nie znajdowała innego ujścia.

Lacy zdawała sobie sprawę, że jej wizyta w pokoju Gwen niechybnie wywoła awanturę. Gwen nie zechce z nią rozmawiać, odrzuci brutalnie chęć zbliżenia się, ale dowie się przynajmniej, że trzaskanie drzwiami nie uszło uwadze Lacy - że usłyszała nie tylko huk drzwi, ale i ukryte w nim wołanie.

I uwierzy, iż Lacy, oprócz której nie ma innej rodziny, nie jest obojętna na jej los.

Lacy poszła na piętro i zapukała cicho do drzwi pokoju pasierbicy.

- Czy mogę? - Gwen nie odpowiedziała. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc Lacy lekko je uchyliła. - Gwen, co się stało?

Dziewczyna siedziała po turecku na łóżku, oparta plecami o wezgłowie, trzymając na kolanach poduszkę. Z jej oczu płynęły łzy.

Lacy z trudem rozpoznała pasierbicę. Nie tylko dlatego, że miała twarz wykrzywioną płaczem. Wszystko było w niej inne.

Miała na sobie różową sukienkę. Nie była to jednak psychodeliczna różowość, ostry cynober czy inny zjadliwie jaskrawy odcień rodem z dyskoteki. Po prostu różową. Grzeczną różową sukienkę, zapiętą z przodu na rząd białych guziczków, z bufiastymi rękawami sięgającymi poniżej łokcia.

Taką, jaką dobrze wychowana panienka mogłaby włożyć, wybierając się na pierwszą wizytę do babci swego narzeczonego.

Włosy też miała w miarę uładzone i związane białą wstążką. I białe pantofelki na płaskim obcasie na nogach. I rajstopy! Lacy w życiu nie widziała Gwen w takim stroju, godnym dobrze wychowanej panienki z wyższych sfer, udającej się na swój pierwszy bal.

- Powiedz mi, co się stało. - Lacy nadal stała w drzwiach. Musi działać stopniowo. Gwen była wystarczająco zaskoczona samym jej widokiem.

- Co cię to obchodzi? - Gwen walnęła rękami w poduszkę, hamując łzy. - Idź stąd!

Lacy nie ruszyła się. Nie oczekiwała dobrego przyjęcia.

- Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

Gwen zaśmiała się, ale jej śmiech przypominał tłumione łkanie.

- Już dosyć dla mnie zrobiłaś, droga macocho. Aż za dużo. - Rzuciła Lacy przez łzy ponure spojrzenie.

- Przyznaj się, czy kiedy obsmarowywałaś mnie przed Tiną Seville, wiedziałaś, że wybieram się do niej na rozmowę? Zrobiłaś to umyślnie, żeby mnie nie zatrudniła, czy dla samej przyjemności obrzucenia mnie błotem?

Lacy w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć. Tyrada Gwen roiała się od pułapek. Musi się najpierw zorientować, o co w niej naprawdę chodzi.

Gwen najprawdopodobniej chciała się zatrudnić w prowadzonej przez Tinę szkole. Już samo to było zdumiewające. Pomijając tymczasowy angaż instruktorki pływania dla dzieci w hotelu Cartwrighta, Gwen, jeśli w ogóle szukała pracy, to nigdy w rodzinnym mieście, ale możliwie jak najdalej od niego. To jedno. Ale ze słów Gwen można było ponadto wywnioskować, iż Tina dała jej zrozumienia, że Lacy wyraziła się niepochlebnie o swej pasierbicy. Lacy zrobiło się gorąco. Rzeczywiście zadzwoniła przed tygodniem do Tiny, żeby spacyfikować starą babę, zirytowaną swawolnym zachowaniem się Gwen podczas charytatywnej gali na plaży.

Co ja wtedy mówiłam? - zastanowiła się Lacy. Ze Gwen jest jeszcze bardzo młoda. Często posługiwała się tym argumentem, wiedząc, iż ze względu na jej własny poważny sposób bycia ludzie zwykle zapominają, że jest zaledwie o pięć lat starsza od córki Malcolma.

Przyznała też, że Malcolm zganiłby zachowanie córki. Pamiętała również, iż Tina nazwała Gwen ulicznicą, na co Lacy ledwo zaprotestowała, bo myślała głównie o obiecanej przez Tinę dotacji na szpital.

Lacy poczuła palący wstyd. Zamiast starać się przypodobać tej jędzy, powinna była natrzeć jej uszu. A wszystko dla tego przekłętogo czeku. Sprzedała Gwen za trzydzieści srebrników.

- Masz przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby okazać zażenowanie - odezwała się Gwen z goryczą.

- Co i tak nic nie pomoże, bo Tina oświadczyła, że nie przyjmie mnie do pracy, choćby w całym mieście nie znalazła innej kandydatki. I że nie może zatrudnić dziewczyny, którą własna matka nazwała ulicznicą.

Lacy w pierwszej chwili chciała się bronić. To Tina tak powiedziała, a nie ona. Lecz co z tego? Moralnie czuła się winna. Tina rzuciła obelgę, a ona nie zaprotestowała. Nie stanęła w obronie Gwen, chociaż dobrze wiedziała, że ta nigdy nie zrobiła niczego naprawdę złego. Owszem, parokrotnie całowała się na oczach wszystkich z Teddym Kilgore'em i lubiła wyzywająco tańczyć. A raz, chcąc zrobić Tinie na złość, puściła za jej plecami oko do Daltona Seville'a i posłała mu całusa. Wszystko to jednak mieściło się w granicach bezinteresownych młodzieńczych psikusów. W gruncie rzeczy całkiem niewinnych. Tylko taka zasuszona dewotka jak Tina Seville mogła się nimi gorszyć.

- Bardzo cię przepraszam, Gwen - powiedziała Lacy. - Nie miałam pojęcia, że starasz się u niej o pracę. Szczerze mówiąc, jestem tym zaskoczona.

Wydawałoby się, że spośród wszystkich innych posad, o jakie mogłabyś zabiegać, ta jest. ..

- Najmniej zaszczytna? - wykrzyknęła Gwen, waląc z całej siły w poduszkę. - Poniżej moich możliwości?

Bo chcę zostać nauczycielką? Ja, z moim wychowaniem, z rodzinnymi tradycjami, i w ogóle? Ależ z ciebie kawał snobki! Całkiem jak ojciec!

Lacy zachmurzyła się.

- Nie wkładaj mi w usta słów, których nie powiedziałam. Nic podobnego nie miałam na myśli.

Chciałam tylko powiedzieć, że wybór nie wydaje mi się najlepszy. Do szkoły Tiny chodzą wyłącznie dzieci ludzi, których nazywasz zadufanymi snobami i dorobkiewiczami, i o których zawsze mówisz, że nie możesz ich znieść.

- Nic mnie nie obchodzi, kim są rodzice - odcięła się Gwen. - Dla mnie liczą się tylko dzieci. I tak tego nie zrozumiesz, bo nie cierpisz dzieci. Nigdy ich nie rozumiałaś i nigdy nie zrozumiesz!

- Jeszcze raz przepraszam - powtórzyła Lacy, przytłoczona tak bezpardonową niechęcią. A także świadomością, że Gwen ma rację. Rzeczywiście ani nie zna się na dzieciach, ani ich nie rozumie.

Tłumaczenie, że to dlatego, ponieważ nie dane jej było zdobyć doświadczenia, byłoby jedynie łatwą wymówką. Miała we własnym domu, w osobie Gwen, sposobność zdobycia potrzebnej wiedzy, ale z niej nie skorzystała.

- Chciałabym móc ci się odplacić za to, co mi zrobiłaś - powiedziała Gwen mściwie. - Chciałabym zniweczyć jakieś twoje marzenie, żebyś wiedziała, co się wtedy czuje, Tylko jak to zrobić, skoro ty nie masz żadnych marzeń? Myślisz tylko o pieniądzach, o pozycji, o tym, żeby być pieprzonką pieprzonego towarzystwa tej pieprzonej wyspy.

-Gwen ...

-Wynoś się - przerwała Gwen. W jej oczach znów zbierały się łzy. - Wyjdź z mojego pokoju I nie wąż się więcej do niego wchodzić.

Mówiła serio. Czowała do niej tylko nienawiść. Niczego od niej nie oczekuje. Lacy wycofała się pod ciśnieniem tej skoncentrowanej niechęci. Zamykając drzwi, zatrzymała się jeszcze i rzekła:

- Możesz mi nie wierzyć, ale jest mi naprawdę bardzo przykro. Nie miałam pojęcia, że chcesz pracować u Tiny Seville, słowo ci daję.

-Ale chciałam. - To mówiąc, Gwen z żalnym westchnieniem wtuliła głowę w poduszkę. - Byłam aż taką idiotką, że tego chciałam.

W sobotę Lacy na próżno rozglądała się za Gwen przez całe popołudnie.

Odkąd o dwunastej w południe park otworzył swoje podwoje, mieszkańcy wyspy schodzili się tłumnie, parami, całymi rodzinami, z braćmi i siostrami - wszyscy jednakowo spragnieni tradycyjnej rozrywki. Pełniąc funkcję kasjerki przy karuzeli, Lacy miała dobry punkt obserwacyjny.

Ale Gwen nigdzie nie było widać. Lacy dała w końcu za wygraną. Widocznie pasierbica jest nadal wściekła. Trzeba będzie znaleźć inny sposób na załagodzenie konfliktu. Może do jutra Gwen się uspokoi i pozwoli przemówić sobie do rozumu. Adam pojawił się o szóstej, kiedy Lacy kończyła dyżur przy kasie. O tej godzinie miała rozpocząć się ich randka. Lacy przez ostatnią, nieskończenie długą godzinę raz po raz zerknęła na zegarek. A on spóźnił się aż o pięćdziesiąt sześć sekund! Dostrzegła go w chwili, gdy podsadzała małą Becky Jared na siodło wielkiego, umajonego niebieskimi różami konia. Znad otoczonej rudymi jak marchewka loczkami dziecinnej główki posłała mu uśmiech. Kiedy go odwzajemnił, Lacy poczuła lekki zawrót głowy, jakby karuzela niespodziewanie ruszyła przed czasem.

Niedobrze. W mózgu Lacy odezwały się alarmowe dzwonki. Trzymaj się, pilnuj się, panuj nad sobą. Ale jak to zrobić? Tilly miała rację - jej wyrwane Z długiego snu uczucia nie dawały się uciszyć. Próba opanowania bicia serca na widok uśmiechu Adama była równie beznadziejna jak chęć powstrzymania wschodu księżyca, kiedy nad Pringle Island zapada noc.

Pogłaskała Becky po główce, włożyła jej lejce do rąk i zaczęła się przedzierać pomiędzy kolorowymi konikami w kierunku miejsca, gdzie czekał na nią Adam. Trzymał w rękach dwa hotdogi i ogromny pojemnik coca-coli, z którego wystawały dwie żółte słomki.

- Cześć! - powiedział na powitanie. - Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Popatrzyła na hot-doga. Był grubo pokryty musztardą, którą kiedyś tak lubiła. Ślinka napłynęła jej do ust.

- Od wieków nie jadłam hot-doga.

-To widać - skomentował z przyganą w głosie.

-A bo co?

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

-A to, że od czasów szkoły ubył ci od siedmiu do ośmiu kilo. To nienaturalne. - Podał jej hot -doga .. - Masz, jedz.

Dotyk jego ręki sprawił jej fizyczną przyjemność.

W rzeczywistości schudła tylko o sześć kilo. Niemniej był bliski prawdy, co

- Mniam, mniam - mruknęła, nadgryzając gorącą, soczystą bułkę z parówką.

Po pierwszym kęsie wiedziała, że zje ją do końca. - Starczy mi to za kolację - oświadczyła. - I tak wyczerpię dopuszczalną dawkę kalorii na najbliższe ... chyba dwa miesiące. W każdym razie dzisiejsza randka nie będzie cię dużo kosztować.

- Zasłużyłem na obniżkę - powiedział z uciechą. - Nie uwierzysz, jak ci powiem, ile wydałem tydzień temu, żeby zjeść z kobietą kolację.

- Pozwól mi zgadnąć. - Lacy przełknęła kolejny kęs hot-doga. Smakował rajsko, odkąd odrzuciła poczucie winy, że je coś tak niezdrowego. -

Powiedzmy ... pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

- Dokładnie tyle. Zdumiewające, co? Dokonałem obliczenia i wyszło mi po trzysta dolarów za minutę. - Taniocha - mruknęła Lacy, nachylając się, by napić się przez słomkę coca-coli.

Karuzela zatrzymała się tymczasem i mała Becky wybuchła płaczem, szukając czyjejś pomocy. Jednakże Silas Jared wpatrywał się w Adama, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że powinien pomóc wnuczce zejść z konia.

- Cześć, Silas - powitała go Lacy. - To Adam Kendall. Myślałam, że już się znacie.

- Faktycznie. - Starszy pan lekko się skrzywił.

- Pan Kendall też musiał sobie zapamiętać moją dubeltówkę. I nóż. - Podał Adamowi czubki palców.

- Proszę dobrze traktować naszą Lacy, panie Kendall, bo inaczej będzie pan miał ze mną do czynienia.

Nim Adam zdążył zareagować, starszy pan oddalił się, idąc na ratunek wnuczce, której pochlipywanie przeszło tymczasem w głośny płacz.

- Uff! - westchnął Adam. - Mam wrażenie, że całe Pringle Island uznało cię oficjalnie za miejscowy zabytek klasy zerowej, Wszyscy nieustannie robią mi uwagi, jakbym zamierzał domalować Monie Lisie wąsy, W życiu tak mnie nie strofowano jak teraz.

- Czyżby? - zagadnęła figlarnie Lacy, oblizując upaprane musztardą palce. - A zapomniałeś, jak było w szkole? O tym, jak codziennie po lekcjach meldowałeś się w gabinecie pana dyrektora Bittnera?

- Stary poczciwy Bittner - zaśmiał "się Adam. - Co on dziś porabia?

-W tej chwili najprawdopodobniej straszy dzieci w nawiedzonym domu, udając ducha. Kiedy się zastanawialiśmy, kto najlepiej napędzi im stracha, jego nazwisko samo się nawinęło. .

Adam zaśmiał się z uciechy. - To znakomicie. Chodźmy.

Ujawszy Lacy za rękę, ruszył przez park, omijając stoiska i ludzi. W pewnym momencie Lacy wpadła na niego z tyłu, zaś Adam podniósł jej dłoń i obejrzał ją ze wszystkich stron.

- Pierścionek? Gdzie się podział twój pierścionek? Lacy zwinęła palce.

- Zostawiłam go w domu. - Wytrzymała jego pytające spojrzenie. - Żeby nie zgubić w tłoku. Tyle tutaj ludzi. Piasek pod nogami. Łatwo się o coś potknąć

...

Urwała, czując, że za długo się tłumaczy.

- Rozumiem - rzekł krótko, przesuając wolno dłonią po nieopalonej obwódce na jej palcu.

Następnie zaś, jakby o czymś upewniony, wziął ją z powrotem za rękę i poprowadził w kierunku nawiedzonego domu.

Szedł tak szybko, że musiała prawie biec, by za nim nadążyć. Zupełnie jak dawniej - on prowadzi ją za rękę, a ona podąża jego śladem. Krew coraz szybciej krążyła jej w żyłach - w rytm pospiesznych kroków, pod wpływem jego bliskości.

- Przepraszam, przepraszam. - Adam energicznie przebijał się przez tłum, ciągnąc za sobą Lacy.

Zewsząd ścigały ich zaciekawione spojrzenia. Początkowo Lacy spoglądała przeproszając, zastanawiając się, co też znajomi sobie pomyśla, widząc jej niezbyt godne zachowanie.

Aż nagle spostrzegła Jennifer Lansing, która stojąc koło stoiska dla psów, obserwowała ich wędrowkę z wyrazem najwyższej pogardy. Miała ściągnięte usta, zmrużone oczy, twarz niezadowoloną i skurczoną.

Brzydota tej twarzy zaparła jej dech. Czy ja też tak czasami wyglądam? - przebiegła Lacy przez głowę przerażająca myśl. Przestała się przejmować swoim niekonwencjonalnym postępowaniem o odczuwać skrępowanie, jeśli potrafiła kogoś, kto nie zdążył w porę usunąć się z drogi. Jesteśmy w



parku rozrywki w bezchmurną letnią sobotę, pomyślała. Wolno mi biegać, ile zechcę.

W pobliżu nawiedzzonego domu ujrzała zbliżającą się z przeciwka Tinę Seville. Na widok Lacy dama ta zatrzymała się nagle, jakby nie wierzyła własnym oczom, po czym skierowała się w bok, najwidoczniej zamierzając ominąć Lacy szerokim, łukiem.

Nieszczęsna Tina miała się przekonać, jakiego ma pecha, wchodząc Lacy w drogę w momencie, gdy ta wpadła w wojowniczy nastrój.

-Tina, poczekaj! - zawołała Lacy, wbrew swoim zwyczajom podnosząc głos do tego stopnia, że nawet Adam spojrział na nią zdziwiony.

- Słucham cię, Lacy. - Tina z wyrazem dezaprobaty lekko podniosła brwi. - Co się z tobą dzieje? . -

Nic szczególnego - odparła Lacy głosem trochę zdyszonym od biegu. - Dobrze, że cię widzę. Mam z tobą do pomówienia.

Tina dostojnym gestem wygładziła jedwabne spodnie od kostiumu, najwidoczniej trochę wymięte po bytności w nawiedzonym domu.

-Teraz? - zdziwiła się.

-Tak, teraz - zawyrokowała Lacy. - Mam do ciebie ważną sprawę. Chodzi o Gwen. Muszę ci powiedzieć, że nie pochwałam obraźliwych słów, jakich użyłaś wobec niej podczas rozmowy w sprawie pracy.

- Ja użyłam obraźliwych słów?

-Tak, ty. A co gorsze, włożyłaś je w moje usta. Powiedziałaś, że określiłam ją bardzo brzydkim słowem, jakie nigdy nie przysłoby mi na myśl.

Tina była wyraźnie zgorszona. O takich sprawach nie rozmawiało się publicznie. W ogóle nie należało ich poruszać, poza zupełnie wyjątkowymi sytuacjami. Lacy czuła wyraźnie obecność Adama, który stał tuż za nią, nadal ściskając jej dłoń. Musiał się świetnie bawić.

-Ależ moja droga - uniosła się godnością Tina. \_ Dobrze pamiętam, powiedziałam tylko, że zachowuje się jak ...

- O to mi właśnie chodzi - przerwała jej Lacy. - Ty to powiedziałaś. To były twoje słowa. Nie moje.

Mój błąd polegał tylko na tym, że puściłam je mimo uszu. Ale to się więcej nie powtórzy. Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy więcej nie pozwolę, abyś obrażała moją pasierbicę w mojej obecności. Uważam Gwen za bardzo inteligentną i dzielną młodą osobę, a twoje przedszkole wiele by zyskało, mając taką nauczycielkę jak ona, i jeżeli nie masz dosyć rozumu, żeby ją docenić, to mogę ci tylko wyrazić swoje współczucie.

Wyraz oburzenia, jaki odmalował się na twarzy Tiny, był wręcz komiczny.

-Ależ Lacy - wybąkała. - Lacy, co cię na Boga opętało? Chyba straciłaś rozum! Lacy ogarnęło niesamowite, radosne uniesienie.

Miała wrażenie, jakby po raz pierwszy od wielu, wielu lat mówiła własnym głosem, wyrażała własnymi ustami swoje własne myśli.

- Straciłam rozum? - powtórzyła, czując ciepły, dodający otuchy uścisk ręki Adama. - O nie, Tino.

Wręcz odwrotnie. Właśnie go odzyskałam.

U słyszała za plecami lekki chichot Adama. Tina oddaliła się sztywnym krokiem, unosząc z podniesioną głową swoją urażoną dumę.

- Świetnie się spisaliśmy - szepnął jej do ucha. Czy aby na pewno? Czy kiedy adrenalina zacznie opadać, nie ogarną jej wyrzuty sumienia, myślała, wsłuchując się w siebie. Sumienie jednak milczało. Przeciwnie - czuła, jak wstępuje w nią jakaś nowa: potężna siła.

- Dzięki za uznanie - powiedziała. - Dobrze mi to zrobiło.

-Wcale ci się nie dziwię - uśmiechnął się Adam.

-Ale myślę, że teraz możemy już zrezygnować z wizyty w nawiedzonym domu. Obawiam się, że po pokonaniu czarownicy nic więcej nie zdoła cię przestraszyć.

Minęły trzy godziny, zabawa w parku dobiegała końca, a Lacy czuła coraz wyraźniej, jak bardzo Adam się pomylił.

Bynajmniej nie wyzbyła się lęku. Wprawdzie uosabiane przez Jennifer czy Tinę nakazy dobrego wychowania straciły nad nią władzę, lecz na ich miejsce wychyły całkiem nowe, nie mniej silne strachy i obawy.

Ot, na przykład, w lęk wprawiały ją własne ręce, które jakby same z siebie wędrowały ku głowie Adama, przeczesując jego połyskujące w świetle księżycy włosy.

Albo ufność, z jaką przytulała się do jego boku, całkiem jak Hamlet, kiedy w poczuciu bezwarunkowego oddania układał się na noc w jej pościeli.

Bała się wreszcie drżenia, jakie przenikało jej ciało, ilekroć pochylając głowę, całował jej szyję, jej ramiona, wewnątrz jej dłoni. A on tymczasem obsypywał ją coraz liczniejszymi pocałunkami, które wraz z lękiem budziły pożądanie.

Najbardziej jednak bała się tego, że park stopniowo pustoszał.

Bała się zostać sam na sam z Adamem w tym rozświetlonym lampionami, wirującym parku, zasłanym kolorowymi strzępkami biletów i confetti.

Czuła, jak jego magia bierze ją w swoje posiadanie, budząc nieopanowane, przesycone erotyzmem, szalone pragnienia.

\_ Chodźmy. To ostatnia jazda. - Adam pociągnął ją w kierunku diabelskiego koła. Potężna konstrukcja górnym krańcem zdawała się sięgać czarno granatowego nieba. - Nie bój się, przy mnie nie spadniesz.

Wsiadła więc i koło poniosło ją w górę, ku gwiazdom. Czuła na twarzy chłodny powiew wiatru, obejmujące ją ramiona Adama, słyszała

nieopanowane bicie własnego serca. Popatrzyła w dół, w wirującą przepaść. A w niej ujrzała ...

Ujrzała siebie i Adama kochających się tu, na niebezpiecznie rozhuśtanym diabelskim kole; i niżej, na twardym grzbiecie karuzelowego konia; i dalej, w namiocie zabaw, między lustrami odbijającymi w nieskończoność ich nagie ciała.

Wizje znikły równie nagle, jak się pojawiły. Diabelskie koło zwolniło i stanęło. Ale wychodząc z metalowego siedziska, Lacy zdała sobie jasno sprawę, co napędza ją największym przerażeniem. Czuła, że zakochuje się na nowo ...

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Naprawdę nie musisz na mnie czekać - powiedziała, kiedy odchodzili od diabelskiego koła, gdzie mechanicy zaczynali wyłączać kolejne elementy urządzenia. Ich jazda faktycznie była ostatnia. Wszędzie jest pełno ludzi z obsługi. Nic mi się nie stanie.

- Daj spokój. - Adam objął ją ramieniem. Chcę z tobą zostać.

Nie opierała się. Ruszyli na obchód parku, wykonując praktyczne czynności. Sprawdzili, czy w toaletach nie zostali jacyś maruderzy i rzeczywiście spłoszyli dwóch wyrostków, którzy na ich widok uciekli, zaśmiewając się, w kierunku bramy.

Mimo napływającej znad Atlantyku mgły Lacy i Adam nadal obchodzili teren. Zajrzeli do stoisk z jedzeniem, upewnili się, czy maszyna do prażenia kukurydzy została wyłączona, a produkty schowane. Po drodze zbierali zapomniane swetry, zegarki, okulary i klucze, które zamknęli następnie w skrzyni rzeczy zgubionych.

Zarazem jednak przez cały czas raz po raz zbliżali się do siebie. Ich ręce niby przypadkiem spotykały się na stole. Pod drzewem wymienili szybki pocałunek. W takt grającej jeszcze, choć już wyłączonej karuzeli, odtańczyli parę taktów walca.

Każde nowe dotknięcie czy pocałunek trwały dłużej niż poprzednie. Ręce Adama stawały się zaborcze. Lacy czuła narastające podniecenie. Jeżeli to potrwa jeszcze trochę dłużej, to...

Kiedy mijali namiot cudów, Lacy, pod wrażeniem swojej wcześniejszej wizji, o mało nie weszła do środka. Zakreśliło się jej w głowie na myśl o lustrach odbijających w nieskończoność ich miłość. Chciała zapomnieć o istnieniu granicy oddzielającej rzeczywistość od fantazji. Ale Adam szedł dalej.

Otaczała ich coraz gęstsza, wirująca mgła. Od bramy parku dzieliło ich nie więcej niż sto metrów.

-Adam - odezwała się.

-Tak? - Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

- Pragnę cię - powiedziała. - Chcę się z tobą kochać. Teraz. - Wzięła głęboki oddech. - Tutaj.

Dotknął jej twarzy.

-Wiem, kochanie - odparł cicho. - Wiem. Znowu ujął jej dłoń i pociągnął za sobą biegnącą w dół, boczną ścieżką pod wiązami. W gałęziach drzew migotały podobne skrzatom odbłaski światła.

Miękka trawa i osnuwająca wszystko mgła tłumili odgłos ich kroków.

W pewnym momencie Lacy straciła orientację.

Nie wiedziała, dokąd Adam ją prowadzi. Dopiero gdy, z mgły wyłoniły się czerwone, płonące światła w kształcie serca, pojęła, dokąd dotarli.

Znajdowali się u wejścia do Tunelu Miłości. Neonowe serce było dosyć prymitywne, a nawet brzydkie. Teraz jednak wydało jej się magicznym znakiem przywołującym ich ku sobie z oparów mgły.

Adam przystanął pod neonowym sercem, które oświetliło jego twarz różowym blaskiem. Silna, piękna, znajoma twarz. Dotknęła ręką jego torsu, jakby chciała się upewnić, czy naprawdę istnieje.

- Lacy... - W jego głosie brzmiało napięcie i czułość. - Czy jesteś tego pewna? Gdyby ktoś nas przyłapał. .., Możesz sobie wyobrazić, co by się działo?

- Jestem pewna.

- Ktoś może nas zobaczyć - powtórzył. - Awanturę z Tiną Seville ostatecznie puszczą ci płazem. Ale gdyby ... - Mimo mgły dostrzegła na jego twarzy cień figlarnego uśmiechu. - Obawiam się, że po czymś takim straciłabyś status czczonej przez całe miasto relikwii.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Wiedziała, co mówi. Nie chce być relikwią, zabytkiem, statua. Nie dziś, Nie z nim. I nie jest własnością miasta. Należy do Adama. Zawsze należała do niego.

- Nic mnie to nie obchodzi - powtórzyła. - Chcę się z tobą kochać.

Weszli do tunelu. Początkowo posuwali się przyćmioną alejką, której bieg wyznaczały różowe światełka po obu stronach. Dotarli nią do przycumowanych wokół niewielkiej przystani stłoczonych, tajemniczych łódek, które zdawały się czekać na widmowych gości, mających się tu zjawić po "Odejściu zwiedzających park tłumów. Lacy nigdy tu nie była. Park do niedawna znajdował się w ruinie. Teraz jednak mogła się przekonać, iż wnętrza łodzi są wyposażone w szerokie i miękkie, wyściełane czerwonym aksamitem siedzenia w kształcie serca, tworzące prawdziwie miłosne gniazdko. Ich widok wywołał w wyobraźni Lacy kolejną wizję erotycznych rozkoszy. Poczula słabość w kolanach i z całej siły ścisnęła rękę Adama. Zwrócił ku niej oczy, w których malowało się to samo nieme pytanie.

- Jestem pewna - powtórzyła kolejny raz, po czym wpatrzyła się jak zaczarowana w kołyszące się łodzie. - Jestem tak pewna, że ledwo mogę oddychać.

Podniósł jej dłoń do ust i złożył na niej długi pocałunek, pieszcząc wargami miejsce na palcu, z którego znikł ślubny pierścień Malcolma.

Potem pomógł jej wsiąść. Łódź zachybotała pod ich ciężarem, by po chwili odzyskać równowagę.

Poruszona woda cicho pluskała o burty.

Posadziwszy Lacy na ławce, Adam ukląkł przed nią i powoli zaczął ją rozbierać - ale niezupełnie.

Obnażał jej ciało rozważnie i z namysłem, wykazując tę samą zdolność przewidywania ewentualnej ucieczki, jaka weszła mu w krew przed laty, kiedy mogli się spotykać tylko po kryjomu, wykradając losowi krótkie chwile samotności, zawsze pod groźbą wykrycia. Lacy miała na sobie zapinaną od góry do dołu, długą letnią suknię. Adam rozpiął górne guziki, odsłaniając piersi. Następnie sięgnął w dół, uwalniając spod sukni biodra, potem zsunął suknię z ramion aż po łokcie i rozpiął zapinany z przodu stanik, i na koniec powolnym ruchem, podrażniającym wszystkie jej nerwy, ściągnął majteczki. Jako jedyna osłona pozostały trzy nadal zapięte w pasie guziki sukni. Reszta należała do niego.

- Masz tak delikatną skórę! - wyszeptał. - Wiedziałem, że taka jest. Dobrze pamiętałem. Anielsko delikatną.

Pragnienie zapierało Lacy oddech w piersi. Lecz Adam nie spieszył się, jakby chciał wpięrowo rozpoznać nowo każdy kawałek jej ciała, wodząc dłońmi po jej ramionach i szyi, potem znów biorąc w ręce obolałe i nabrzmiałe piersi. Wreszcie schylił głowę, przesuwał wargami w dół po jej ciele. Przeszedł ją nagły dreszcz. Zamknęła oczy. W ciągu długich lat obojętności i chłodu zapomniała, że tak może być. Omdlewała z poczuciem ulgi, iż jej ciało pamięta i nadal wie, co robić.

- Odpręż się - powiedział cicho, jakby w' obawie, że zjawy z sąsiednich łodzi mogą ich usłyszeć. Połóż się.

Posłusznie spełniła polecenie, opierając nagie ramiona na aksamitnym obiciu siedzenia, a ręce opuszczając bezwładnie wzdłuż ciała. Adam delikatnie rozsunął jej nogi, kładąc je na swoich ramionach. A potem znów pochylił głowę.

Czy przedtem w tunelu panowały ciemności? Bo pod powiekami Lacy wybuchły nagle race szalejących barwnych świateł. Jego wargi były gorące. Lacy cała się sprężyła, zaciskając ręce na otaczającej siedzenie barierce, jakby się bała, że siła własnego pożądanego wyrzuci ją za burtę. Adam wyprostował się. Lacy w niemym proteście pokręciła głowę i zacisnęła uda, usiłując go

zatrzymać. Była tak blisko - tak blisko absolutnego, cudownego jak tęcza wyzwolenia, jakiego od dziesięciu lat nie było jej dane doznać. Nie może jej tego pozbawić.

Odgarnął jej włosy z czoła, szepcząc czule słowa.

Poderwawszy się z siedzenia, ujrzała, że Adam zdążył tymczasem zdjąć dzinsy. Co więcej, miał przygotowaną prezerwatywę. Najwidoczniej minione lata czegoś go nauczyły. A ją? Gdyby nie jego przezorność, czy umiałyby się teraz powstrzymać? Czy też - jak dziesięć lat temu - oddałyby mu się bez zastanowienia, szukając rozkoszy, jaką mógł jej dać, nie myśląc o konsekwencjach?

-Adam, pospiesz się - błagała rozpaczliwie. Pragnę cię. Muszę cię mieć.

Był gotów. Przyciągnął ją do siebie i jednym szybkim ruchem odwrócił ich pozycje. Łódź zachybotowała

się i oto nagle - Lacy nie bardzo wiedziała, jak to się stało - Adam pół siedział, pół leżał na aksamitnym obiciu ławki, a ona dosiadała go, wparta kolanami w wyściełane obicie, z odrzuconą do tyłu, porozpinaną suknią.

Wsunąwszy ręce pod suknię, uniósł ją, pozwalając odnaleźć to, czego szukał. Lecz choć drżał cały od hamowanego pożądania, nie usiłował jej niczego narzucić. Chciał, by sama zdecydowała, kiedy i jak ma to nastąpić.

Brała go w siebie powoli, centymetr po centymetrze, z rozmysłem opóźniając i przedłużając bliską torturze rozkosz. Wsluchiwała się Z zapartym tchem w rytm pulsującej w ich żyłach krwi. Poruszyła biodrami. Adam westchnął. Bała się powtórzyć ruch. Była zbyt blisko kresu. Chciała, by ten rajski moment trwał w nieskończoność. Zanim przedtem się bała, że do tego nie dojdzie albo że on będzie musiał dokonywać cudów, aby jej przywrócić zdolność odczuwania rozkoszy. A tymczasem miała ją w zasięgu ręki, jak dojrzałe jabłko, gotowe spaść za pierwszym podmuchem wiatru.

-To nie może być aż tak łatwe! - szepnęła zdumiona.

Uniósł się, ujmując jej piersi w obie dłonie.

- Kiedy jest tak jak być powinno, musi być łatwe, kochanie.

-Ale po tylu latach ... - wyszeptwała, odrzucając głowę do tyłu z rozkoszy.

-Tego, co jest między nami, nic nigdy nie zmieni. - Opuścił ręce na jej biodra.

- Obejmij mnie,

Lacy. Pokażę ci, jakie to łatwe.

Skąd miał tyle siły? Nie wiedziała, czy to jego cudowne ręce, czy lędzwie wprawiają jej biodra w ruch. Czowała tylko szalone, przenikające ją do głębi napięcie, bez żadnego z jej strony wysiłku.

Jakby fruwała, wyrzucana silnymi pchnięciami, coraz wyżej i wyżej ku czarnemu niebu.

To nie może trwać, a jednak trwało. Siłą swego cudownego ciała prowadził ją w górę do bram raju, aż chciała wołać w uniesieniu, że pragnie runąć z powrotem w dół. Wczepiła ręce w jego ramiona, krzycząc, błagając o zmiłowanie, ocierając się piersiami o jego tors. Adam wykrzyknął jej imię, jego ciało wyprzeżyło się, ruchy stały gwałtowne, a jej biodra oszalały. Przez długą chwilę byli tylko jednym miarowym ruchem. W strząsana pchnięciami łódź rozkołysała się, kołysał się cały świat.

A potem nastąpiło długie, powolne, bezwładne spadanie w głąb rozświetlonego iskrami czerwonych świateł tunelu. Kiedy było po wszystkim, opadła bezwolnie na jego ciało i długo leżeli bez słowa, słysząc jedynie głośnie bicie swoich serc.

- Dziękuję - szepnęła, odzyskawszy oddech.

Wsunęła mu rękę pod koszulę, muskając palcami z upodobaniem jego gładki, rzeźbiony tors. Dziękuję za to, co mi zwróciłeś.

- Nie musiałem ci niczego zwracać - odparł, głaszcząc ją czule po włosach. - Zawsze to miałaś. Już jako osiemnastolatka wiedziałaś wszystko, byłaś samą zmysłowością. Nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ty. - Z jego gardła wydobył się jęk niemal zwierzęcego zadowolenia. - Doprowadzałaś mnie do szaleństwa. W ciąż za tobą szaleję.

Nie uszła jej uwadze aluzja do innych kobiet, lecz przeszła nad tym do porządku dziennego. Nie będzie myśleć o tym, co robił przez dziesięć długich lat, które ona spędziła w zimnym, niewolniczym uzależnieniu od Malcolma. Zamiast tego otarła się delikatnie o ciało Adama.

Raz to za mało. Jej i Adamowi jeden raz nigdy nie wystarczył.

W jednej chwili wróciły wspomnienia. Usłyszała, jak by to było dziś, rozradowany śmiech Adama, kiedy pierwszy raz zdał sobie sprawę, o co jej chodzi. Zawstydziała się wtedy i odwróciła głowę, lecz Adam błyskawicznym ruchem przewrócił ją na brzuch, gotów natychmiast zaspokoić jej pożądanie w nowy, niezwykły sposób. "Nigdy nie wstydź się mówić, że chcesz jeszcze", powiedział wtedy. "Uwielbiam kochać się z tobą, ile razy zechcesz, na każdy sposób, jaki tylko przyjdzie ci do głowy. Pamiętaj, Lacy. Nigdy nie mam cię dosyć."

Ośmielona wspomnieniem otarła się o niego ponownie, mając nadzieję, że Adam czuje to sarno co ona. Chciała więcej, o wiele więcej. Ma tyle lat do odrobienia.

- Nie zapominaj, że nie mam już osiemnastu lat - mruknął. Lecz jego ciało mówiło co innego. Czuł to co ona. Ich pożądanie znów zaczęło narastać. Nagle usłyszeli jakiś hałas. Ktoś pogwizdywał. Najwyraźniej u wejścia do Tunelu Miłości.

- Och nie! - jęknęła Lacy, opierając głowę na jego ramieniu. - Zrób coś, żeby sobie poszedł.

- Mam nadzieję, że to nie Silas Jared ze swoim nożem - zażartował Adam. Jednakże pogwizdujący mężczyzna nie odchodził. Gorzej, gwizdanie zbliżało się. Na pewno ktoś z obsługi. Przyszedł, żeby umocować łodzie i pogasić światło, myślała zawiedziona Lacy.

Podniosła się, chociaż fizyczne oderwanie się od Adama kosztowało ją wiele wysiłku. Naciągnęła na ramiona sukienkę, której Adam przezornie nie rozpiął do końca, i nieporadnymi palcami, które dziwnie nie chciały jej słuchać, zaczęła zapinać guziki. Nagle w tunelu zapaliły się wszystkie światła. Lacy z przestrachem spojrzała na Adama, który właśnie dopinał spodnie. Zebrał szybko i podał Lacy jej bieliznę.

- Co wolisz? - zapytał. - Stawisz intruzowi czoło, czy chcesz ratować twarz?

- A myślisz, że uda się ją jeszcze uratować?

- Można spróbować. Idź pierwsza. Jeżeli jest dżentelmenem, odprowadzi cię do samochodu. Wtedy postaram się wymknąć. Przy odrobinie szczęścia, może się udać.

Zawahała się. Nie chciała go zostawiać, nawet dla ratowania swojej opinii.

Ale głos się zbliżał.

- Idź - przynaglił ją Adam. Pocałował ją ostatni raz. - Do jutra?

- Do jutra - przytaknęła dzielnie, zbierając się na odwagę.

Po czym wysunęła głowę z sercowatego wnętrza łodzi i, ku zdumieniu pracownika parku, który stanął i patrzył na nią osłupiały, wysiadła bez pośpiechu na pomost.

- Jak to dobrze, że pana widzę - rzekła spokojnie, korzystając z ugruntowanej długim doświadczeniem umiejętności zachowywania spokoju niezależnie od okoliczności. - Czy byłby pan tak miły i odprowadził mnie do samochodu? Adam wjechał na hotelowy parking bez pośpiechu. Jego myśli wciąż krążyły wokół tego, co zdarzyło się w parku między nim a Lacy. Wciąż i wciąż na nowo przeżywał każdą chwilę.

Trzeba jednak zaparkować samochód. Mgła była gęsta, nawet tu, w głębi wyspy. Musi uważać, żeby kogoś nie potrącić. Już, już miał zająć wolne na pozór miejsce, gdy zobaczył stojący w poprzek motocykl, który blokował dwa sąsiednie stanowiska.

Pewnie wehikuł Gwen, pomyślał, ubawiony raczej niż zirytowany. W Pringle Island nie brakowało motocykli, szczególnie latem, lecz żaden z nich nie był aż tak podrapany i poobijany jak jej. Była rekordowo złym kierowcą.



Co Gwen robi tutaj po północy? Od dawna nie mieszka w hotelu. Co za głupie pytanie. Od przeszło tygodnia przypuściła na Trávisa wzmożony atak. Może dziś zdecydowała się na ostateczny ruch: szach, i mat.

Szkoda. Adamowi nie chciało się spać. Liczył na to, że wyciągnie Trávisa do baru na drinka albo przejrzy z nim na nowo spis oferowanych na sprzedaż posiadłości. Może dziś łatwiej mu będzie dokonać wyboru - czuł wzmożoną chęć osiedlenia się na Pringle Island.

Ale jeżeli Travis jest z Gwen, będzie się musiał zadowolić własnym towarzystwem. Może zresztą i lepiej? Bo chociaż normalnie nie nosił serca na dłoni, czuł, że jest zbyt podniecony, by móc rozmawiać o czymkolwiek prócz Lacy. Po paru kieliszkach gotów popaść w nieopanowane gadulstwo, rozprawiając bez opamiętania o łódkach i aniołach, cudach i hot-dogach, i Bóg wie o czym jeszcze.

Lepiej pobyć trochę w samotności i pozbierać myśli. Odebrawszy z recepcji pocztę, powędrował do baru, a stamtąd, ze szklanką whisky w ręce, wyszedł na otaczający basen taras.

Basen zamykano o północy, toteż miał taras do swej wyłącznej dyspozycji. Usadził się na jednym z wielu wolnych leżaków i zapatrzył w szmaragdowy prostokąt wody, nad którą unosiły się srebrzyste strzępki mgły. Kiedy tak patrzył, wyobraził sobie, jak byłoby cudownie kochać się z Lacy w połyskliwej wodzie basenu.

Z miłego rozmarzenia wyrwał go stukot wysokich obcasów. Cholera! Nie miał gdzie się schować, nie miał też ochoty wdawać się w konwencjonalne pogaduszki z jakąś spragnioną flirtu kobietą.

Trzeba będzie się zabrać i gdzie indziej szukać ujścia dla swoich erotycznych fantazji.

- Nareszcie cię znalazłam!

Kobieta była tak blisko, że mimo mgły rozpoznał burzę jasnych włosów, nie mówiąc już o przepasanej żółtą szarfą minisukience w kolorze winogron. To była Gwen.

- Facet w recepcji powiedział mi, gdzie jesteś. Czekał na ciebie co najmniej od dwóch godzin.

Gdzie się podziewałeś? Myślałam, że ta głupia zabawa w parku skończył się o dziesiątej.

Wydoskonalony przez wieloletnie obcowanie z kobietami wewnętrzny czujnik podpowiedział Adamowi, że zbliża się wybuch. Gwen była napięta jak struna, głos miała ostry, usta ściągnięte. Znajomość kobiet w ogóle, a tej kobiety szczególnie, nie pozwalała wątpić o nieuchronnej burzy. Nie wziął sobie tego zbyt do serca. W końcu Gwen była z natury wybuchowa. Porzuciwszy z

żalem zamiar salwowania się ucieczką, opadł z powrotem na leżak, gotowy zrobić, co się da, dla spacyfikowania młodej dziewczyny.

- Bardzo mi przykro - odparł. - Nie wiedziałem, że na mnie czekasz.

Pomagałem Lacy zrobić obchód parku po zabawie.

Wybrał chyba niewłaściwą odzywkę. Gwen wydała z siebie pogardliwe parsknięcie, przekładając z ręki do ręki jakiś okazałych rozmiarów pakiet.

- Obchód parku? Tak to się teraz nazywa? A to dobre!

Co ona tam ma? Ścisnęła to coś w rękach, jakby to była bomba. Przyjrzał się dyskretnie tajemniczemu przedmiotowi. Wyglądał na brązową urzędową kopertę, wypchaną papierami. I skąd u niej aż tyle agresji? Na początku ich znajomości najwyraźniej próbowała go podrywać.

Musiał się nieźle wysilić, żeby ją do tego zniechęcić, nie raniąc jej uczuć. Sądził, że mu się udało.

Bez urazy skierowała swoje zapędy na Trvisa.

Więc co to ma znaczyć? Może za dużo wypila? Gwen tymczasem przypatrywała mu się z wyrazem obrzydzenia twarzy.

- Przyznam się, że bardzo się na tobie zawiodłam

- oświadczyła. - Kiedy się pojawiłeś, udawałeś mocnego faceta z przeszłością, który wie, jak się zabrać do rzeczy i raz dwa przeleci dawną kochankę. Ale ja wiedziałam, że to nie takie proste. No i co? Nie upłynął miesiąc, a już łasisz się do niej jak te wszystkie pieski.

- Muszę stanowczo zaprotestować - odparł żartobliwie. - Ja nigdy się nie łaszę.

- Gadaj zdrow! Łasisz się, aż chce się rzygać. J ak oni wszyscy. - To mówiąc, opadła na sąsiedni leżak, odkładając wypchaną kopertę na dzielący ich stolik.

- Ale idę o zakład, że się opamiętasz, jak sobie to przeczytasz.

Coś go tknęło. Popatrzył na kopertę, lecz nie sięgnął po nią.

Co to takiego?

- Testament mojego ojca. - Gwen wyzywająco założyła nogę na nogę, odsłaniając uda w całej ich okazałości. - Myślę, że cię zainteresuje.

- Niby dlaczego? - spytał, mierząc ją wzrokiem.

- Bo można się z niego sporo dowiedzieć na temat Lacy. Jaka jest naprawdę. Są tam rzeczy, o których powinienes wiedzieć.

- Przecież wiem, że odziedziczyła po nim mnóstwo pieniędzy. - Zawahał się. - Podobnie jak ty. Czy to znaczy, że jesteś złym człowiekiem?

Gwen znacząco podniosła brwi.

- Fajnie, ale może nie wiesz, jakim sposobem doszła do swoich pieniędzy?

Adam wołał o tym wszystkim nie myśleć. Poczul gwałtowną niechęć do tej rozzłoszczonej dziewczyny, która koniecznie chciała się grzebać w dawnych brudach. Myśl, że Lacy była kiedyś żoną Malcolma Morgana, nigdy nie będzie mu miła, ale zdołał się już z nią pogodzić. Chciał nad tą sprawą opuścić zasłonę.

-Tego, rzecz jasna, nie wiesz - podjęła - bo nie widziałeś jego testamentu. - Czubkiem pomalowanego na pomarańczowy kolor paznokcia pchnęła ku niemu kopertę. - Który, jak myślę, powinien cię zainteresować.

-To są moje sprawy i nie mam ochoty się w nie wdawać - odparł zimno. - Jestem tylko ciekaw, dlaczego tak ci zależy na tym, żebym go przeczytał?

Gwen zaśmiała się nieprzyjemnie, a jej śmiech rozszedł się echem po basenie.

- Owszem, to są twoje sprawy, i powinny cię obchodzić. Nawet bardzo, Adamie. Pomogę ci. W języku prawniczym brzmi to zawile, lecz ja wyłożę ci rzecz po prostu. - To mówiąc, złożyła ręce na piersi i odchrząknęła, najwidoczniej szykując się do wygłoszenia dłuższego przemówienia.

- Otóż było tak. Lacy była w ciąży, kiedy mój ojciec się z nią ożenił. Namawiał ją, żeby pozbyła się dziecka, ale ona z początku nie chciała się na to zgodzić. Wobec tego ojciec zmienił testament. Napisał, że Lacy nie odziedziczy po nim ani grosza, jeżeli w ciągu roku od ich ślubu urodzi dziecko.

Gwen przekrzywiła głowę, sprawdzając efekt swoich słów.

- Miała nie dostać ani grosza. Kapujesz? Ale po zmianie testamentu nagle wszystko się zmienia. Było dziecko. .. nie ma dziecka.

Patrzył na nią przez długą chwilę. Oczy Gwen błyszczały w światłach patio, a on pomyślał nagle, że powoduje ją zapiekły gniew. Albo ból. Może zniecierpliwiona Lacy za to, że kiedyś była gotowa ją pokochać.

Było to zjawisko aż za dobrze mu znane. Odrzucona miłość przeradza się w nienawiść. Sam przeżył podobną metamorfozę.

- Słuchaj, Gwen - odezwał się. - Daj temu spokój. Nie wierzę, żebyś naprawdę chciała skrzywdzić Lacy, rozpowszechniając takie podłe plotki. Zastanów się dobrze, mogłaś coś źle zrozumieć.

- Źle zrozumieć? - Gwen gwałtownie poderwała się z leżaka. - Dobrze wszystko rozumiałam. Nie

zapominaj, że to się działo na moich oczach. Nikt, oczywiście, niczego mi nie mówił - byłam tylko niepotrzebnym, utrapionym dzieckiem - ale słyszałam, jak się kłócili. Dziś pewnie trudno w to uwierzyć, ale wtedy Lacy często płakała.

Adam jęknął mimo woli.

- Oj tak, nie było wesoło - zgodziła się Gwen.

- Ojciec umiał przykręcać śrubę. Zaczęło się od luźnych sugestii. Zeby pomyślała, czy nie byłoby lepiej pozbyć się ciąży. A potem zaczął naciskać. To była jego metoda. Najpierw próbował po dobroci skłonić człowieka do uległości, ale jak tylko napotkał na opór, natychmiast robił się nieprzyjemny. No i odwołał się do prawnika.

Adam nie był w stanie wydobyć głosu. Miał wrażenie, że się dusi.

- Nie musisz mi wierzyć na słowo - ciągnęła Gwen. - Przeczytaj testament. Jeśli myślisz, że coś sfałszowałam, sprawdź u notariusza. Mają w archiwum oryginał testamentu - czarno na białym.

Po tych słowach Gwen odwróciła się, by odejść, najwidoczniej przekonana, że Adam połknął przynętę i kiedy ona odejdzie, będzie się wił jak ryba schwytana na wędkę. Na wszelki wypadek zatrzymała się jeszcze po paru krokach i dorzuciła:

- Zastanów się tylko, bo chyba umiesz myśleć.

Gdyby urodziła dziecko, nic by nie dostała. No a co dziś mamy? Mamy bogatą wdowę, a dziecka nie ma. Jasne, no nie?

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lacy stała w ogrodzie za domem, ścinając stokrotki i ostróżki do wazonu w holu. Hamlet czał się nieopodal w trawie, uprawiając swoje ulubione polowanie na wymaginowaną ofiarę.

Powinna była pojechać do szpitala. Od wielu lat każde niedzielne popołudnie poświęcała pracy. W wolny dzień, w ciągu kilku godzin mogła zrobić więcej niż przez pięć pozostałych, wypełnionych najrozmaitszymi zajęciami dni tygodnia.

Dziś jednak nie miała ochoty siedzieć w zamkniętym biurze. Świeciło słońce, a powietrze pachniało morzem. Wydawało jej się, że jeśli nastawi uszu, usłyszy szum fal uderzających o brzeg oddalony o dwie mile od jej domu.

O tak, nie wytrzymałaby dzisiaj w zamknięciu.

Była podniecona, rozgorączkowana, cudownie pełna życia. Bliższe jej było towarzystwo unoszących się nad jaskrami motyli niż kobiet i mężczyzn, którzy przemierzali szpitalne korytarze, z zaafowanymi minami sprawdzając karty choroby.

A ponadto... spodziewała się telefonu Adama. Spojrzała w kierunku ganku za domem, gdzie na balustradzie umieściła przenośny aparat. Na pewno zadzwoniłaby moment. Tymczasem jednak ścinała żółte stokrotki i starannie układała je w koszyczku.

W chwili, gdy pomyślała, że wejdzie do domu, by wstawić kwiaty do wody, skrzypnęła furka przed domem. Na widok oświetlonej promieniami słońca twarzy idącego w jej kierunku Adama ścisnęła świeżo ściętą ostróżkę tak mocno, że o mało nie złamała kruchej łodyżki.

-Adamie! - zawołała, oblewając się rumieńcem, jakby sam dźwięk jego imienia niósł erotyczne podteksty. Uśmiechnęła się, czując nie znane od lat zawstydzenie. - Czekałam na ciebie!

On jednak zatrzymał się w odległości kilku metrów od niej. Poczula zdziwienie i zawód. Spodziewała się, że na powitanie weźmie ją w ramiona, ale Adam stał sztywno i ani się ruszył.

- Przyszedłem, żeby się pożegnać - powiedział.

Jego głos brzmiał obco.

Zmarszczyła lekko brwi, niepewna, czy dobrze go usłyszała.

- Wyjeżdżasz? Dokąd?

- Muszę wracać do Nowego Jorku - odparł sucho. - Już i tak za długo tutaj siedziałem, dłużej niż miałem w planie.

Nad ogrodem przesunęła się smuga cienia.

- Wracasz do Nowego Jorku ... na stałe?

- Tak. - Pochwyciła jego spojrzenie, ale oczy miał jakby nieobecne, nie potrafiła z nich nic wyczytać.

- W każdym razie na pewien czas. Spędziłem w Nowym Jorku ostatnie trzy lata, więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu, oczywiście po wyjeździe z Pringle Island. Może ,czas przenieść się gdzie indziej. Zresztą zobaczą ... Musiała bezwiednie zacisnąć palce, bo łodyżka . pękła i kwiat ostróżki zwisał bezwładnie.

- Ale Adamie, po tym, co wczoraj ... co ja ... co my ...

- Muszę cię przeprosić za to, co było wczoraj - przerwał jej brutalnie.

Pierwszy raz w jego oczach błysnęło jakieś uczucie. Był w nich smutek i bezmierne znużenie, jak po nieprzespanej nocy. - Nie powinienem był do tego dopuścić.

Poczula w sobie iskierki strachu. Wyglądał tak poważnie. Tak nieszczęśliwie. Skąd w nim ten nagły smutek, to napięcie? Dlaczego ich miłosny wieczór nie natchnął go radością życia, tak jak ją?

- Ale dlaczego, Adamie? - Podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. - Czyż to, co między nami zaszło, nie było cudowne?

- To była pomyłka - odparł, odwracając oczy. Poczula, że sztywnieje. Nie chciała tak reagować, lecz siła przyzwyczajenia była zbyt silna. Czula, jak jej twarz zmienia się w chłodną, opanowaną maskę.

- To nie jest odpowiedź. - Pochyliła się nad koszykiem, wrzucając do niego złamany kwiat, po czym wyprostowała się i spojrzała mu w oczy. Dlaczego uważasz to za pomyłkę?

Przymknął oczy, jakby raz było go słońce.

- Ponieważ wyjeżdżam - odparł wolno. - Ponieważ to, co się stało wczoraj, było tylko przygodą jednej nocy - może nawet cudowną ... Przygoda jednej nocy. Co za okropne słowa.

Wczoraj tak nie było. Wczoraj czuła się kobietą upragnioną i umiłowaną. Czula się kochana.

Czy mogła aż tak się pomylić? Wykazać aż taką naiwność?

- Czy mam przez to rozumieć - odezwała się z udawanym spokojem - że przyjechałeś tu z określonym zamiarem, po to, żeby mnie uwieść i pozostać tylko tyle czasu, ile będzie trzeba dla osiągnięcia tego celu?

- Przepraszam - powiedział znużonym głosem.

- Niech będzie, że jestem łajdakiem. A teraz pożegnajmy się, dobra?

Jeszcze miesiąc temu tak by postąpiła. Uprzejmie skinęłaby głową i unosząc swój koszyk z kwiatami wycofała się do domu, aby następnie pogrzebać w wirze pracy wszelką myśl o nim.

Zaczęłyby zbierać kolejny milion dolarów na kolejny szlachetny cel. Może tym razem na fundusz pomocy porzuconym kobietom.

Ale nie dziś. Dziś nie jest już posłusznym manekinem, przybierającym dla przyjemności widzów

takie albo inne pozy, gotowym stłumić każdy cień emocji, bo po prostu tak jest wygodniej. Na litość boską, ma ostatecznie prawo żądać, wyjaśnienia, i robi to. Nie ma zamiaru ułatwić mu wykręcenia się sianem.

-To nieprawda - powiedziała. - Wczorajszy wieczór nie był przygodą jednej nocy. Był początkiem czegoś ważnego. Od wczoraj musiało się coś stać, co zmieniło twoje nastawienie. Mam prawo wiedzieć, co się wydarzyło.

Ale on milczał. Ból i gniew dodały jej odwagi.

Ponownie chwyciła go za ramię - ale już nie prosząco, tylko zdecydowanie.

- Do diabła, Adamie! Muszę wiedzieć! Popatrzył na nią z bezbrzeżnym smutkiem.

- Poznałem testament Malcolma - odparł cicho. - Wiem. Wiem o dziecku.

Lacy stała długo jak skamieniała. Miała wrażenie, że serce jej zamarło, puls stanął, straciła wzrok, słuch, czucie. A potem poczuła falę gorącej krwi przelewającej się przez jej ciało. Ręka jej opadła.

- Nie chciałem ci o tym mówić - powiedział szorstko. - Nie chciałem o tym rozmawiać. Bo i po co?

Wszystko minęło, a ja nawet o niczym nie wiedziałem. - Mówił z wyraźnym trudem. - Proszę, nie

zmuszaj mnie, żebym powiedział coś, czego później będę żałował. Na pewno miałaś swoje powody

... nie tylko pieniądze. Na pewno nigdy nie zdołam w pełni pojąć, co musiałaś przeżywać. Nie zamierzam cię osądzać, Lacy. Wyjechałem, ty zostałaś sama, nie ...

Opuścił powieki, znikł błękit jego oczu, pod rzęsami widniały tylko dwa sine kręgi .

- Nie zamierzam cię sądzić. Nie wiem jednak, czy potrafię się z tym pogodzić.

Lacy bała się, czy zdoła wydobyć głos. Gardło miała jak spuchnięte. Ale przemogła się.

-W jaki sposób dotarłeś do testamentu Malcolma? Wynająłeś detektywów, żeby mnie sprawdzili?

- Nie. Gwen dała mi testament. Uważała, że powinienem go poznać.

Gwen. Lacy osunęła się jeszcze niżej w przepaść, przywołując w pamięci słowa Gwen: "Chciałabym niweczyć jakieś twoje marzenie, żebyś wiedziała, co się wtedy czuje".

- Ona mnie nienawidzi. Nie rozumiesz tego? Jest gotowa zrobić, powiedzieć, wymyślić cokolwiek, byle mnie zranić.

-Ale testamentu nie wymyśliła. - Ada przeczesła palcami włosy. - Ani twojej ciąży. Prawda, Lacy?

Jakoś wytrzymała jego spojrzenie. Powinna była powiedzieć mu wczoraj.

Ach, gdyby mogła cofnąć

czas i opowiedzieć mu o wszystkim, kiedy trzymał ją w ramionach! Wtedy nigdy by się nie dowiedziała, jak surowo potrafi ją sądzić!

- Nie - odparła. - Tego nie wymyśliła. Byłam w ciąży. Przez krótki czas.

Jakże krótki! Męka tamtych ostatnich godzin stała jej jak żywa w pamięci, a wraz z nią gorzkie poczucie niesprawiedliwości. Jak on śmie robić jej wyrzuty i przemawiać do niej takim tonem? Nie potrzebuje jego zrozumienia ani pocieszenia. I niech ją szlag trafi, jeżeli oczekuje od niego wybaczenia!

Nie ma prawa jej osądzać. Może dziesięć lat temu mógłby mieć coś na ten temat do powiedzenia.

Ale spóźnił się o dziesięć lat.

Wyprostowała się i twardo spojrzała mu w twarz. - Mówisz, że o niczym nie wiedziałeś, a przecież mogłeś wiedzieć. Wystarczyło zadzwonić. Albo napisać. Przecież powinieneś był wziąć taką możliwość pod uwagę, nie uważasz? Nie byłeś pierwszym naiwnym. Wiedziałeś, skąd biorą się dzieci.

Syknął przez zęby, jakby coś go zabolalo.

-Wiem, że ja też ponoszę część winy. Wiem. Powtarzam, nie chcę cię osądzać, Lacy.

Miała ochotę roześmiać mu się w twarz. Ale to by zabrzmiało okropnie, histerycznie.

- Owszem, już to zrobiłeś. Osądziłeś mnie i wydałeś wyrok, nie zadając sobie nawet trudu, żeby mnie zapytać, co się wydarzyło. Więc wiesz, co ci powiem? Chyba masz rację. Powinieneś wyjechać. Ostatecznie wyjeżdżanie to twoja specjalność.

Zrobił gest ku niej, lecz Lacy się cofnęła.

- Jesteś niesprawiedliwa - zaprotestował. - Dziesięć lat temu wyjeżdżałem z myślą o powrocie. Wiedziałaś, że do ciebie wrócę.

- Nie, nie wiedziałam. - Powiedziała to zbyt histerycznym, ostrym, podniesionym głosem. Z wysiłkiem zniżyła ton. - Błagałam, żebyś powiedział, że wrócisz, ale ty miałeś wtedy tylko pieniądze w głowie.

- Chciałem pieniędzy dla nas. Na Boga, Lacy. Dla ciebie.

- Ja nie chciałem pieniędzy, Adamie. Chciałem ciebie, ale ty w to nie wierzyłeś. Miałeś pretensję, że chcę cię zatrzymać.

- To nie było tak. Każde z nas mówiło rzeczy, których nie myśleliśmy. Ale wiedziałas, co do ciebie czuję. Wiedziałas, że wrócę.

- Ale kiedy? - Lacy z trudem łykała powietrze.

- Kiedy miałeś wrócić? Za rok? Za pięć lat? A może a dziesięć? Nie powiedziałeś mi nawet, kiedy dokładnie.

- Bo nie wiedziałem. Dopiero później. Lecz wtedy byłaś już: ..

- Zmiłuj się, Adamie! Przynajmniej raz spróbuj być z sobą szczerą. Nie chciałeś, żebym cię nękała

listami, telefonami, wezwaniami do powrotu. Postanowiłeś, że twoja noga nie postanie na Pringle Island, dopóki nie będziesz mógł wrócić w glorii bogactwa.

Oczy jej się zwęziły.

- I ty, Adamie, ośmielasz się zarzucać mi, że dla pieniędzy popełniłam nie wiedzieć jakie zbrodnie?

A może byś tak zastanowił się nad sobą?

Zmarszczył czoło, zaskoczony jej wybuchem. Sama się sobie dziwiła. Przez dziesięć lat trzymała swoje uczucia na wodzy. Ku wygodzie innych. Ale koniec z tym! Ma serdecznie dosyć tłumienia emocji, dosyć udawania! W tej chwili czuje prawdziwą wściekłość i nie zamierza jej ukrywać!

- Nie waż się mnie osądzać, Adamie. Straciłeś prawo do tego dziesięć lat temu, kiedy wsiadłeś na prom i odplynałeś z wyspy, zostawiając mnie, żebym sama radziła sobie z konsekwencjami.

- Lacy ...

Nie zamierzała go słuchać. Porwała z ziemi koszyk, rozsypując kwiaty na trawę.

- Przez pięć lat poddawałam się ocenom Malcolma. Pozwalałam mu osądzać, co jest we mnie dobre, a co złe, co godne pochwały albo potępienia. Ale już nigdy więcej nie pozwolę nikomu na coś podobnego. Nawet tobie, Adamie. Zwłaszcza tobie.

- Lacy, ty nie ...

- Idź stąd - rzuciła z całą mocą, mając nadzieję, że gniew nie pozwoli jej się rozplakać, nim znajdzie się w czterech ścianach domu. - Zabieraj to swoje faryzejskie święte oburzenie i wracaj tam, skąd przyszedłeś.

Około południa Gwen wkradła się po cichu do domu. Była wykończona.

Ostatnią noc przespała, a właściwie przeleżała, na kanapie u Teddy'ego



Kilgore' a, dręczona niezrozumiałymi wyrzutami sumienia, które nie pozwalały jej zmrużyć oka. Na domiar wszystkiego pani Kilgore wstała jak zwykle wczesnym świtem i zaczęła krzątać się po kuchni.

Dlatego powlokła się do domu, chociaż nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z Czarownicą.

Może poczuje się lepiej, kiedy prześpi się trochę we własnym pokoju. Może pozbędzie się mdlącego poczucia, że zrobiła coś paskudnego.

Co za pech! Otworzyła drzwi i natychmiast ujrzała Lacy. Gwen stanęła w progu jak wryta. Co to ma znaczyć? Lacy stała w połowie schodów, przewieszona przez balustradę, jakby zdjeta nagłym bólem albo chorobą.

Gwen podeszła z boku pod schody i popatrzyła w górę. Włosy Lacy opadły w dół, zakrywając częściowo jej twarz, niemniej to, co było widać, przejęło Gwen strachem. Twarz Lacy była śmiertelnie blada, półprzytomna.

Gwen zrobiło się okropnie nieprzyjemnie. Adam musiał tu być ... Musiało dojść do strasznej sceny.

Więc co? Przecież o to właśnie jej chodziło. Powinna triumfować. A tymczasem rozpacz Lacy wprowadziła ją w niezrozumiałe pomieszanie.

Jak daleko sięgała jej pamięć, Lacy była zawsze spokojna i opanowana, nic nie potrafiło wytrącić jej z równowagi. Gwen podświadomie uważała ją za niezdolną do odczuwania prawdziwego cierpienia. Ale to, co zobaczyła teraz, było najprawdziwszą rozpaczą. Tak prawdziwą, że serce bolało patrzeć.

- Lacy? - szepnęła, kładąc ręce na prętach balustrady kilka stopni poniżej miejsca, gdzie stała Lacy.

- Co ci się stało?

- Nie, nic - odparła Lacy, podnosząc nieznacznie głowę. - Idę na górę.

Palce Gwen kurczowo zacisnęły się na balustradzie. Czuła dziwną suchość w gardle.

- Czy Adam był tutaj?

Lacy z wysiłkiem skinęła głową, jakby sprawiało jej to ból.

Och, mój Boże! Gwen poczuła się jak przestępca. Nie tak wyobrażała sobie wymarzoną chwilę rewanzu.

- Lacy, ja nie... .

Lecz co miała jej powiedzieć? Ze żałuje i przeprasza? Gwen nie miała zwyczaju za nic przepraszać.

Zresztą, co by to dało? Przeprosiny niczego nie zmieniają. Co się stało, to się nie odstanie.

Skrzywdziła ją nieodwracalnie. Gorzej, zniszczyła jej życie.

- Nic nie mów, Gwen - rzekła Lacy, unosząc głowę. Spróbowała nawet się uśmiechnąć, lecz było to tak żalosne, że Gwen aż się wzdrygnęła.

-Wiem, że pokazałaś Adamowi testament ojca. I domyślam się, co cię do tego skłoniło. - Lacy mówiła z trudem, głosem jakby pozbawionym wyrazu. -  
Wiem, że mnie nienawidzisz, i wcale się temu nie dziwię. Zawiodłaś się na mnie. Wzięłam to, co twój ojciec mi zaofiarował - dobrobyt i pozycję ale nie wypełniałam związanych z tym obowiązków. W chodząc do tego domu, powinnam była zastąpić ci matkę. Nie zrobiłam tego.

- Daj spokój, dałam ci chyba dosyć jasno do zrozumienia, że nie chcę cię uważać za matkę.

-Wiem. Tylko że to nie była prawda. Każdy chce być kochany. Byłam zanadto zaabsorbowana własnymi kłopotami, żeby to rozumieć. A po tym, jak poroniłam ... - Głos ją zawiódł. - Kiedy straciłam dziecko ...

Na dźwięk ostatniego słowa opuściły ją resztki sił. Bezradnie opuściła głowę. Gwen jednym skokiem znalazła się u podnóża schodów.

- Poroniłaś? - powtórzyła, wbiegając kilka stopni w górę. - To było poronienie? - Zatrzymała się w pobliżu Lacy i patrząc na nią, usiłowała bezskutecznie wywołać z mgły niepamięci tamten dzień, kiedy zaprowadzono ją do szpitala.

- Boże kochany! A ja zawsze myślałam ... Lacy, ja ... Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, co to naprawdę było?

- Ukryłam to przed wszystkimi. Ojciec nie życzył sobie, żeby ktokolwiek wiedział. Zwłaszcza ty.

Nie miałam pojęcia, że się domyślasz... że rozumiesz ...

Z wolna opadła na stopień, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

-To wszystko nie ma już dziś żadnego znaczenia.

Było, minęło. Dawno temu. Tylko ja nie miałam odwagi spojrzeć prawdzie w twarz.

- Och, Lacy! - zawołała Gwen. - Strasznie cię przepraszam. - Nie zastanawiając się, co robi, wbiegła wyżej na schody, i przykleknąwszy na niższym stopniu, nieśmiało dotknęła ramienia macochy, niepewna jej reakcji. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz bodaj podały sobie ręce.

Ale Lacy nie cofnęła się przed nią. Ośmielona tym, Gwen otoczyła ją ramionami, doznając przy tym przejmującego uczucia kruchości ciała kobiety, która zawsze wydawała jej się tak silna i wszechmocna.

No cóż, myliła się co do tyłu rzeczy! Czuła wzbierające w oczach łzy. Była taką idiotką!

- Nie bierz na siebie całej winy - rzekła cicho. - Byłam wstrętą, nieznośną smarkulą. Zawsze robiłam, co mogłam, żeby zatruć ci życie. Och, Lacy, tak mi przykro.

-Wiem, Gwen - szepnęła Lacy, kryjąc twarz w objęciach pasierbicy. Nie płakała, lecz Gwen czuła, iż to dlatego, że jest teraz zbyt udręczona, by płakać.

- Wszystko wiem. Już dobrze, Gwen. Wszystko rozumiem.

Gwen śmieiej przytuliła ją do siebie. Lacy nie tylko nie zaprotestowała, ale złożyła głowę na ramieniu dziewczyny, tym jednym gestem oddania udzielając jej błogosławionego wybaczenia.

Pasierbica przymknęła oczy, chłonąc całym swoim jestestwem ciepło ciała Lacy, jak dziecko czerpiące siłę z fizycznego doznania rodzicielskiej czułości i oddania.

Ogarnęła ją nieznaną słodycz, w której powoli rozpływała się gromadzona całymi latami gorycz.

Od dawna do tego tęskniła. Do tego, by znaleźć się w kochających i wybaczących wszystko ramionach. Poczuć się częścią rodziny.

Jedna z nich rozpląkała się, lecz nie była to Lacy. Gwen dała w końcu upust łzom, czyniąc tym samym pierwszy krok na długiej drodze, mającej zaprowadzić ją z powrotem do domu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Prawdę mówiąc - odezwała się Gwen, podając taśmę klejącą Lacy, która klęczała na ziemi po drugiej stronie przygotowywanego wspólnie pakunku to nie bardzo rozumiem, dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, żeby kogoś tym obrazem obdarować. Lacy podziękowała uśmiechem za taśmę i zaczęła nią opasywać owiniętą w gruby papier paczkę.

-A ja prawdę mówiąc, bardzo się cieszę, że możemy się go pozbyć. Dziwię się, że ktokolwiek zgodził się go przyjąć.

- No właśnie, dokąd go wysyłasz? Do stanowego Muzeum Niewidomych? Lacy zachichotała. Towarzystwo ostrej i dowcipnej Gwen osłodziło jej bardzo dwa ostatnie dni.

Kiedy zaczęły z sobą rozmawiać - rozmawiać naprawdę - okazało się, jak wiele mają z sobą wspólnego. Choćby ta zgodna niechęć do obrazu "Blisko raj". Gwen przyznała, iż zawsze starała się omijać boczny gabinet, żeby przypadkiem nie musieć na niego patrzeć.

Lacy ucięła koniec taśmy i podniósłszy się na pięty, rozejrzała po pokoju. Portret Malcolma i Lacy już wcześniej powędrował na strych. Pozbawiony obu dominujących obrazów gabinet sprawiał o wiele miłsze wrażenie.

- Nie zmieniałś zdania? - Owen przysiadła na biurku Malcolma, żując pestki słonecznika. - Naprawdę nie musisz wyjeżdżać z mojego powopu: Myślę, że dobrze by nam było razem. Dwie dziewczyny w jednym domu. Trzeba by, rzecz jasna, ustalić regulamin dziennie-nocny, żeby nie wchodzić sobie nawzajem w drogę, ale ...

- Nie, nie zmieniałam zdania. - Lacy wstała z podłogi, odkładając taśmę na stół.  
- Jestem pewna, że podjęłam właściwą decyzję. I tak zrobiłam to o wiele za późno.

Była zadowolona, że jej głos brzmi tak pewnie.

Oby z czasem ta pewność nie wyparowała!

Dwa dni temu, bezpośrednio po rozmowie z Adamem, postanowiła wprowadzić się do Bostonu.

Już i tak za długo ukrywała się na tej baśniowej wysepce.

Nic jej już nie wiąże z Pringle Island. Malcolm nie żyje. Adam zaś ...

Odepchnęła od siebie myśl o nim. Nie czas teraz wracać do przeszłości. Musi patrzeć przed siebie. Będzie oczywiście tęsknić za Tilly. A także, o dziwo, za Owen. Jednakże między Bostonem a Pringle Island kursuje wygodny prom, więc będą się mogły stale odwiedzać. Dom, wraz z całym majątkiem, przekazała Gwen. Bez trudu znalazła posadę. Jej kampania reklamowa na rzecz rozbudowy szpitala spotkała się z takim uznaniem, że znajomy z Bostonu już rok temu zaproponował Lacy objęcie stanowiska szefa działu public relations w tamtejszej telewizji publicznej. Odrzuciła wówczas tę ofertę, tak jak odrzucała wszystkie inne oferty pracy.

Nie przyznawała się nawet przed sobą, dlaczego zawsze mówi nie. A prawda była taka, że nie chciała opuszczać Pringle Island, na wypadek, gdyby Adam zdecydował się wrócić. Była jak te nieszczęsne żony rybaków z dawnych czasów, odbywające niekończące się spacerów tak zwaną wdowią ścieżką, która biegła wzdłuż brzegu nieopodal starego osiedla, i wypatrujące na morzu swych zaginionych mężów.

Dosyć tego. Nie zamierza tkwić tutaj przez kolejne dziesięć lat, karmiąc swoje złamane serce okruciami wspomnień - odwiedzając stajnie, w których pierwszy raz się kochali; przystań promu, gdzie błagała go ze łzami w oczach, żeby nie wyjeżdżał; kaplicę, w której odbył się jej ślub z Malcolmem; szpital, w którym straciła dziecko, a wraz z nim część własnej duszy. Do tych miejsc doszedłby jeszcze Tunel Miłości, w którym po raz ostatni śniła swój najpiękniejszy sen. Pringle Island stało się dla niej mauzoleum umarłych wspomnień. Jeżeli tu zostanie, będzie do końca swoich dni żyć otoczona zjawami przeszłości.

Dlatego musi wyjechać. Zadzwoiła do znajomego z Bostonu i okazało się, że jego oferta jest nadal aktualna. Bez wahania przyjęła posadę.

Czy się bała? Tak. Czy cieszyła się? Jeszcze nie.

Na to trzeba będzie poczekać. Musi upłynąć więcej czasu, zanim rana, jaką zadał jej Adam, zacznie się zblizniać.

-Wiesz, Lacy, wiele o tamtym myślałam. Gwen siedziała nadal na krawędzi stołu i wymachując nogami, spoglądała z upodobaniem na szmaragdowe

sandały, które dobrała do nader seksownej, jaskrawozielonej plażowej sukienki. Jest niemal dawną sobą, myślała Lacy, chociaż zarazem stała się jakby bardziej dojrzała. I bardzo jej w tym do twarzy.

- Boję się, że za chwilę zrzucisz ze stołu którąś z tych pamiątkowych butelek - zwróciła jej uwagę.

Gwen wykrzywiła się. Może wydorosłała, lecz nadal nie znosiła, kiedy ktoś próbował nią dyrygować.

Lacy zrobiła przepraszający gest.

- Już dobrze. Nic nie mówiłam. Są twoje. Wytłucz je wszystkie, jeśli masz ochotę. Ale wracając do rzeczy. Co sobie pomyślałaś?

- Myślałam, że może ... - zaczęła niepewnie. Może jednak się zgodzisz, żebym z nim porozmawiała.

Sama to wszystko rozpełtałam, więc gdybym mu wytłumaczyła, jak ...

- O nie. - Lacy starannie oparła obraz o drzwi, skąd po południu miano go zabrać. - Wyraźnie ci

powiedziałam. Nie życzę sobie, żebyś z nim rozmawiała na ten temat. Nie ty jesteś winna temu, co się stało. Powodem wszystkiego jest niemożliwa do naprawienia skaza, która zatrwała nasz związek. Ale to już przeszłość. Koniec i kropka. Nie ma do czego wracać.

- Jesteś pewna? - Gwen odrzuciła włosy na ramiona. - Nie śpisz po nocach. Słyszysz, jak do rana przewracasz się na łóżku.

Lacy ciężko westchnęła.

- To minie - powiedziała. - Ale na to musi upłynąć trochę czasu. I wolę obywać się bez snu niż błagać mężczyznę o przebaczenie za to, czego nie zrobiłam. Jestem przekonana, że na moim miejscu postąpiłabyś tak samo. Zresztą, on pewnie jest już w Nowym Jorku.

- Jeszcze jest tutaj - z nadzieją w głosie odparła Gwen. - Wiem od Trávisa, że na pewno nie wyjedzie przed piątkiem, więc ...

- Nie - powtórzyła Lacy, rzucając Gwen groźne spojrzenie. - Powiedziałam: Nie!

Gwen ustąpiła dla świętego spokoju, nie przestając się zastanawiać, jak by ją jednak przekonać. W tej chwili rozległ się ostry dzwonek telefonu. Gwen zeskoczyła ze stołu, oczywiście strącając na podłogę jedną z ojcowskich butelek. Lacy rzuciła się na ratunek, lecz nie była dość szybka. Butelka runęła na posadzkę, rozpryskując się na drobne kawałki.

- O rany! - wykrzyknęła Gwen, rozglądając się po pobojowisku. Zerknęła z przestraczem na drzwi, jakby spodziewała się ujrzeć na progu rozwścieżonego ojca. - Co ja narobiłam!

Lecz Malcolma już nie było. Nie musiała się obawiać, że zostanie złajana za swoją niezręczność.

Lacy z uspokajającym pomrukiem pochyliła się nad rozbitymi okruciami szkła. Dziwna rzecz, bo zbiła się tylko butelka, natomiast sam stateczek wyszedł z katastrofy bez szwanku. Lacy podniosła go ostrożnie z podłogi. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, iż po raz pierwszy ma okazję docenić z bliska piękno i doskonałość jego wykonania. Bo dopiero dzisiaj był wolny. Jest w tym coś symbolicznego, pomyślała, dotykając palcem wyczelowanych masztów i maleńkich, rozwianych żagli. Butelka nie chroniła stateczku. Była jego więzieniem.

Należało jednak odłożyć na później amatorską filozofię, ponieważ telefon nie przestawał dzwonić. Sięgnęła do aparatu nad głową Gwen, która pospiesznie zbierała na kupkę odłamki szkła, jakby nadal się bała, że zostanie przyłapana na gorącym uczynku.

-Halo?

- Czy mówię z panią Morgan?

Lacy natychmiast rozpoznała inteligentny, ładnie modulowany głos. Dzwoniła Claire Scott Tyndale.

W tle słychać było nawet cienkie poszczekiwanie spaniela Winstona.

- Jestem przy telefonie. - Troskliwie odstawiła na półkę uratowany stateczek o dumnie wzniesionym dziobie. - Witaj, Claire! Cieszę się, że dzwonisz.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

- Mało brakowało, a bym się nie odezwała z właściwą sobie bezpośredniością rzekła na koniec

Claire. Całkiem jakbym słyszała Tilly, pomyślała Lacy. - Nie wiedziałam, co robić. Prawdę mówiąc, nadal nie jestem pewna. Długo się zastanawiałam nad tym, co mi pani powiedziała na pożegnanie. I doszłam do wniosku, że jeżeli jest pani nadal tego samego zdania co wtedy, to bardzo bym chciała poznać panią Barnhardt.

Czy jestem tego samego zdania? Jeszcze jak! W wyobraźni widziała już rozradowaną twarz Tilly.

- Pani Morgan? Czy myśli pani, że pani Barnhardt nadal chce mnie poznać?

-Tilly - poprawiła ją Lacy, czując rozpierającą ją radość, i zapominając po raz pierwszy od dwóch dni o własnym smutku. - Tilly dla nikogo nie jest panią Barnhardt, a już zwłaszcza nie dla własnej wnuczki.

Adam nie zastał Lacy w szpitalu. Dowiedział się od Kary Karlin, że niedawno wyszła, zabierając z sobą jakieś listy, które miała zawieźć do drukarni, że zamierzała kupić coś na kolację i pojechać do Tilly.

Ta jednak oświadczyła, iż Lacy owszem była u niej, ale wyszła. Tilly najwyraźniej orientowała się, że między Lacy a Adamem doszło do poważnego nieporozumienia, bo rozmawiała z nim wyniośle lodowatym tonem. Musiał użyć wielu czułych podstępów, nim raczyła go poinformować, iż Lacy pojechała do drukarni.

Następne pięć minut upłynęło mu na upewnianiu Tilly o swoich jak najlepszych zamiarach względem Lacy, nim starsza pani wreszcie odtajała. Drukarnia, jak mu wyjaśniła, mieści się przy ulicy głównej, a tuż obok jest sklep z gotowym jedzeniem, w którym Lacy często kupuje letnią sałatkę, ale jest otwarty tylko do dziewiątej, więc gdyby nie zdążyła, to pewnie' pojedzie do chińskiej restauracji przy ...

Adam zerknął na zegarek. Wpół do ósmej. Podziękował Tilly i ucałowałszy ją pospiesznie w policzek, wybiegł do samochodu, który zostawił na podjeździe z włączonym silnikiem. Jadąc bocznymi drogami, może zdąży. Zapalające się o zmierzchu wystawy sklepów nadawały głównej ulicy staroświecki urok.

Intensywny błękit nieba tłumiał blade światła starych ulicznych latarni, a promienie dogasającego słońca malowały złotem kostki ulicznego bruku. O tej porze w powszedni dzień większość sklepów była już zamknięta. Na chodnikach widać było tylko paru zapóźnionych przechodniów - głównie joggistów albo spacerowiczów, który po drodze na spóźnioną kolację do restauracji "Pod Widnokregiem" oglądali sklepowe wystawy.

Czy Lacy jest wśród nich? Jechał powoli, przypatrując się przechodniom. Starsze panie siedzące na żelaznej ławce, jedzące lody. Para wyrostków całujących się w zacienionej wnęce. Ojciec popychający wózek z dwójgim bobasów. Trzy opalone, rozweselone panie w średnim wieku, najwidoczniej wracające do domu w dobrym nastroju po paru margaritach.

Ale gdzie ona? Może Tilly coś pokręciła? Może Lacy znajduje się w tej chwili na drugim końcu miasta? Albo wróciła do domu i nie odbiera telefonów? Trzasnął ze złością w kierownicę. Chyba niemożliwe, żeby Tilly umyślnie go zwiodła. Nagle dostrzegł Lacy.

Stała samotnie przed witryną agencji podróźniczej Travel Island. Miała na sobie jasnoblękitną, letnią sukienkę, a luźno spuszczone włosy muskały jej ramiona. Chociaż była odwrócona do niego plecami, wydała mu się najpiękniejszą kobietą na świecie. Zatrzymał się na środku jezdni, nie mogąc oderwać od niej oczu, zastanawiając się rozpaczliwie, czy potrafi wyrazić to wszystko, co chciał jej powiedzieć. I czy ona zechce go wysłuchać.

Kierowca z tyłu, któremu blokował przejazd, niecierpliwie nacisnął klakson. Lacy odwróciła się, słysząc hałas, i poznała go. Bojąc się, by mu nie umknęła, skręcił pospiesznie na najbliższy parking.

Nie uciekła. Mimo że wjazd na parking i droga powrotna zajęły mu dwie nieskończone długie minuty, Lacy nadal stała w tym samym miejscu, ściskając oburącz plastikowy pojemnik z zakupioną na kolację sałatką. Kiedy spojrzał w jej smutne, podkrążone oczy, wszystkie przemówienia, jakie sobie przedtem układał, wyleciały mu z głowy.

- Cześć - odezwał się. Nie wiedząc, co dalej mówić, popatrzył na wywieszone w witrynie reklamowe afisze. - Wybierasz się w podróż?

- Tak - odparła. Miała w oczach pustkę. - Za parę dni wyjeżdżam z Pringle Island. Przeraziła go myśl, co by było, gdyby usłyszał tym od Tilly po fakcie. Gdyby mu powiedziała:

Wyjechała wczoraj. Nikt nie wie dokąd. Wyobraził sobie rozpacz, jaka by go ogarnęła i poczucie, że nie spocznie, póki jej nie odnajdzie, choćby przyszło mu w tym celu przetrząsnąć cały świat.

Czy nie przeżywała czegoś podobnego dziesięć lat temu, po jego wyjeździe?

- Można wiedzieć, dokąd się wybierasz?

Za całą odpowiedź popatrzyła na niego wzrokiem, który mówił: nie twoja sprawa.

- Posłuchaj mnie, Lacy! - Nie może do tego dopuścić. Lecz czy znajdzie słowa zdolne ją przekonać? - Szukałem cię wszędzie, żeby cię przeprosić.

- Za co?

- Za te wszystkie głupie i okrutne rzeczy, jakie mówiłem. - Potrząsnął głową, jakby próbując odegnąć przeszłość. - Strasznie cię przepraszam. Czy potrafisz mi wybaczyć?

- Nie ma nic do wybaczenia - odparła chłodno.

- Właśnie, że jest. - Serce mu zamarło, bo zobaczył, że pomijając podkrążone oczy, Lacy przypomina do złudzenia ową lodowato obojętną damę, jaką miesiąc temu ujrzał na tamtym pierwszym przyjęciu w dawnych stajniach Tilly Barnhardt.

O nie! Czy znowu zamknęła się w sobie jak żółw w skorupie? Tym razem jednak odgrodziłaby się od świata jeszcze grubszym murem, przygotowała obronne wały zdolne odeprzeć wszystkie jego sztuczki.

- Właśnie, że jest - powtórzy t - Zachowałem się jak łajdak. Miałaś w stu procentach rację. Zachowałem się jak obłudny hipokryta. powinienem był ci zaufać.

- Nie opowiadaj głupstw. - Lacy przełożyła niewygodny pojemnik z ręki do ręki. - Przespaliśmy się z sobą, i tyle. To jeszcze nie powód, żebyś miał mi ufać albo nie ufać.

- Istotnie. - Popatrzył jej z całą mocą w oczy.

- Ale jest inny powód, ten, że cię kocham, Lacy.



Z cynicznym pomrukiem zrobiła ruch, jakby zamierzała odejść. Uchwycił się rozpaczliwie jej ręki. To prawda, Lacy. Błagam, wysłuchaj mnie! Wprawdzie nie cofnęła ręki, lecz pozostała nadal wroga i napięta. Trwali tak przez chwilę jak dwaj przeciwnicy w momencie nieprzejaznego zawieszenia broni. Ale to już było coś. Mógł przynajmniej spróbować wyłożyć jej to, z czym przyszedł. - Musisz mi uwierzyć - powiedział, zdając sobie sprawę, iż nie mówi prawdy. Wcale nie musiała mu wierzyć. Miałaby pełne prawo wyrwać się i odejść, znikając raz na zawsze z jego życia. - Kocham cię, Lacy. Nigdy nie przestałem cię kochać. I nigdy sobie nie wybaczę tego, że cię opuściłem, każąc ci przeżywać samotnie Bóg wie jakie cierpienia. Z mojej winy. To ja jestem wszystkim winny.

Lacy milczała, lecz fakt, iż nie odchodziła, dodał mu nadziei. Łagodne promienie zachodzącego słońca igrały w jej włosach i złościły faldy lekkiej sukienki. Może był to jedynie efekt ciepłej słonecznej poświaty, lecz miał wrażenie, że Lacy stała się mniej chłodna niż chwilę temu.

Większość przekonywujących tłumaczeń i usprawiedliwień, jakie sobie wcześniej pracowicie przygotowywał, wyleciała mu z głowy, a te, które pamiętał, nie pasowały do sytuacji. Może najlepiej zdać się na instynkt, wsłuchując się w jej reakcje. Może niezdarne, na poczekaniu składane wyznania pozwolą jej przynajmniej uwierzyć w ich płynącą z serca szczerść.

- Dziesięć lat temu postąpiłem jak patentowany głupiec. Gorzej, zachowałem się jak samolubny łajdak. Myślałem tylko o tym, żeby spełnić swoje marzenia. Byłem przekonany, że będziesz na mnie czekać, choćby całą wieczność. Ani przez chwilę nie zaświtało mi w głowie, że goniąc za własnymi mrzonkami, niszczę nasze wspólne, najcenniejsze marzenie.

W rozgorączkowaniu mówił coraz głośniejszym głosem, wywołując zaciekawione spojrzenia przechodniów. On jednak nie zwracał na to uwagi. Najważniejsze, że Lacy go słucha.

-Ale wreszcie zmadrzałem. Naprawdę. Kiedy przygotowywałem się wczoraj do wyjazdu do Nowego Jorku, uświadomiłem sobie, że nie mogę, nie potrafię wyjechać i zostawić cię. Na samą myśl o tym chciałem umrzeć. I zrobiłem jeszcze jedno ważne odkrycie.

- Jakież to? - spytała z wystudiowaną obojętnością.

- Że nie dbam o to, co się przedtem wydarzyło. To nie moja sprawa, Nie chcę znać szczegółów ani nie potrzebuję wyjaśnień. Wystarczy mi to, co wiem o tobie. Że jesteś czuła i kochająca i masz więcej honoru i odwagi niż ktokolwiek na świecie. Cokolwiek zrobiłaś, najwidoczniej uważałaś, że nie masz wyboru. Ponieważ ja ci go nie zostawiłem.

Z jej gardła wydobył się zduszony jęk. Czy źle się wyraził? Gorączkowo szukał w głowie słów zdolnych oddać jego uczucia. Musi znaleźć sposób, żeby do niej dotrzeć.

- Lacy, czy nie możemy zapomnieć o przeszłości? O tym, co zrobiłaś, co ja zrobiłem ... żeby razem ...

- Ja nic nie zrobiłam - powiedziała nagle.

Spojrzał na nią zaniepokojony. Ręce zaczęły jej drżeć, a w oczach zalśniły łzy.

- Lacy! - Serce mu się ścisnęło. Boże, czy nie dość wylała w życiu łez? Jeśli mu tylko pozwoli, poświęci resztę życia, żeby już nigdy nie musiała płakać. - Nie płacz, Lacy. To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Przysięgam.

- Ja nic nie zrobiłam - powtórzyła, ignorując jego słowa. Z jej oczu wyzierała bezradna rozpacz, jakby nie umiała się wyrwać z zaklętego kręgu przeszłości.

- Chcę, żebyś wiedział. Czy masz dosyć siły, żeby mnie wysłuchać?

- Oczywiście - odparł, choć bynajmniej nie był tego pewien.

Odłożyła plastikowy pojemnik na ziemię. Potem uwolniła rękę, podeszła do wystawy i przysiadła na brzegu skrzynki z kwiatami, jakby nie miała siły snuć swojej opowieści na stojąco.

W skrzynce rosły obsypane kwiatami kępy lwich paszczy. Lacy niepewnie musnęła palcami szarzące w zapadającym zmroku drobne kwiatki. Po chwili podniosła głowę, westchnęła głęboko i zaczęła mówić.

- Ja nie pozbyłam się celowo naszego dziecka, Adamie. To był jeden z tych okropnych wypadków, których nie da się przewidzieć. - Z wolna wciągnęła powietrze w płuca. - Byłam w czwartym miesiącu. Dopiero w czwartym miesiącu, ale dziecko było już dla mnie realną istotą. Wyobrażałam sobie, jak będzie wyglądało. Marzyłam, żeby przypominało ciebie, żeby miało twoje niebieskie oczy.

Bezradnie zwiesiła głowę.

- Niczego więcej nie pragnęłam. Tylko tego, żeby pewnego dnia móc znowu patrzeć w twoje niebieskie oczy.

Adam zrobił krok naprzód, stając blisko niej w cienistej wnęce. Gardło miał zaciśnięte.

- Lekarze nie potrafili mi wyjaśnić, co się właściwie stało. Sami nie wiedzieli. Ni stąd, ni zowąd ... zaczęłam, krwawić. - Przymknęła oczy. - I poczułam okropny ból.

- Lacy. - Poczul chłód w sercu. - Lacy, nie!

- Makolm natychmiast zawiózł mnie do szpitala. Trzeba mu przyznać, że próbował ratować dziecko, chociaż wcale go nie chciał. Jednakże lekarze byli bezradni. A bóle nasilały się coraz bardziej.

U milkła na chwilę.

-A potem było po wszystkim. Nie było go. Tej małej, żywej istoty, jedynej rzeczy, jaka mi została po tobie.

Adam ukląkł przed nią na ziemi i przyciągnął do siebie.

- Och, Lacy! Najdroższa!

Przez chwilę jeszcze się opierała, lecz po paru sekundach pochyliła się, dotykając dłonią jego twarzy.

- Od tamtej pory wszystko mi zobojętniało. Zaproponowałam Malcolmowi rozwód. Ożenił się ze mną po to, żeby dziecko miało ojca, ale dziecka już nie było.

-A Malcolm oczywiście odmówił ci rozwodu, czy tak? - Adam nie miał wątpliwości. Malcolmowi od początku zależało na Lacy. Zastawiał na nią sieci, wyczekując chwili, kiedy będzie ją mógł zagarnąć dla siebie. A on, jak głupiec, sam mu to umożliwił.

-Tak. Nie zgodził się na rozwód. Uważał, że jestem mu coś winna za to, co dla mnie zrobił. Ostatecznie był gotów zapewnić cudzemu dziecku nazwisko, dom, bezpieczeństwo. Nie mogłam nie przyznać mu racji. Zostałam z nim. Zabawiałam jego przyjaciół, prowadziłam mu dom, pozwalałam, by się mną popisywał jak oswojoną małpką. Poszłam na studia i robiłam wszystko, czego się po mnie spodziewał. Prócz jednego. - Lacy z trudem przełknęła ślinę. - Nie zgodziłam się dać mu dziecka.

Adam wzdrygnął się wewnątrz, wyobrażając sobie, co przeżywała przez te pięć lat wymuszonej niewoli.

Ale skoro zdołała swój los znieść w realnym życiu, to on ma obowiązek zmierzyć się z nim przynajmniej w teorii. Wyobraził sobie, jak budziła się co rano, wiedząc, że jest w pułapce. Myślał o pięknym domu, o jej nienaganych sukniach, o tłumie znajomych, którzy zazdrościli Malcolmowi Morganowi idealnej żony.

Odegrała swoją rolę najlepiej, jak to było możliwe. Malcolm wmówił jej, iż jest jej "wybawcą", ona zaś, kierując się swym niezmiernym poczuciem honoru, tysiącrotnie odpłaciła zaciągnięty dług.

- Nie wiem, jak cię przeproszać - odezwał się zdławionym, zmienionym nie do poznania głosem. - Za to, że wyjechałem, zostawiając cię na pastwę człowieka, który za swoją uczynność zażądał tak niewspółmiernie wysokiej zapłaty.

Lacy nie odzywała się. Trwała bez ruchu, wsparta na nim, jakby opowieść wyczerpała jej siły, i teraz czekała, aż energia płynąca z jego ciała na nowo postawi ją na nogi.

- Masz pełne prawo czuć do mnie niechęć. Nie mogę cię nawet prosić o przebaczenie, bo na to nie zasłużyłem. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że cię kocham. Nigdy, ani na chwilę nie przestałem cię kochać, nawet wtedy, kiedy byłaś żoną innego.

Lacy wtuliła twarz w jego ramiona, lecz nadal milczała. Pogłaskała jej jedwabiste włosy.

-Wiem, Lacy, że to za mało. Moja miłość nie może ci zwrócić zmarnowanych dziesięciu lat życia. Ani wskrzesić naszego dziecka. Wiedz jednak, że nigdy nie przestanę cię kochać. Choćbyś mi kazała odejść na zawsze i gdybym miał nigdy więcej cię nie zobaczyć, będę ...

Na koniec podniosła głowę, lecz wyraz jej twarzy wprawił go w zmieszanie. Jakby się czegoś bała.

Czyżby to znaczyło ... ?

- Postąpię tak, jak zechcesz - powiedział, ujmując twarz Lacy. - Odejdę, jeśli mi każesz. Czy tego chcesz? Więc mam odejść? - spytał ponownie, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Przypatrywała mu się z napiętą uwagą, jakby chciała coś wyczytać z jego rysów. Miał nadzieję, że ujrzy w nich to, co naprawdę czuł - miłość.

- Już raz cię straciłam, ale przeżyłam - rzekła cicho. - Od tamtej pory stałam się silniejsza. Więc może przeżyłabym po raz drugi?

Adam wstrzymał oddech. Próbował przygotować się na najgorsze. Przyrzekł odejść, jeżeli Lacy tego od niego zażąda. Teraz jednak, gdy zdawało się, iż każe mu to zrobić, nie był pewien, czy będzie w stanie dotrzymać szalonego przyrzeczenia.

- Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam, Lacy powiedział. - Nie sądzę, żebyś mnie potrzebowała.

Prawda jest inna. To ja potrzebuję ciebie.

- Jestem silna, to prawda - przyznała. - Ale nie jestem pewna ... - Po raz pierwszy dostrzegł wokół jej ust jakby cień uśmiechu. - Nie jestem pewna, czy mam dosyć siły na to, by odepchnąć mężczyznę, którego kocham.

Ciało Adama prędzej zrozumiało jej słowa niż rozum. A kiedy ich pełny sens dotarł do jego świadomości, Z uczuciem niewysłowionej ulgi wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. Nie odrzuca go! Objął ją i przyciągnął do siebie tak blisko, że ich usta niemal się stykały. Ogarnęła go fala namiętności.

- Pokaż, jaka jesteś silna, Lacy. Czy na tyle, żeby powiedzieć mi teraz, że chcesz, abym został?

- Nie jestem pewna - odparła, a w jej głosie brzmiał hamowany śmiech.

Dobrze pamiętał ten wesoły ton z czasów, gdy ich życie wydawało się samą radością. - Jak myślisz?

- Spróbuj - poprosił, umyślnie drażniąc ustami jej wargi. - No, spróbuj. Chcę to usłyszeć.

- Czy zostaniesz ze mną, Adamie? - spytała, patrząc na niego spod półprzymkniętych powiek. - Czy chcesz zostać ze mną na zawsze?

-Tak. - Zanim opanowała go szaleńcza radość zmysłów, nim zatopił się bez pamięci w jej ustach, zdobył się na to, by przytomnie odpowiedzieć: - Zostanę z tobą na zawsze. I jeszcze raz na zawsze. I jeszcze na jeden dzień.

## EPILOG

Gwen spóźniła się swoim zwyczajem. Adam i Lacy musieli po przyjeździe otworzyć sobie drzwi dawnym kluczem Lacy. Adam, który niósł walizki, znalazłszy się w holu, aż gwizdnął z podziwu.

Lacy zatrzymała się na progu, zdumiona przemianą, jakiej uległo wnętrze rezydencji.

Z uświęconego tradycją urządzenia domu ostał się chyba tylko klucz w zamku. Znikły szacowne antyki, stateczki w butelkach, morskie pejzaże, przytłaczające brązowo-beżowe tapety.

Ściany cieszyły oko jasnozieloną barwą tapet i śnieżną bielą stolarki. Obrazy były śmiało i nowoczesne, a nieliczne, równie nowoczesne drewniane meble harmonizowały z jasną, nagą posadzką.

Wnętrze było jasne, śmiało, wyrafinowane. Lacy z zachwytem wciągnęła w płuca powietrze, które aż pachniało świeżością, radością i ... tak, szczęściem!

Ale oczywiście, w ciągu roku swego małżeństwa z Adamem Lacy odnajdywała szczęście na każdym kroku. Uśmiechało się do niej z połyskliwych kanałów we Włoszech, dokąd pojechali w poślubną podróż.

Rozświetlało ściany jej nowego gabinetu w biurze stacji telewizyjnej. Jaśniało na wszystkich piętach ich świeżo urządzonego bostońskiego domu.

A szczególnie w pokoju dzieciennym. Pomalowanym na błękitno dzieciennym pokoju z fotelem na biegunach z jasnego drewna i białą, ozdobioną białymi koronkami kołyską. Pokoju, w którym, za jakieś sześć tygodni pojawi się ich syn. Lacy przyłożyła dłoń do brzucha, dzieląc się z nim radosną chwilą.

Dziecko poruszyło się sennie, jakby dawało znać, że rozumie.

Adam, który zdążył tymczasem zwiedzić salon i gabinet, wszedł z powrotem do holu i oświadczył:

- Jak Gwen raz się do czegoś zabierze, to nie ma żartów! Chyba nie znajdziesz w domu jednej rzeczy, którą zostawiłaby na miejscu.

Lacy skinęła głową. Adam jednak miał niezupełnie rację. Naprzeciw

malowanego śmiałymi pociągnięciami pędzla, bezcennego dzieła

współczesnego mistrza stał na półce nad kominkiem maleńki stateczek, który spadłszy kiedyś ze stołu, wybił się na wolność. Adam podszedł z tyłu i odgarnąwszy jej włosy, ucałował w szyję.

- Nie jest ci przykro, kochanie? Na pewno nie żałujesz, że oddałaś jej dom? - spytał.

- Ani trochę. - Sięgnęła ręką za siebie, zagłębiając palce w jego włosach. - Bardzo się cieszę - To dobrze. - Objąwszy rękami jej brzuch, szepnął Lacy do ucha: - Ja i on będziemy pilnować, żebyś zawsze była szczęśliwa.

Chwilę czułości przerwał im ryk motoru przed domem. Rozległ się metaliczny brzęk, potem zaburczał silnik, a damski głos rzucił przekleństwo. Wyjrzeni przez okno. Gwen udało się wjechać motocyklem w tylny zderzak ich samochodu.

-Widzę, że zajechała pani profesor od Czarnych Aniołów - zaśmiał się Adam. Gwen zdjęła hełm, uwalniając burzę swoich jasnych włosów. Potem kopnęła podpórkę motoru i zamasztywym gestem zeskoczyła z siodełka.

- Jednak robi postępy - z uśmiechem rzuciła Lacy. Wiedziała, że Adam nie przejął się wgnieceniem zderzaka. Zdążył pokochać zapalczywą, lekkomyślną Gwen nie mniej niż ona. Gwen paroma susami znalazła się w domu, trzymając w jednej ręce plecak ze szkolnymi tekstami, a w drugiej motocyklowy hełm. Na widok gości wydała okrzyk radości.

- O rany, ale ci urósł! - zawołała, ściskając Lacy i bez skrępowania poklepując ją po brzuchu. - Jeszcze trochę i zabiorę juniora na malutką przejażdżkę harleyem.

- Może za sto lat - surowo zaznaczył Adam. Gwen pokazała mu język, ale zaraz podskoczyła i wyściskała go nie mniej serdecznie niż macochę. Lacy z rozczuleniem obserwowała jej gorące i czułe reakcje. Nic dziwnego, że się buntowała. Było w niej tyle miłości, którą nie miała kogo obdarzyć.

-A gdzie Travis? - zagadnęła Gwen, zaglądając do kuchni.

- Pewnie szaleje na polu golfowym - odparł Adam. - Przyjechał dziś rano. Mówił, że poćwiczysz trochę przed twoim powrotem ze szkoły.

- No to przepadł na dobre - oświadczyła beztróska Gwen, odkładając hełm na boczny stolik. - Przygotowałam dla was mój dawny pokój. Nie macie nic przeciwko temu?

- Znakomicie - odparła Lacy. - Prawdę mówiąc, chętnie się zdrzemnę. Od pewnego czasu nic tylko bym spała.

-To całkiem naturalne - ze znawstwem oświadczyła Gwen. - W ostatnich tygodniach twoje ciało musi pracować za dwoje. Czy bierzesz dodatkową dawkę witamin? Dziecko wysysa z ciebie wszystko, co mu jest potrzebne, nie pytając o zdanie. Może nie wystarczyć dla ciebie. - Nagle się połapała. Przepraszam. Właśnie skończyłam kurs na ten temat.

- Nigdy bym się tego nie domyśliła - żartobliwie zapewniła ją Lacy.

Gwen nie przestawała ją zdumiewać swoją aktywnością. Nie tylko pracowała jako pełnoetatowa nauczycielka u Tiny Seville, która dziwnym zbiegiem

okoliczności stała się nagle entuzjastką bogatej i samodzielnej panny Morgan, ale robiła przez Internet studia pedagogiczne, żeby zdobyć dyplom nauczyciela. Pewnego dnia niechybnie założy własną szkołę. A ze swoją energią, zdolnościami i pomysłami na pewno wyprze z miasta tę snobistyczną Tinę.

- Zaraz, zaraz! Gdzieś tutaj powinna leżeć kartka do ciebie. Od Tilly. Pisze, że na pewno zdąży wrócić przed urodzinami dziecka. - Tu Gwen zmierzyła brzuch Lacy podejrzliwym wzrokiem. - Lepiej żeby się pospieszyła, nie uważasz?

- Nie waz się pisać do niej w ten sposób - zaprotestowała Lacy. - Dajmy jej czas, żeby się mogła spokojnie nacieszyć towarzystwem Claire.

Parę miesięcy temu Claire urodziła dziecko, po czym ona i Tilly wybrały się na Florydę, żeby lepiej się poznać. Były tam nadal, a wiadomości o tym, jak dobrze jest im razem, dawały Lacy wiele radości.

- Zresztą byłam wczoraj u lekarza - ciągnęła Lacy - który powiedział, że do porodu mam jeszcze przynajmniej miesiąc.

Adam ponownie objął Lacy, przykładając policzek do jej włosów.

- Gwen może mieć rację - powiedział. - Nie jestem pewien, czy pan doktor zdaje sobie sprawę, jak bardzo małemu zależy na tym, żeby jak najszybciej poznać swoją piękną mamę.

Ucałował jej szyję, a ona odwróciła się i zarzuciła mu ręce na ramiona.

- Nie masz pojęcia, jak ja cię kocham - szepnęła, w nagłym przypływie uczucia.

- N a pewno nie tak jak ia ciebie - odparł, składając na jej ustach gorący pocałunek ..

-Tego już za wiele! - z najwyższym niesmakiem wykrzyknęła Gwen. - Nie możecie z tym poczekać, aż znajdziecie się na górze w pokoju?

- Z największą przyjemnością - odparł Adam wesoło. - Już myślałem, że nigdy nam tego nie zaproponujesz.